

P. 97.86 chr. Arch.

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 10/132**

**1958**



• *«La Culture»* • *Revue mensuelle* •

JOSE FERRATER MORA :

**FILOZOFIA I SPOŁECZEŃSTWO**

CZESŁAW MIŁOSZ : **LA COMBE**

F. GROSS :

**UWAGI O EUROPIE WSCHODNIEJ**

## SPIS RZECZY

Jose Ferrater Mora :	<i>Filozofia i współczesne społeczeństwo</i> .....	3
Witold Gombrowicz :	<i>Fragment z dziennika</i> .....	17
Czesław Miłosz :	<i>La Combe</i> .....	26



Bronisław Przyłuski :	<i>Przekleństwo mowie</i> .....	39
Bronisław Przyłuski :	<i>O prawdziwym zwątpieniu</i> .....	41
Jerzy S. Sito :	<i>Na śmierć dobrego komunisty</i> .....	42



Maria Orzeszkowska :	<i>Absurdeska</i> .....	45
----------------------	-------------------------	----

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski :	<i>Emigracja „rewizjonistyczna”</i> ....	82
Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i> .....	90
Feliks Gross :	<i>Uwagi o Europie Wschodniej</i> ....	95

### SPRAWY I TROSKI

Bogdan Czaykowski i Bolesław Sulik :	<i>Polacy w Szkocji (2)</i> .....	107
---	-----------------------------------	-----

### NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Leon Mitkiewicz :	<i>Kartki z notatnika</i> .....	125
-------------------	---------------------------------	-----

### KSIĄŻKI

Zbigniew Jordan :	<i>Odczyty Filozoficzne</i> .....	143
Zbigniew Jordan :	<i>Wznowienie „Ruchu Filozoficznego”</i>	146
Józef L. Lichten :	<i>Kronika warszawskiego ghetta</i> ....	148
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ....	152



St. Mackiewicz, B. Czaykowski, dr W. Babiński, J. Zarański :	<i>Listy do Redakcji</i> .....	153
---	--------------------------------	-----

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ Październik — Octobre 1958**

**INSTYTUT**



**LITERACKI**

## NOTA BIOGRAFICZNA

Feliks GROSS, profesor socjologii w Brooklyn College i profesor na Wydziale Nauk Politycznych New York University. Autor prac naukowych z dziedziny socjologii, antropologii i nauk politycznych, drukowanych w wydawnictwach polskich, amerykańskich, włoskich, francuskich, meksykańskich, niemieckich, szwedzkich.

Najważniejsze książki: *Nomadizm*, Wyd. Warszawa 1938; *Proletariat i Kultura*, Warszawa 1938; *Polish Worker*, New York 1945; *Crossroads of Two Continents*, New York 1945; redaktor tomu *European Ideologies*, New York 1948; *Foreign Policy Analysis*, New York 1954; *Seizure of Political Power*, New York 1958; *Druga Rewolucja Przemysłowa*, Paryż 1958.



## DALSZE WPLĄTY NA DOM "KULTURY"

Stefan Wlekliński, Buenos Aires (Argentyna) ..... 100 peso

DZIĘKUJEMY



P. 9786 chr. Arch.

## Filozofia i współczesne społeczeństwo

Niektórzy historycy filozofii mówią o swoim przedmiocie w taki sposób, jak gdyby nie posiadał on powiązań społecznych. Piszą obszernie „Historie filozofii”, w których myśl filozoficzna jest przedstawiona w oderwaniu od poza filozoficznych czynników, takich jak wydarzenia polityczne, wierzenia religijne, odkrycia naukowe, rewolucje społeczne. W podobnych „Historiach” każdy system filozoficzny wytwarza następny w sferze czystej myśli. Sokrates daje początek Platonowi, Platon — Arystotelesowi; Descartes — Malebranche’owi; Malebranche — Leibnitzowi; Locke — Berkeley’owi, Berkeley — Hume’owi; Kant — Fichtemu; Fichte — Heglowi.

Inni historycy filozofii nie są zdolni pojąć jakiegokolwiek systemu filozoficznego bez powiązania go ściśle z czynnikami niefilozoficznymi. Ich „Historie Filozofii” są w istocie historią społeczną, polityczną lub gospodarczą; filozofia odzwierciedla w nich wyłącznie rozwój społeczny, polityczny lub ekonomiczny. W takich „Historiach” Sokrates nie rodzi Platona, ani Platon — Arystotelesa, lecz Sokratesa, Platona i Arystotelesa rodzą specyficzne okoliczności historyczne. Te okoliczności mają wyjaśniać nie tylko pochodzenie, lecz także strukturę i znaczenie wszelkiego systemu filozoficznego.

Mnie osobiście żadne z tych podejść do historii filozofii nie zadawała. Pierwsze podejście nie jest w stanie wyjaśnić roli jaką filozofia odgrywa w społeczeństwie, w którym powstała. Drugie — sprowadza jej rolę do prostego odbicia sytuacji dziejowej. Pierwsze podejście nie bierze pod uwagę ludzkiej społeczności; drugie natomiast uwzględnia *jedynie* ludzką społeczność. Chociaż, w moim przekonaniu, trzeba brać pod uwagę czynnik społeczny, gdy ma się do czynienia z filozofią, fakt że możemy użyć pojęć socjologicznych przy rozpatrywaniu teorii filozoficznych, nie koniecznie oznacza, iż te ostatnie sprowadzają się do pierwszych. Znaczy to jedynie, że ma sens badanie jednej dziedziny celem poznania roli spełnianej przez drugą.

## PODSTAWY WSPÓŁCZESNEGO SPOŁECZEŃSTWA

Aby zapoznać się z losami filozofii we współczesnym społeczeństwie, trzeba przede wszystkim zbadać strukturę tego społeczeństwa. Przyznaję, że jest to trudny problem. Pierwszym zagadnieniem jakie w związku z tym się nasuwa jest pytanie, czy jego postawienie ma w ogóle sens. Czyż dzisiejsze „społeczeństwo” nie jest rozbite na wiele grup, które wyznają całkowicie rozbieżne przekonania filozoficzne i przyjmują przeto różne podstawy do filozofii? Czyż nie wyjaśniłem już poprzednio (1), że istnieją, jak się zdaje, co najmniej trzy „współczesne społeczeństwa”, z których każda hołduje innej filozofii a tym samym posiada różne poglądy na rolę jaką filozofia powinna odgrywać w społeczeństwie? Wystarczy przytoczyć najbardziej oczywisty przykład: czy słusznie jest sprowadzać do wspólnego mianownika społeczeństwo w Stanach Zjednoczonych i w Związku Sowieckim? Czy nie jest rzeczą konieczną staranne określenie typu współczesnego społeczeństwa jaki mamy zamiar wziąć pod uwagę?

Zasadnicze różnice dzielące współczesne społeczeństwa są niewątpliwie uderzające. Jednakże zbyt silne ich podkreślanie *przystoiłoby* fakt najbardziej doniosły dla obecnych czasów i przypuszczalnie w całej historii ludzkości. Niezależnie jaki typ społeczeństwa weźmiemy pod uwagę — zachodnio-europejski, amerykański, sowiecki lub indyjski; kraje nadmiernie rozwinięte lub zacofane; państwa lub super-państwa — nieodmiennie okaże się że posiada on pewne podstawowe cechy, wspólne wszystkim współczesnym społeczeństwom. Ponieważ tendencja do uwidocznienia tych wspólnych cech będzie się prawdopodobnie w bliskiej przyszłości raczej wzmacniać aniżeli słabnąć, więc myślę, że rodzaj związku jaki obecnie istnieje między filozofią i społeczeństwem tym bardziej istnieć będzie w przyszłości.

Moim zdaniem istnieją trzy wspólne podstawowe cechy współczesnych społeczeństw: po pierwsze i nade wszystko — unifikacja (a jako jego następstwo — wzrost uniwersalizmu); po drugie — „umasowienie”; wreszcie — wzrastające stosowanie techniki. Rozważę każdą z tych cech osobno nie zapominając że są one między sobą zależne, że każda z nich prowadzi do pozostałych i jednocześnie na nich się wspiera.

## UNIFIKACJA

Proces scalania przejawia się w fakcie, że chociaż społeczeństwa (zarówno narody, jak zgrupowania narodów) żyją w częstych konfliktach między sobą, nie ma dzisiaj społeczeń-

stwa nawet najbardziej odległego i żyjącego z dala od szlaku „historii powszechnej”, które by w jakiś sposób nie było rzeczywiście zależne a tym samym faktycznie związane z resztą ludzkości. Ta zależność nie jest bynajmniej jednostronna. Nawet „nie nie znaczące” społeczeństwa są dzisiaj na tyle silne, by ich istnienie dało się odczuć na całym niemal globie. Wśród tysięcy wiadomości prasowych, które mogłyby poprzeć mój pogląd przytoczę następującą: „Wzrost ceny kakao zagraża 5-centowej tabliczce czekolady”. Ta sama wiadomość sformułowana szczegółowiej głosi: „Nadzieje Afryki na uzyskanie samodzielności podnoszą koszt kakao i zagrażają 5-centowej tabliczce czekolady”. Wyjaśnienie jest wruszająco proste: „Dążenia niepodległościowe do wyzwolenia się spod władzy brytyjskiej mieszkańców Afryki Zachodniej spowodowały zmniejszenie się amerykańskiej tabliczki czekolady i mogą ją całkowicie wyeliminować ze sprzedaży”. Wiadomość o tym ukazała się w „New York Times” z 23 stycznia 1954. Wiele podobnych wiadomości można by przytoczyć, wśród nich oczywiście również znacznie bardziej niepokojące. Podany przeze mnie przykład, chociaż jest błaży (a może właśnie dlatego), dowodzi że istniejącej obecnie współzależności społeczeństw nie należy sprowadzać do okazałych umów politycznych, wojskowych i ekonomicznych, lub do wypróbowywania coraz to potężniejszych międzykontynentalnych pocisków balistycznych.

Chętnie przyznaję, że dzisiaj ma miejsce wiele wydarzeń, których następstwa nie wychodzą poza granice lokalne. Lecz fakt że każda ludzka społeczność zdaje sobie sprawę zarówno ze swej zależności jak i pewnego wpływu jaki wywiera na wszystkie inne społeczności jest wystarczającym dowodem, że dzisiaj świat staje się „jednym światem” i że unifikacja wraz z jednocześnie wzrastającym uniwersalizmem są jego najbardziej wyraźnymi cechami. Chociaż niezawsze to co się dzieje gdzie indziej, materialnie dotyka lub wywiera wpływ na ludzi, to jednak dochodzą do nich stale wiadomości, dokładne lub zniekształcone, o tym co się wszędzie dzieje. Różne części świata są ze sobą połączone nie tylko liniami samolotowymi i okrętowymi lub misjami dyplomatycznymi. Są one również powiązane drutami telegraficznymi, falami radiowymi i telewizyjnymi antenami. Środki komunikacji i scalanie idą ręką w rękę.

Tego procesu jednoczenia nie należy porównywać ani pod względem zakresu ani nawet co do jego istoty do jakiegokolwiek innego pozornie podobnego procesu w przeszłości. Od czasu schyłku i upadku Imperium Rzymskiego do końca Wieków Średnich, Zachodnia Europa była znacznie mniej izolowana niż to wygląda w świetle powierzchownych świadectw. Na Europie Średniowiecznej odbijały się nie tylko wydarzenia zachodzące w Imperium Bizantyjskim albo na półwyspie arabskim, lecz również wydarzenia w Chinach i Mongolii — w każdym razie o tyle o ile były one przyczyną wielkich i gwałtownych wędrówek narodów. Nawet przyjmując, że Zachodnia Europa była w istocie

(1) Zob. „Les trois philosophies”, *Preuves*, Nr. 76, p. 20.

powiązana z resztą świata, pozostaje jednak zasadnicza różnica między procesem unifikacji jaki miał miejsce w tamtych czasach a tym jaki się odbywa obecnie. Różnica polega przede wszystkim na tym, że wówczas prawie nikt nie uświadamiał sobie wyraźnie jedności świata. Z drugiej strony, chociaż niektórzy Rzymianie o subtelniejszej umysłowości, a w szczególności rzymscy stoicy, stawali się prawdziwymi kosmopolitami, a zatem uświadamiali sobie, że żyją w świecie będącym pewną jednością, to jednak istnieje duża różnica co do zakresu w zachodzącym procesie unifikacji między czasami rzymskimi a naszymi. Polega ona na tym, że w tamtych czasach różne części świata nie były w istocie współzależne. Dopiero obecnie po raz pierwszy ludzkie społeczeństwo stało się społeczeństwem uniwersalnym lub bardzo do takiego zbliżonym, a to pomimo istnienia regionalnych paktów skierowanych przeciwko innym regionalnym paktom, narodowych ambicji ścierających się z innymi narodowymi ambicjami i skłóconych partykularyzmów.

Często członkowie jakiejś społeczności — jak starożytnych Chin, Egiptu, klasycznej Grecji, Imperium Rzymskiego, nowożytnej Europy — traktowali historię własnego kraju jako historię świata. Hegel próbował uzasadnić podobne roszczenia kilku społeczności, dowodząc że o ile każda z nich uosabiała *Weltgeist* o tyle jej historia była faktycznie historią świata. Nas już więcej nie bałamuci optymizm tamtych społeczeństw i akrobacyjne sztuczki Hegla. Możemy powiedzieć, że historia wszystkich społeczności jest obecnie w mniejszym lub większym stopniu historią świata. Jest dla mnie rzeczą zupełnie oczywistą, że ten fakt winien wywierać pewien wpływ na filozofię a w szczególności na rolę jaką ona dzisiaj odgrywa.

## UMASOWIENIE

Nie lubię terminu „umasowienie”. Wydaje mi się on pompatyczny, brzydki i barbarzyński. Nie mogę jednak znaleźć lepszego słowa dla zobrazowania sytuacji wytworzonej przez wrastające dochodzenie szerokich mas ludzkich do pozycji jaka przez wiele wieków była przywilejem potężnych, bogatych lub oświeconych mniejszości. Proces takiego „zrównywania” rozpoczął się najpierw w kilku państwach wysoko uprzemysłowionych i idących na czele postępu naukowego, lecz później nabrał rozpędu w większości krajów tak zwanych „zacofanych” lub „nie-dorozwiniętych”, z których jedne może miały wielką przeszłość, lecz pozornie żadnej przyszłości, a inne nie znając świetności w czasach minionych nie miały jej również, jak sądzono, przed sobą. Niezliczone rewolucje — burżuazyjne, proletariackie, kolonialne oraz inne, trudniejsze do określenia i sklasyfikowania — świadczą o sile z jaką masy ludzkie, dawniej wydziedziczone

i pozbawione wpływu, wynurzyły się na powierzchnię życia publicznego i wzięły za nie odpowiedzialność. Nie ulega wątpliwości, że te „anonimowe masy” zawsze dawały swój wkład do „powolnego kształtowania się życia codziennego”, a ten proces według Samuela Giediona spełnia „równie ważną rolę co wstrząsy historii”. Lecz nigdy dotąd nie osiągnęły one tego stopnia potęgi i wpływu w jakie są dziś wyposażone. Nie można już pisać historii na wzór Carlyle’a, jako historii wybitnych ludzi; heroizm — podobnie jak i tchórzostwo — wielu znaczy dziś tyle samo, lub nawet więcej niż heroizm i tchórzostwo kilku jednostek.

Ta siła i wpływy przejawiają się zwykle dwojako. Z jednej strony wielkie masy ludzkie uczestniczą w działaniu mechanizmu władzy w społeczeństwie. Z drugiej strony, te same masy wywierają olbrzymi nacisk przez tak zwaną „opinię publiczną”. W pierwszym przypadku stan ten wynika ze wrastającej złożoności współczesnego społeczeństwa. Współczesne społeczeństwo nie może istnieć o ile nie posiada odpowiedniej liczby wykwalifikowanych ludzi, zdolnych wykonywać coraz bardziej wrastającą ilość wyspecjalizowanych funkcji. Ponieważ przerwa w wykonywaniu tych funkcji może łatwo zahamować działanie całego mechanizmu społecznego, zatem coraz więcej ludzi uświadamia sobie, że wykonywane przez nich funkcje są istotnie nieodzowne. Samo istnienie społeczeństwa opiera się dzisiaj na umiejętnościach zawodowych i specjalizacji. To o czym się dziś stale mówi, o zapotrzebowaniu na „zdolności umysłowe” i na „wydajność mózgow”, o coraz większym zapotrzebowaniu na inżynierów, doktorów, wykwalifikowanych robotników i — na dalszą metę — na wysoko wykształconych obywateli, potwierdza fakt, że współczesne społeczeństwo potrzebuje menadżerów wszelkiego rodzaju i wszelkich stopni umiejętności. Jest więc rzeczą zrozumiałą, że ostre rozróżnienie między rządzącymi i rządzonymi powoli zanika. Władcy nadal rządzą, czasami bez litości, lecz muszą się oni liczyć z istnieniem i działalnością wielu ludzi, którzy w ten lub inny sposób pomagają im w rządzeniu.

Rezonans opinii publicznej jest może mniej ważnym wskaźnikiem niż poprzedni, tym niemniej nie można go lekceważyć. Albowiem nawet w totalitarnych krajach opinia publiczna faktycznie współdziała w podejmowaniu doniosłych decyzji, które w swych skutkach odbijają się na życiu i dobrobycie milionów ludzi. Jeśli nawet opinia publiczna jest dzisiaj urabiana w wieloraki i subtelny sposób i to w stopniu takim, iż jak niektórzy sądzą tak zwana „opinia publiczna” jest faktycznie opinią nielicznej grupy, na tyle silnej lub zręcznej, by obrócić ją a swój osobisty użytek, to jednak trzeba przyznać, że nawet ta nieliczna grupa zdaje sobie sprawę, że *musi* urabiać opinię publiczną, a zatem, że nie może uniknąć jej wpływu na własne decyzje. Czasy, kiedy mniej lub bardziej liczne mniejszości mogły, że tak powiem, „tworzyć historię” same i we własnym zakresie, należą do bezpowrotnej przeszłości.

## WZRASTAJĄCE STOSOWANIE TECHNIKI

Dążność współczesnego społeczeństwa do coraz szerszego stosowania techniki jest tak oczywista, iż niektórzy historycy i krytycy kultury dochodzą do wniosku, że nasze czasy to przede wszystkim wiek techniki. Technologia jest wszechobecna i jak niektórzy twierdzą nad wszystkim dominuje. Nie ulega wątpliwości, że technika zawsze wywierała wpływ na człowieka i na ludzkie społeczeństwo. Może nam się wydawać, że określenie człowieka jako *homo faber* jest zbyt wąskie — niemniej wąskie niż określenie go mianem *homo sapiens* — nie możemy jednak nie uznać faktu, że wynalazczość, umiejętność wytwarzania i posługiwania się narzędziami są charakterystycznymi cechami ludzkiego działania i że należą do tych czynników, które przyczyniły się do stworzenia człowieka takim jakim go znamy. Dopiero w ostatnich stu pięćdziesięciu latach, a zwłaszcza w ciągu ostatnich lat trzydziestu, mechanizacja — jak na to wskazał Giedion — faktycznie zawiadnęła życiem. Stała się mechanizacją w pełnym tego słowa znaczeniu, a nie jedynie pewnym połączeniem techniki i rzemiosła. Znalazła zastosowanie wszędzie, nie tylko na taśmie zbiorczej i w masowej produkcji przemysłowej. Rozpowszechniła się lub jest na drodze do rozpowszechnienia na całym świecie, a nie tylko w niektórych krajach przemysłowo rozwiniętych. W człowieku zrodziła się szczególnie, nieopanowana potrzeba naciskania guzików, poruszania rączek i obracania kółek sterowniczych.

Co więcej, rozpęd w stosowaniu techniki nie ogranicza się do mechanizacji w przemyśle i rolnictwie, do rozwoju systemu komunikacyjnego lub do zalewania nas coraz to innym rodzajem mechanizmów. Rozwój technologiczny dotyczy również samego człowieka, lub dokładniej — organizacji ludzkiego społeczeństwa. Zapewnić dobrobyt dla wszystkich jest zadaniem trudnym do rozwiązania, lecz sprawić, aby społeczeństwo tak niesłychanie złożone jak społeczeństwo obecne, dobrze funkcjonowało, jest zadaniem jeszcze trudniejszym. Aby to osiągnąć nie można już wyłącznie polegać na praktycznej umiejętności i na dobrym wyczuciu; nie da się uniknąć „ludzkiej inżynierii” i „planowania społecznego”. Na skutek tego, zagadnienia organizacji społeczeństwa ludzkiego są w dużym stopniu zagadnieniami technicznymi. Pęd do stosowania techniki, tak widoczny we współczesnych społeczeństwach na całym świecie, jest znacznie ważniejszy i znacznie głębiej przenika wszystko niż skłonni jesteśmy to przyznać, gdy niesłusznie pomniejszamy znaczenie terminu „technologia” sprowadzając go do „nauki stosowanej” lub do „zastosowań nauki w przemyśle”.

## ZARZUTY I ODPOWIEDZI

Zdaję sobie sprawę, że powyższy opis współczesnego społeczeństwa może się spotkać z licznymi zarzutami. Zanim więc

przejdę do innych spraw najlepiej będzie wspomnieć o najbardziej oczywistych. Pierwszy zarzut mówiłby, że to co powiedziałem jest fałszywe. Drugi — że to co powiedziałem jest prawdą, lecz prawdą banalną. Trzeci — że to co powiedziałem jest prawdziwe, ale stanowi rzecz ubolewania godną.

Nie trudno jest dać odpowiedź na zarzut pierwszy. Wystarczy wskazać, że chociaż opisane cechy nie są jedyne, jednak należą do najogólniejszych. Wierzenia religijne, poglądy polityczne, struktura psychiczna, tradycje historyczne itp. ważą bardzo wiele we współczesnym świecie. Lecz nie są one te same we wszystkich ludzkich społecznościach. W istocie rzeczy stanowią one o różnicach między nimi. Ponieważ chciałem podkreślić to co społeczności ludzkie upodabnia, gotów jestem przyznać, że mój opis jest niezupełny, ale nie zgadzam się na to, że jest fałszem.

Na drugi zarzut jest trudniej odpowiedzieć, lecz jego odparcie nie jest rzeczą niemożliwą, jeśli ma się do dyspozycji dosyć miejsca i czasu. Jeśli się nawet przyjmie — głosi sens tego zarzutu — że scalenie, umasowienie i stosowanie techniki są charakterystycznymi cechami współczesnego społeczeństwa, to należy je traktować jako cechy zewnętrzne i powierzchowne. Często twierdzi się, że poza nimi ukrywają się inne czynniki, które przenikają istotę ludzkiego istnienia. Niektóre z nich są raczej indywidualnej i osobistej natury, jak na przykład brak poczucia przynależności, trwoga, żądza władzy, potrzeba buntu (lub konformizmu), chęć ucieczki od wolności lub jej poszukiwanie, tęsknota do jakiegoś absolutu. Inne są w swej istocie bardziej społeczne i zbiorowe, jak na przykład różne polityczne i społeczne mity, dążące do opanowania „głębszych” pokładów ludzkiej umysłowości, nieustające błąkanie się zbiorowej podświadomości, wszystko przenikające ideologiczne maskowanie się. Uderzające zjawiska współczesnej historii — autokracja w polityce, surrealizm w sztuce, irracjonalizm w filozofii, zdają się wskazywać na to, że dla zrozumienia formy i treści dzisiejszej cywilizacji należy bardziej uwzględnić „głębokie” niż „powierzchowe” jej cechy. Chociaż nie przeciwstawiam się całkowicie opinii, która traktuje wyżej wymienione cechy charakterystyczne jako ważne — jak na to sam gdzie indziej wskazywałem, mówiąc o doniosłej roli jaką „pragnienie absolutu” odgrywa w naszym wieku — nadal podtrzymuję swój pogląd na tej zasadzie, że cechy te nie są dostatecznie rozpowszechnione. W każdym razie nie są one w tej mierze specyficzne dla naszej epoki co unifikacja, umasowienie i wzrastające stosowanie techniki. Co się tyczy zarzutu, że wymienione przeze mnie cechy są cechami powierzchownymi, to bardzo wątpię, czy przymiotnik „powierzchnowy” może być użyty jako trafny argument przeciw mojemu stanowisku. Pęd do techniki mógł być nieważny, a tym samym powierzchowny, w jakichś minionych epokach, kiedy to technikę traktowano co najwyżej jako „niższego ro-

dzaju umiejętności”. Nie jest on jednak powierzchowny w dobie gdy samo istnienie społeczeństwa jest związane z rozwojem technologii, która z kolei zależy od doniosłych odkryć naukowych. Trudno jest pominąć umasowienia pod pozorem, że jest ono pozbawionym znaczenia zjawiskiem w czasach, gdy ilość nie wyraża się jedynie w liczbach, lecz oznacza również sposób życia. Co zaś się tyczy unifikacji, to jej przypadkowy charakter należy odrzucić z chwilą gdy zdamy sobie sprawę, że na nasze myśli i na nasze zachowanie silnie oddziałują fakt stałej współzależności i wszelkiego rodzaju komunikowania się między ludźmi.

Trzeci zarzut jest istotniejszy niż oba pozostałe, gdyż wskazuje na widoczne skazy i niedole obecnej epoki. Często się twierdzi, że opisane przeze mnie tendencje prowadzą w życiu do zatury, poniżenia, zdrady w stosunku do siebie, samozapomnienia, samowyobcowania się, braku wewnętrznej swobody, odpowiedzialności i autentyczności — jednym słowem do „nicości”, o której się dziś tak dużo mówi. Co gorzej, nicność przyjmuje się jak gdyby była pełnią Istnienia: byle jaka rozrywka i zmienny nastrój gotowe są zastąpić głębsze zastanowienie i prawdziwe męstwo charakteru. Wielcy pesymiści dziewiętnastego wieku, jak Schopenhauer i Eduard von Hartmann, przewidzieli niektóre tego stanu rzeczy następstwa. Dla nich cała historia ludzkości była historią złudzeń, które mógł rozwiązać głęboki metafizyczny wgląd w beznadziejność wszystkich spraw ludzkich. Takie same następstwa przewidział w sposób wstrząsający Dostojewski w „Legendzie Wielkiego Inkwizytora”, oraz Nietzsche w oskarżeniu zwróconym przeciw „fali nihilizmu” zalewającej Europę i cały świat. One też były głównym przedmiotem dogłębnej analizy podjętej przez Kafkę i niektórych przodujących egzystencjalistycznych filozofów i powieściopisarzy. Niektórzy pisarze uważaliby, że cechy które według mnie wyróżniają współczesne społeczeństwo są w istocie tylko słowną zasłoną dymną ukrywającą obecny stan poniżenia ludzkiego. I tak Heidegger pisze: „Ta nieszczęsna zaślepiona Europa, wiecznie znajdująca się na krawędzi samounicestwienia, leży obecnie w ramionach wielkich kleszczy, Rosji z jednej strony i Ameryki — z drugiej. Z metafizycznego punktu widzenia Rosja i Ameryka są identyczne: to samo jałowe szaleństwo rozpętywania technologii i wtłaczanie Szarego Człowieka w organizację pozbawioną jakichkolwiek korzeni. Gdy najdalszy kraniec globu został technicznie zdobyty i udostępniony dla ekonomicznej eksploatacji, gdy każde wydarzenie w każdym miejscu i o każdym czasie staje się dostępne z dowolną szybkością, gdy możemy jednocześnie „przeżywać” zamach na życie króla we Francji i koncert symfoniczny w Tokio, gdy czas jest niczym więcej, jak szybkością, momentem i jednoczesnością, a czas jako historia zniknął z życia wszystkich narodów, gdy bokser uchodzi za bohatera narodowego, gdy obecność milionów na zgromadzeniu jest triumfem — wówczas, tak, wówczas, poprzez zasłonę tych

cieni chwyta nas upiornym uściskiem pytanie: Po co? Dokąd? Co potem?”

Prorocy zguby nigdy dotąd nie mieli tylu okazji, by swym przepowiedniom nadać cechy prawdopodobieństwa. Istotnie, ich przepowiednie brzmią prawdopodobnie. Lecz zdaje się nie biorą oni pod uwagę tego, że wszystkie wielkie ludzkie sprawy kryją w sobie dwie możliwości. Nie ulega wątpliwości, że scalenie świata może doprowadzić do amorficznego kosmopolityzmu, w którym wszystkie ludzkie społeczeństwa przestaną się między sobą różnić i staną się w równym stopniu nieciekawe. Z drugiej jednak strony scalenie może być kluczem do braterstwa między ludźmi. Umasowienie może pozbawić jednostkę jej duchowej treści, może stworzyć Przeciętnego Człowieka zawsze gotowego zniszczyć każdego kto się wybija ponad przeciętność. Lecz umasowienie może również każdemu zapewnić prawdziwą równość. Postęp techniczny może sprowadzić się do masowej produkcji oraz masowej konsumpcji aparatów telewizyjnych i najnowszego typu samochodów. Lecz może on również przyczynić się do podniesienia poziomu życia biednych na całym świecie. Rozwój techniczny może budzić w ludziach pragnienie coraz wygodniejszego życia oraz świadomość komfortu, którego następstwem może być utrata zdolności do wytrwania i poświęceń. Może on jednak tak samo pobudzić ducha odkrywczego, gotowego na podbój nowych światów — tego samego ducha, który w przeszłości prowadził do wypraw odkrywczych na ziemi i który w przyszłości może prowadzić do wypraw w kosmos.

## FILOZOFIA WE WSPÓŁCZESNYM SPOŁECZEŃSTWIE

Jak się wydaje, w społeczeństwie takim jakim go opisałem, filozofia zdolna jest odgrywać tylko bardzo skromną rolę. Nic więc dziwnego, że niektórzy dzisiejsi filozofowie — ci zwłaszcza którzy są najbardziej wrażliwi na sytuację historyczną i najmniej gotowi do konformizmu (lub do buntowania się) bez słusznych racji — oddają się od czasu do czasu melancholijnym rozważaniom porównyując poważanie jakim się filozofia cieszyła w przeszłości z tego brakiem obecnie. Na przykład zwracają oni uwagę na to, że gdy dawniej filozofia była królową nauk, tak obecnie ogranicza się do jednego wydziału studiów uniwersyteckich, na który niezbyt wielu słuchaczy się zapisuje. Wskazują również na to, że minęły już czasy kiedy filozofię traktowano jako rodzaju umysłowego arsenału, z którego można było czerpać broń dla obrony wierzeń religijnych, teorii naukowych, prądów artystycznych lub ideologii politycznych. Trzeba przyznać, że idee filozoficzne są nadal używane — a także często nadużywane — lecz niewielu zgodziłoby się z twierdzeniem, iż idee te stanowią intelektualny układ odniesienia dla nie-filozoficznego myślenia.

Jest oczywiście wiele słuszności w tych wszystkich ubolewaniach. Jednak byłoby śmieszną rzeczą wyciągnąć z tego wniosek, że w przeszłości, to znaczy w przeszłości Zachodu, filozoficzne myślenie przenikało całe społeczeństwo, podczas gdy obecnie wywiera ono swój wpływ tylko na coraz bardziej kurczącą się część tego społeczeństwa. Zagadnienia stosunku między filozofią i społeczeństwem nie można sprowadzać do tak uproszczonej postaci. Celem zrozumienia co to zagadnienie w sobie kryje należy wziąć pod uwagę dwa fakty.

Pierwszym z nich jest to, że filozoficzne myślenie, a zresztą i czysta nauka, były zawsze domeną małych grup ludzkich. W pewnych warunkach te grupy rozrastały się pod względem liczebny i wpływu jaki wywierały, lecz zawsze stanowiły one mniejszość. Z tego punktu widzenia nie można wykryć istotnej różnicy między pozycją jaką filozofia zajmowała w społeczeństwie w przeszłości a tą jaką zajmuje obecnie.

Drugim faktem jest to, że wyrażenie „rola jaką filozofia odgrywa w społeczeństwie” zmienia swoje znaczenie w zależności jaki typ społeczeństwa bierzemy pod uwagę. W tych społeczeństwach w przeszłości, które według określenia Dawida Riesmana, były bądź „zwrócone ku tradycji”, bądź „zwrócone na wewnątrz”, znaczenie powyższego zwrotu było mniej lub więcej równoważne wyrażeniu „rola jaką filozofia odgrywa w intelektualnych kołach rządzącej mniejszości”. Filozofów nie niepokoił problem przekazywania idei filozoficznych ludziom nieprzygotowanym do teoretycznych rozważań. Przyjmowali oni, że los filozofii jest związany z losem „klasy intelektualistów”, lub z losem grup społecznych bezpośrednio zainteresowanych działalnością „intelektualnej klasy”. Nawet wówczas gdy filozofowie uważali, że ich działalność rzeczywiście wykraczała poza ograniczenia społeczne i była przeznaczona nie tylko dla zamkniętej grupy jednostek, lecz również dla całej ludzkości, wyrażali to zazwyczaj w sposób bardzo abstrakcyjny: prawda filozoficzna jest prawdą powszechną. Wyrażenie „cała ludzkość” nie określało jakiegoś konkretnego zbiorowiska ludzi; oznaczało ono człowieka jako istotę racjonalną — najbardziej abstrakcyjną rzeczywistość jakiej nigdy nie można znaleźć w obcowaniu społecznym.

Natomiast w dzisiejszym społeczeństwie, w społeczeństwie które Riesman określa jako „zwrócone ku innym”, zwrot „rola jaką filozofia odgrywa w społeczeństwie” jest równoważne wyrażeniu — „rola jaką filozofia może odgrywać (jeśli w ogóle jakąś rolę odgrywa) w całym organizmie społecznym”. Uzasadnienia tego nowego sformułowania należy szukać w samej strukturze współczesnego społeczeństwa. Skoro to społeczeństwo jest lub staje się społeczeństwem w którym mniejszość intelektualistów utraciła tradycyjną wiarę we (względnie) niezależny i (względnie) samowystarczalny charakter swej działalności, pytanie jak przekazać innym nie-intelektualnym grupom wyniki

filozoficznych i w ogólności umysłowych osiągnięć urasta do wielkich rozmiarów. Filozofowie czują, że muszą znaleźć drogę do szerokich mas odbiorców. Wiedzą oni, lub powinni wiedzieć, że o ile nie uda im się znaleźć miejsca w społeczeństwie, to mogą w końcu nie mieć go wcale.

## PARADOKS

Gdy rozpatrujemy losy filozofii w takim społeczeństwie, jakim je opisałem, napotykaemy intrygujący paradoks. Z jednej strony wydaje się, że nigdy dotąd tak wiele osób nie studiowało filozofii. Z drugiej strony wygląda na to, że nigdy w przeszłości nie liczono się tak mało z działalnością filozoficzną i nigdy nie była ona tak pozbawiona wpływu w świecie.

Jest to, jak sądzę, niezaprzeczalnym faktem, że wielu ludzi studiowało, studiuje i przypuszczalnie będzie studiować filozofię, lub przynajmniej pewne jej dyscypliny. Jest rzeczą jeszcze mniej wątpliwą, że znacznie więcej ludzi miało, ma i przypuszczalnie będzie miało styczność z filozofią przez czytanie od czasu do czasu filozoficznych artykułów oraz książek, lub przez wysłuchanie filozoficznych odczytów. Wielu ludzi styka się obecnie z filozofią w tej lub innej formie przeważnie jako z działalnością intelektualną w ramach pewnej instytucji. Filozofia posiada dzisiaj, jak to podkreślił Ortega y Gasset, materialne atrybuty. „Istnieją budynki, w których uprawia się filozofię i zajęcia, które pozwalają się z niej utrzymać”, są książki filozoficzne „produkowane przez przemysł wydawniczy i sprzedawane w sposób handlowy”. Ta „publiczna realność” filozofii nie budzi zdziwienia. Bardziej dziwiłby odmienny stan rzeczy. Przypuszczam, że wielu ludzi, którzy o filozofii niewiele myślą, odnoszą się do niej z małą sympatią lub są jej całkowicie pozbawieni, byłoby zdziwionych, gdyby nagle profesorowie filozofii byli zmuszeni opuścić katedry, a firmy wydawnicze, nie mówiąc już o wydawnictwach uniwersyteckich, postanowiły zawiesić wszystkie publikacje filozoficzne. Jak to Ortega y Gasset określił, filozofia sprawia wrażenie, że jest „zbiorową potrzebą”. Wątpliwość, dlaczego miałyby istnieć potrzeba filozofii, może się nasunąć tylko niewielu ludziom, a poważnie zastanawiać się nad tym mogą jedynie filozofowie znani ze swej ironicznej skłonności do odrzucania filozofii jako pustych słów. Mówiąc zwięźle, filozofię przyjęto uważać za rzecz oczywistą i nie tylko nie grozi jej zagłada, lecz wydaje się że w obecnych czasach daje ona sobie lepiej radę aniżeli w przeszłości. Były okresy, gdy filozofia cieszyła się opieką jednego z cesarzy, królowej, arystokracji lub burżuazji. Nigdy jednak dotąd nie korzystała ona, tak jak obecnie, z „oficjalnej” opieki społeczeństwa. Chcąc uczcić filozofię, społeczeństwo zadeklarowało, że tak powiem, iż filozofia jest



„publiczną potrzebą”, to znaczy że zrobiono z niej przedmiot studiów dla wielu, a czasami nawet obowiązujący przedmiot dla wszystkich.

Chciałbym podkreślić, że honorowe miejsce jakie obecnie filozofia zajmuje w systemie nauczania jest bardziej znamienne aniżeli wówczas gdy była propedeutyką studiów teologicznych lub nazwą mającą określić wszystkie nie-zawodowe studia. Powiedzenie, że filozofia jest niezbędna dla studiów teologicznych, stwierdza że nadaje się ona do pewnego celu, nie koniecznie jednak jest dobrem samym w sobie, gdyż w rzeczywistości można by ją zastąpić jakąś inną dyscypliną umysłową. Włączenie studiów matematyki, fizyki i biologii do ogólnego „wydziału filozoficznego” służy do tego, aby matematyce, fizyce i biologii nadać wygodną wspólną nazwę. Nie musi to jednak znaczyć, że nauki te są naukami filozoficznymi we właściwym tego słowa znaczeniu. Fakt że filozofia stała się obecnie samodzielnym wydziałem dowodzi, iż zdolna jest istnieć sama przez się. Tak więc filozofia została uczczona w dwojaki sposób: jako niezależny przedmiot studiów oraz jako stosowny — kto inny powiedziałby nieodzowny — warunek porządnego wykształcenia.

Jeśli filozofia rozprzestrzeniła się, oczywiście w rozsądnych granicach, tak szeroko, można by twierdzić, że nie ma problemu porozumiewania się w sprawach filozoficznych. Jak stwierdziliśmy, świat jest lub staje się „jednym światem”. Oświata, łącznie z nauczaniem filozofii, jest ze wszystkich stron zalecana. Postęp techniczny sprzyja zwiększeniu się ilości wydawanych książek i ich szerokiemu rozpowszechnianiu, wśród nich również dzieł filozoficznych. Czy wobec tego można na serio utrzymywać, że w świecie w którym filozofia cieszy się takimi przywilejami jest ona w gruncie rzeczy pozbawiona wpływu? Czy żale filozofów na intelektualną izolację nie są jeszcze jednym objawem ich nieuleczalnego snobizmu?

Osobiście uważam, że filozofowie nie powinni narzekać. Jeśli jednak chcą narzekać, to mają oni po temu inny wystarczający powód. Albowiem chociaż istnieje spora liczba, być może nadal zwiększająca się, stałych katedr filozofii, chociaż ukazują się wiele książek filozoficznych, obecność filozofii we współczesnym świecie ledwo daje się dostrzec. Ponieważ zaś w tym świecie filozofia, jak zresztą i każda inna twórcza działalność umysłowa, nawet gdy jest i zapewne zawsze pozostanie tworem nielicznych, nie może się zadowolić — jak to miało miejsce w przeszłości — zainteresowaniem małych grup, konieczność znalezienia drogi wyjścia z takiej sytuacji stanowi jedną ze stałych trosk filozofów. Filozofowie doszli do zrozumienia faktu, że jeśli zależy im na uniknięciu losu tych wszystkich, którzy udają że nie wiedzą jakim jest świat obecnie, muszą rozpowszechnić wiedzę filozoficzną wśród wielkich grup ludzi i to nie tylko jako wiedzę akademicką, lecz również jako wiedzę obejmującą zasadnicze ludzkie postawy.

## POROZUMIEWANIE SIĘ W FILOZOFII

Zagadnienie szerokiego rozumienia spraw filozoficznych stwarza niezwykle trudny problem. Nie można go łatwo rozwiązać, lecz ostatecznie jakiś sposób, chociaż tymczasowy, powinno się znaleźć.

Rozwiązaniem nie może być popularyzacja filozofii. Co innego jest produkowanie książek pod tytułem „Filozofia dla milionów”, a co innego jest myślenie filozoficzne, które może oddziaływać *zarówno* na wysoce wykształconą mniejszość, jak i na filozoficznie niewykształconą większość. Aby filozofia stała się żywym współczesnym zagadnieniem, filozof powinien unikać popełniania dwóch pospolitych błędów: wulgaryzowania filozofii przez sprowadzanie jej do poziomu szerokich mas odbiorców, oraz skostnienia filozofii przez zamknięcie się w wieży z kości słoniowej. Bardzo łatwo jest dostrzec ryzyko popełnienia pierwszego z nich i wielu skłonnych jest przeto sądzić, że jedynie ten błąd wchodzi w rachubę. Natomiast niewielu myślało o uniknięciu drugiego, bardziej zdradliwego błędu. Mówiąc o sztuce, a w szczególności o literaturze pięknej, Dwight Macdonald pisał: „Nasz gust może ulec zepsuciu nie tylko przez umasowioną kulturę, lecz i przez jej przeciwieństwo”. Jak sądzę, to słuszne ostrzeżenie ma zastosowanie również w filozofii.

Jeśli chodzi o problem rozpowszechniania filozofii na użytek współczesny wśród szerokich kręgów odbiorców, mam wrażenie że powinniśmy zająć taką samą postawę, jak gdyby mowa była o osiągnięciach artystycznych zachowujących ponadczasową wartość, o czymś co dopuszcza różne stopnie zrozumienia. Podobnie jak się to dzieje w odniesieniu do wielu dzieł sztuki, należałoby rozwijać myśl filozoficzną w ten sposób, by ludzie o różnorodnych umysłach mogli z niej korzystać, każdy stosownie do swych możliwości. Skarby filozofii nie muszą być w równej mierze udziałem wszystkich. Powinny być one raczej dzielone i to dzielone nierównomiernie. Filozofia nie powinna trzymać się z dala od ogółu społeczeństwa, lecz nie powinna również zniżać się i czynić to, czego od niej ten ogół żąda. Powinna pozostać wierna sobie, co również oznacza pozostawanie wierną jej własnym czasom.

Współczesny przeciętny człowiek nie jest niewątpliwie wolny od winy za brak zainteresowania dla filozofii. Zanedo przyzwyczaił się on obywać w swoim życiu bez myślenia. Lecz moim zdaniem za trudności w rozumieniu filozofii większą winę ponoszą filozofowie. Ostatecznie tak zwany „szary człowiek” jest zbyt pochłonięty własnymi sprawami, by mieć czas i odczuwać potrzebę parania się z problemami, które muszą wydawać się mu dość odległe. Natomiast filozofowie takiego usprawiedliwienia nie mają. Ich zadaniem jest nie tylko myśleć, lecz i znajdować możliwe najlepsze sposoby, aby ich myślenie stało się zrozumiałe dla innych. Wydaje mi się, że pod tym względem

filozofowie często zawodzą, ponieważ wybierają jeden z dwóch ślepych zaułków: albo poświęcają wyłącznie uwagę sprawom formalnym metody filozoficznej i robią z filozofii naukę ezoteryczną, albo też zajmują się zagadnieniami najbardziej ogólnymi i zamieniają często filozofię w coś, co już filozofią nie jest. Innymi słowy, gdy filozofowie zajmują się filozofią na serio wówczas skłonni są do zajmowania się mało ważnymi sprawami, gdy natomiast zajmują się ważnymi sprawami wówczas stają się mało filozoficzni. W rezultacie filozofia stała się w pewnych kołach czynnością wysoce skomplikowaną, czerpiącą inspirację z samej siebie, w innych — szeregiem sloganów na użytek walki ideologicznej.

Ustalenie tego, czy i jak filozofia może odgrywać pewną rolę we współczesnym społeczeństwie, nie określa jeszcze roli, jaką powinna spełniać. Czy filozofia powinna dostarczać racjonalnego uzasadnienia dla ludzkiego postępowania? Czy powinna stwarzać ramy dla prostego, ścisłego, bezkompromisowego myślenia we wszystkich intelektualnych ludzkich wysiłkach? Czy powinna być intelektualnym miejscem spotkań nawet gdy jest ona jednocześnie kulturalnym polem bitwy? Wydaje mi się, że wszystkie wymienione funkcje byłyby właściwym zadaniem dla filozofii, a niektóre z nich są nadto bardzo pojętne. Natomiast nie przypuszczam, aby należało obecnie obarczać filozofów zbyt wielo zadaniami. Wystarczy jeśli będzie im przyświecać bardzo prosty cel: udostępnić w różnym stopniu wszystkim ludziom te racjonalne prawdy, do jakich filozofom udało się dojść. Czas spędzony nad tym zadaniem okaże się owocny nie tylko w sensie filozoficznym lecz i społecznym. Będzie on zaś na pewno wydajniej zużyty niż gdyby się go miało poświęcać na oskarżanie „naszej upadającej cywilizacji”, jak to robią niektórzy filozofowie, podczas gdy inni marnują go zastanawiając się na przykład nad tym, co się dzieje gdy na skutek nieuwagi ktoś zapomina o bólu głowy, czy mianowicie, jak to sformułował pewien oksfordzki filozof, nieuwaga sprawia, iż głowa przestała boleć, czy też iż przestał czuć, że go głowa boli.

*José Ferrater MORA*

(Tłum. W. Czapska-Jordan)

## Fragment z dziennika

*Niedziela*

Choro  
ba  
Chory jes  
Nie chce mi

*Poniedziałek*

Rzucam się na łóżko — odpoczywam — najczęściej ze „Szkicami piórkim” Andrzeja Bobkowskiego. Dwa grubawe tomy. Dziennik. Podtytuł: „Francja 1940-44”.

Namiętnie uprawiam czytanie dzienników, wciąga mnie jama cudzego życia, choćby przyozdobiona a nawet skłamana — ale, tak czy owak, to rosół na smaku rzeczywistości i lubię wiedzieć, że, na przykład, 3 maja 1942 r. Bobkowski uczył żonę jeździć na rowerze w lasku Vincennes. A ja? Co robiłem w tym dniu? Zobaczycie, a raczej nie zobaczycie: za 200 lub 1.000 lat powstanie nowa wiedza, ustalająca zależności w czasie poszczególnych ludzi i wtedy będzie wiadomo, że to co jednemu się przydarza nie jest bez związku z tym, co równocześnie innemu się wydarzyło... I ta synchronizacja egzystencji otworzy nam perspektywę... ale dość... Zapiski Bobkowskiego dotyczą dwóch moich zainteresowań, Francji i Polski — to jest główny powód, że je studiuję. Pisane na gorąco i z pasją, choć nie obyło się, przypuszczam, bez pewnego retuszu ex post. Gorąco tej krytyki powoduje, że krytyka natychmiast wywołuje krytykę tejże krytyki... itd. — (sens tego zdania za chwilę stanie się jaśniejszy).

Ojczyzny... Jak do nich się dobrać? To prawie temat niedozwolony. Gdy człowiek pisze o ojczyźnie, skręca mu się styl. Jak pisać — przypuśćmy — o Polsce nie wpadając w owo kła-

syczne „bo my, Polacy”, nie robiąc z siebie Europejczyka, nie nadrabiając miną, nie upokarzając się, nie wywyższając — bez zgrywy, szarzy, bez gryzienia, kopania i szarpania... jak kłaść palce we własną ranę, nie wyczyniając z bólu najprzeróżniejszych grymasów? Jak łechtąć się w tę piętę achillesową nie robiąc z siebie pajaca? Odkrywam w książce Bobkowskiego, na przestrzeni lat 1940-44, te same wykluwające się uczucia, które i mnie oblażyły kiedy dojrzywał mi zarys Trans-Atlantyku — on także sarka, buntuje się, bluźni... Ale we mnie, może wskutek większego geograficznego dystansu, a może wskutek większego dystansu duchowego (co innego utwór artystyczny, co innego dziennik), ten proces antypolski został zamrożony, ja o Polsce pisałem zawsze chłodno, jak o *jednej* z przeszłości, utrudniających mi życie, dla mnie Polska była i jest tylko jednym z rozlicznych moich kłopotów, ani na chwilę nie zapomniałem o *drugorzędności* tego tematu. Bobkowski, młodszy, w swoim dzienniku, na gorąco pisanym, mniej ode mnie jest zimny — on Polskę odpycha od siebie, ale, odpychając, rani sobie rękę do krwi. Ja chcę się wyzwolić! — krzyczy. — Ja nie będę spalał się na tym ołtarzu, ja chcę żyć na własny rachunek... ale krzyk własnie, tak namiętny, świadczy, że pewnowina nie została przecięta — jego negacja i lepiej wyraziłaby się chyba głosem cichym a nawet zwyczajnym, z tych obojętnych, odbierających tematowi centralne znaczenie. „Szkice” byłyby stylistycznie mocniejsze, gdyby walka wręcz z mitem polskim została z nich usunięta.

Niesłychane jest pomieszanie w naszych głowach w związku z tym „uniwersalizmem”, który stał się nam modny. Na przykład — pan Kisiel. Dla wielu z nas uniwersalizm równa się nie pisaniu o Polsce i prawie nie pisaniu po polsku. Na przykład — p. Michał K. Pawlikowski. W recenzji jego o książce Józefa Mackiewicza „Kontra” czytamy:

*„Nie wahałbym się nazwać Józefa Mackiewicza najbardziej „niepolskim” ze wszystkich pisarzy polskich. Istotnie: sceną i klimatem „Drogi do nikąd” jest skrawek dawnej Litwy i — jeśli nie liczyć języka — tzw. „polskość” nie jest „kamertonem” powieści. Wątek „Karierowicza” byłby możliwy w każdym kraju. Wreszcie „Kontra” jest utworem po którego przeczytaniu obcy czytelnik nie domyśliłby się, że autorem jest Polak”.*

Po czym p. Pawlikowski wyrokuje, że ja jestem pisarzem „bardzo polskim”, a Mackiewicz wskutek powyższych właściwości swoich „ogólnoludzkim”.

Ależ dlaczego, p. Pawlikowski? Co ma wspólnego ogólnoludzką pisarza z jego tematyką?

Mackiewicz jest — oczywiście — rdzennie, do szpiku kości polsko-kresowym artystą... ale to — rzecz jasna — w niczym nie przeszkadza jego „ogólnoludzkości”. Ponieważ jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

Najbardziej uniwersalni pisarze francuscy, lub włoscy, byli jednocześnie najbardziej francuskimi i włoskimi pisarzami — gdyż sztuka jest (jak z dawna i dobrze wiadomo) wyniesieniem prywatnej, poszczególniej, lokalnej, nawet zaściankowej konkretności do wyżyn wszech... do wymiaru kosmicznego...

Najbardziej światowe melodie Szopena są najbardziej polskimi melodiami — gdyż sztuka jest (już prawie śmieszne o tym pouczać) ukazaniem pierwiastka typowego, powszechnego i wiecznego w tym co konkretne, indywiduálne, przemijające.

I śmieszne doprawdy, że Jacek Bocheński wydziwia (za p. Kisielem), że ja mam w „Trans-Atlantyku” „niezdrowy romans i zasadniczy szal” z polskim moim dziedzictwem. Z jakimże mam mieć? Z chińskim?

Powróćmy jednak do Bobkowskiego. Niejedno dałoby się powiedzieć o tym jak w jego dzienniku wypracowuje się nowy styl Polaka Wyzwolonego... i nie bez męczącej szarpaniny... gdy Bobkowski, inteligencja żywa a do tego talent, z przerażeniem widzi, iż wydobywając się rękami i nogami z Polski wpada w nowy szablon tym razem antynarodowy... i dalej szukać wtedy jakiegoś antydotum na ten konwenans polskości *à rebours*... a ta nowa forma znowu domaga się korekty. W dziele sztuki to byłoby może szokujące. W dzienniku? Tu chcemy mieć życie na żywo i autora w pełnym wrzeniu, jeszcze niedoskonałego. I spójrzmy na datę. Któż w tych latach 1940-44 nie był w stanie wrzenia?

Ale nie Polska w jego dzienniku najbardziej interesująca, tylko Francja.

Francja, która w ciągu wieków stała się międzynarodowym kompleksem. To aż się prosi o psychoanalizę. Ludzie ogłupieni Francją — narody całe zaczarowane Francją — Francja zmitologizowana, Paryż baśniowy! W Ameryce spotygam się na każdym kroku z tym nieprzytomnym: ah, Paris, ah, Paris! Ale na naszym podwórku też stoi ten ołtarz i odbywają się modły, podrygi, płasy, lansady, wygibasy — że pominię już ową rozkoszną francuskość z drugiej ręki, tę tak niestrudzoną imitację, praktykowaną przez rozmaitych panów Sakowskich, a będącą także niestrudżonym kłanianiem się w pas mitowi. Nie, nie tylko byli członkowie MSZetu są do tyła kulturalnie zaopatowani, nabożeństwo przenika na wskroś górną warstwę społeczną i Bobkowski, polski inteligent w Paryżu zamieszkały, nie zdołał ująć magii. Ale „historyczna” waga jego zwierzeń na tym polega, że tu już pojawia się wola zniszczenia mitu — i podobnie, jak uderza w Polskę, tak też z furją rzuca się na Francję, a młode i burzliwe ramię zadaje ciosy własnemu marzeniu. Tu już z innej pozycji zaczyna się nasza rozmowa z Francją i, choć autor nie odnajduje jeszcze pełnej suwerenności, ton staje się nieskończenie ostrzejszy i bardziej rzeczowy, i pojawia się trudny do sprecyzowania akcent, który zdradza, że romans się skończył na zawsze i pozostaje tylko podsumowanie rachunków. Tym cen-

niejszy dla mnie ten ton i ten akcent, że odnajduję je w zapisach dotyczących powszechnego dnia i zwykłych zdarzeń.

Niedziela

Po powrocie z Tandilu zastałem na biurku powieść „Sprzysiężenie”, przestaną mi z Polski przez autora, p. Stefana Kisielewskiego („Kisiela”) z pojednawczą dedykacją:

„Panu W. G. „facetowi”, który udął, że nie zrozumiał mojego o nim felietonu, stały entuzjastyczno-krytyczny czytelnik — Kisiel. Kraków, 18.XII.57”.

Odpisałem:

„Szanowny Panie, przepraszam, że dotąd nie podziękowałem za „Sprzysiężenie” z dedykacją, ale przez pół roku prawie przebywałem poza Buenos Aires.

Pięknie — dedykacja miła — ale dlaczego Pan wypisuje o mnie te głupstwa? Mówię „głupstwa” nie żeby Pana obrazić, a dlatego że jest Pan w tym poniżej swojego poziomu. Pierwszy Pana felieton zawierał nonsensy, które mogłem sobie wytłumaczyć tylko nieznaną tematu — że Pan zapomniał „Ferdydurki”, a „Dziennik” znalazł z jakiegoś fragmentu w „Kulturze”. Drugi artykuł wykazuje większe oczytanie, a jednak wciąż upiera się Pan przy swojej tezie, tak uproszczonej dziecinnie i niezgodnej z moją osobą, gatunkiem, rzeczywistością.

Pan myśli, że mogę być jednocześnie awangardą i anachronizmem, inteligencją i głupstwem, nowatorstwem i kowenanssem — że mogę jednocześnie pisać książki raczej przenikliwe i oddawać się tak kiepskiemu banatowi, jak ten, który Pan mi przypisuje? Nie, to się nie zdarza. Pan ujął moją rozprawę z polskością płyciutko, jakby to gazeta przemawiała, a nie sztuka. Nie rozumiem Pan jej genezy, jej związków z całokształtem mojej sztuki i mojego poglądu na świat.

Mnie to nie szkodzi — nawet dogadza, bo im bardziej Pan mnie zwezi, ścieśni, tym silniej wybuchnę, a polemika z Panem będzie polemiką z płyciznami i mieliznami współczesnego myślenia polskiego (odłam katolicki). Ale dziwię się, że Pan występuje w tej roli, jako koryfeusz. To nie dla Pana. Jest Pan godzien lepszego losu. Piszę to z całą życzliwością, gdyż chyba „osobiście” nie jesteśmy wrogami. Proszę się nie gniewać za ten list. Łączę ukłony i pozdrowienia...”

Wybitnie nieudany list. Pomijam, że budowa niektórych zdań niejasna i niezręczna. Gorsze są wpadunki natury duchowej. Dlaczego napisałem coś co upoważnia do wzruszenia ramionami i mruknięcia: — Jemu przewróciło się w głowie! Ale mnie nie

przewróciło się w głowie. Ja tylko, pisząc to, nie wiem dlaczego zapomniałem zadbać o nie danie podstawy do wzruszenia ramionami i mruknięcia — jemu przewróciło się w głowie! Z niewiadomych przyczyn na mgnienie oka opuściła mnie świadomość tego niebezpieczeństwa — którego na ogół tak jestem świadomy!

Piątek

Tyrmand! Talent! To jak warszawska bosa dziwka w oczach wyrostka, jak tłusta warszawska kuchta w oczach uczniaka, jak k... pijana w oczach ulicznika! Brud i taniocha — a pożądaną i zachwycającą! Jakież sex-appeal ma ta saga, na 300 procent warszawski, ten sam co niegdyś czaił się w bramach kamienic na Hożej, czy Żelaznej — ale wówczas tylko się czaił — teraz wybuchnął!

Powieść kryminalna, romans brukowy? Ależ tak, i gorzej nawet: romans z bruku zrujnowanego, z ruin i rozdołów. A jednak to łśni, tryska, brzmi, śpiewa... Romantyczny księżyc unosi się nad ruiną miasta i dochodzące z nor, jam, zaułków, mordobicia stają się — znowu! — poetyczne. Tyrmand jest najdoskonalszą kontynuacją naszej romantycznej poezji, on przejął jej pióropusz, on pisze jej ciąg dalszy, ale już na miarę nowej historii: proletariackiej. To jest zniżone do poziomu łobuza, alfonsa, grandziarza itd., ale duch ten sam. A także — ciało. To polskie grzeszenie cielsko, z wszystkimi swymi zachciewajkami!

Opowieść, rzecz jasna, skłamana od a do zet — dla przyjemności czytelnika i dla przyjemności autora. Ale jakież prawdziwe i polskie to kłamstwo w gatunku wyobraźni, widzenia, w sentymencie i temperamentie. Czy wiecie co to jest, ta książka? To po prostu wódka! Ta sama wódka, która i przed wojną pozwalała w Polsce jakoś znieść życie... tyle tylko, że przed wojną popijało się z kieliszka, a dziś ciągnie się z litrowej flaszki. Ale z niej jest ta zamroczona „fantazja”, bez której nadmiar plajty i bryndza zanadto zupełna byłyby nie do przelknięcia.

Przerzucając strony Tyrmanda jakbym szedł przedwojennymi ulicami, Kruczą czy też Hożą, lub może Żelazną, szlakiem naszej historii mordobitej. I już wtedy wiedziałem, że Tyrmand jest nieunikniony! Że musi wejść jak księżyc, romantycznie, i wybuchnąć! Właśnie to! Właśnie taka chuligańska, z ruin, z zaułków, księżycowość mordobita i trunkowa! Przypomina mi się ustęp z listu X. niedawno otrzymanego (ze Stanów): „Boże, ta Polska to ponury sen wariata! Ta mroczność, duszność, niepewność i nuda...” A dalej: „Mnie tak śmieszy ta nowa Polska, bo, Bogiem a prawdą, najbardziej przyłgnęła do nas epoka saska i ona to największe ślady zostawiła na nas. Naród jest ciemny, endecki, zadzierzwyty, chamski, leniwy, czupurny i niedowarzony, „zytkowaty” i „milusiński”, a na tym wszystkim zaszczerpiono kremlijski komunizm. Dopieroż im się musi teraz ze łbów zadurzonych kurzyć!”

## Niedziela

Nie wiele mam do powiedzenia na temat zwycięstwa Artura Frondizi, który został prezydentem Argentyny, natomiast pragnę zapisać, że nie przestaje zdumiewać mnie akt wyborów. Ten dzień, w którym głos analfabety tyleż znaczy, co głos profesora, głos głupca co głos mędrca, głos posługacza co głos potentata, głos rzemieślnika co głos cnotliwego, jest dla mnie najbardziej pomyłonym z dni. Nie rozumiem jak ten akt fantastyczny może wyznaczać na kilka następnych lat coś tak ważnego w praktyce, jak rządy krajem. Na jakiejże bajce opiera się władza! Jakim sposobem ta pięcioprzymiotnikowa fantastyczność może stanowić podstawę bytowania społecznego?

## Poniedziałek

Odwiedziłem M. w szpitalu — kona od wielu miesięcy, coraz gruntowniej, ale, jak mówią lekarze, będzie miał konania jeszcze na dobrych parę tygodni. Leżał bez ruchu, głowa na poduszce, zjadany po kawałeczku przez śmierć, co dzień troszkę bardziej umarły. Czy, i jak bardzo, cierpiał?

W pokoju było też kilku żyjących — powiedziałbym, asystentów, bo asystowali... z minami zakłopotanymi i niewiedzącymi co począć, oddzieleni od tego męczennika przeświadczeniem, że nie ma rady i trzeba doczekać, aż wyciągnie kopyta. „Żyje się samemu i umiera się samemu” — myśl Paskala. Niezpełnie. Żyje się jednak w gromadzie i jeden drugiemu dopomaga, a dopiero gdy śmierć zastuka człowiek widzi, że jest sam... i sam na sam... jak te zwierzęta gaśnące, od których stado oddala się w noc zimową. Dlaczego śmierć ludzka jest wciąż jeszcze, jak śmierć zwierzęca? Dlaczego agonie nasze są tak samotne i tak prymitywne? Dlaczego nie zdołaliście ucywilizować śmierci?

Pomyśleć, że ta rzecz przerażająca, agonია, grasuje wśród nas równie dzika, jak za pierwszych dni stworzenia. Niczego nie dokonano z tym w ciągu tysiącleci, nie tknięto tego dzikiego tabu! Uprawiamy telewizję i używamy koderów elektrycznych, ale umieramy dziko. Zdarza się, że nieśmiała strzykawka lekarza po kryjomu skróci męki zwiększonymi dawkami morfiny. Wstydlawy zabieg, zbyt drobny jak na olbrzymią powszechność umierania. Domagam się Domów Śmierci, gdzie każdy miałby do dyspozycji nowoczesne środki lekkiej śmierci. Gdzie można by umrzeć gładko, nie zaś rzucając się pod pociąg, lub wieszając na kłamec. Gdzie człowiek znużony, zniszczony, skończony, mógłby oddać się przyjaznym ramionom specjalisty, aby mu zapewniona została śmierć bez tortury i hańby.

Dlaczego nie — zapytuję — dlaczego nie? Kto wam broni ucywilizować śmierć? Religie? Ach, ta religia... dziś zabraniająca samobójstwa, wczoraj niemniej gromko zakazująca środków

znieczulających... przedwczoraj zezwalająca na handel niewolników, gnębiąca Kopernika i Galileusza... ten Kościół potępiający z hukiem piorunowym, a wycofujący się potem dyskretnie, po cichu... jakąż macie gwarancję, że za lat kilkadziesiąt dzisiejsze potępienie samobójcy nie zmięknie i nie rozejdzie się nieznacznie po kościach? A póki co mamy umierać, jak psy, w drgawkach i rżeniach — cierpliwie mamy czekać, ścieląc tę drogę powolną milionami konań okropnych, o czym pisze się w nekrologach „po długich i ciężkich cierpieniach”? No nie, rachunek za te „interpretacje” św. tekstów jest już za wysoki i za krwawy, i lepiej aby Kościół wyrzekł się scholastyki, zbyt arbitralnie wjeżdżającej w życie. Ostatecznie, jeśli wierzący katolicy chcą umierać ciężko — ich sprawa. Dlaczego jednak wy, ateści, lub ludzie tylko luźnie związani z Kościołem, nie odważycie się na coś tak prostego, jak zorganizowanie sobie śmierci? Co was peszy? Zrobiliście, co trzeba, aby bez trudności przeprowadzić się z miejsca na miejsce, gdy zmieniacie mieszkanie ale, gdy idzie o przeprowadzkę na tamten świat, chcecie, aby to odbywało się po staremu, przedwieczną metodą dychania?

Jakież mroczne jest to niedołęstwo wasze! Pomyśleć, iż każdy z was wie doskonale: nikt z jego najbliższych nie wymknie się konaniu, chyba że spotka go nadzwyczajne szczęście śmierci naglej i niespodziewanej; każdy zostanie stopniowo niszczone, aż czasem oblicze jego stanie się nie do rozpoznania — i wiedząc o tym, znając ten los nieunikniony, palcem nie ruszycie aby oszczędzić męki. Czegóż się obawiacie? Że zbyt wielu ludzi umknie, jeśli zanadto uchylicie furtki? Pozwólcie umierać tym, co śmierć wybierają. Nie zmuszajcie nikogo do życia niewygodą zgonu — to zbyt podle.

Szantaż, zawarty w sztucznym utrudnieniu śmierci, jest świństwem, naruszającym najcenniejszą wolność człowieczą. Gdyż moja najwyższa wolność polega na tym, iż w każdej sekundzie mogę postawić sobie hamletowskie pytanie „być, albo nie być?” — i swobodnie na nie odpowiedzieć. To życie, na które zostałem skazany, może zdeptać i shańbić z okrucieństwem bestii dzikiej, ale jest we mnie jedno wspaniałe i suwerenne urządzenie — że mogę sam siebie pozbawić życia. Jeśli zechcę, mogę nie żyć. Nie proszę się na świat, ale przynajmniej pozostaje mi prawo odejścia... i to jest fundament mojej wolności. A także godności (bo żyć z godnością znaczy żyć dobrowolnie). Ale fundamentalne prawo ludzkie do śmierci, z tych co to powinny być zamieszczone w konstytucji, uległo stopniowej a nie znacznej konfiskacie — na wszelki wypadek urządziliście to tak, aby było jak najtrudniej... i jak najstraszniej... aby było trudniej i straszniej, niż być powinno przy obecnym poziomie techniki. To nie tylko wyraża waszą ślepą afirmację życia, w skali już zupełnie zwierzęcej — to przede wszystkim jest wyrazem niesamowitej gruboskórności waszej, gdy idzie o ból, którego *jeszcze* nie doświadczacie, o agonię, która *jeszcze* nie jest waszą — to ta głupia lekkomyślność, z jaką się znosi umieranie, póki

ono jest *jeszcze* cudzym umieraniem. Te wszystkie względy i względziki — dogmatyczne, nacjonalistyczne, życiowo-praktyczne — cała ta teoria, cała ta praktyka, roztacza, się jak ogon pawi... z dala od śmierci. Jak najdalej.

### Piątek

Źródła moje biją w ogrodzie, u wrót którego stoi anioł z mieczem ognistym. Nie mogę tam wejść. Nigdy się nie przedostanę. Skazany jestem na wieczyste krążenie wokół miejsca, gdzie święci się moje najprawdziwsze oczarowanie.

Nie wolno mi, bo... te źródła wstydem tryskają, jak fontanny! Ale ten nakaz wewnętrzny: zbliż się jak najbardziej do źródła wstydu twojego! Muszę powołać do działania wszystkich rozum, świadomość, dyscyplinę, wszystkie elementy formy i stylu całą technikę, do jakiej jestem zdolny, aby zdobyć przybliżenie do tajemniczej bramy tego ogrodu, za którą kwitnie mój wstyd. Czymże, w takim razie, jest moja dojrzałość, jeśli nie środkiem pomocniczym, sprawą wtórną?

Wiecznie to samo! Ubierać się we wspaniałą płaszcz aby móc zejść do portowej knajpy! Zażywać mądrości, dojrzałości, cnoty, aby zbliżyć się do czegoś *wręcz przeciwnego!*

### Niedziela

Nie znoszę Balzaka. Jego dzieł, jego samego. Wszystko tu takie, jak ja nie lubię, nie chcę, nie mogę ścierpieć! Znadto z sobą sprzeczny i jakoś obrzydliwie, głupio sprzeczny! Mędrzec — a taki cymbał! Artysta — a ileż w nim najgorszego smaku z najbardziej niesmacznej z epok. Grubas — a zdobywca, donżuan, obleśny kobieciarz. Człek wybitny — a taka wulgarność drobnomieszczańska i taka parweniuszowska hucpa! Realista — a z kiepska romantyczny marzyciel... Ale mnie nie powinny może razić te antynomie, przecież znam ich rolę w życiu, w sztuce... tak tylko, że w Balzaku nawet antynomia staje się gruba, wstrętna, obleśna, tłusta, i gorzej niż chamska.

Nie znoszę jego Komedii Ludzkiej. Pomyśleć, jak łatwo najlepsza zupa ulega zepsuciu gdy dodać do niej łyżeczkę starożytnego tłuszczu lub odrobinę pasty do zębów. Wystarczy kropla złego, pretensjonalnego, melodramatycznego Balzaka aby uczynić niejadalnymi te tomy i całą tę osobowość. Mówią, że geniusz — że, wobec tego, trzeba być wyrozumiałym. Kobiety, które kuszowały z jego genialną tuszą wiedzą coś o tej wyrozumiałości, wszak aby przespać się z Geniusem musiały przemóc w sobie niejedną abominację. Ale nie jestem pewny, czy ta kalkulacja się opłaca i czy jest zgodna z naturą. W dziedzinie stosunków osobistych — takie są nasze stosunki z artystami — drobiazg ma nieraz większe znaczenie niż monolity zasług pom-

nikowych. Łatwiej zniechęcić kogoś za długi nos, niż pokochać za stworzenie symfonii. Albowiem drobiazg jest charakterystyczny i określa osobę w jej codziennym wymiarze.

### Poniedziałek

4 lutego br. (58) skończyłem „Pornografię”. Tak sobie tymczasowo to nazwałem. Nie gwarantuję, że tytuł się utrzyma. Nie śpieszę się z wydaniem. Za dużo moich książek ukazało się ostatnio w druku.

Potrzeba, jedna z najbardziej natrętnych, podczas pisania tej dość pornograficznej miejscami „Pornografii”: przepuścić świat przez młodość; przetłumaczyć na język młodości, czyli na język atrakcji... Zmniejszyć go młodością... Zaprawić go młodością — aby dał się zgwałcić...

Intuicja, która mi to podyktowała, zawiera w sobie chyba przekonanie, że Mężczyzna jest bezsilny wobec świata... będąc siłą tylko, nie będąc urokiem... a zatem, aby mógł osiąść rzeczywistość, ona wprawdzie musi zostać przepuszczona przez istotę mogącą się podobać... czyli mogącą się oddać... niższą, słabszą. Tutaj do wyboru — kobieta, albo młodość. Ale kobietę odrzucam z powodu dziecka; dlatego, innymi słowy, że jej funkcja zanadto specjalna. Pozostaje młodość. I tu powstają drastyczne formuły: dojrzałość dla młodości, młodość dla dojrzałości.

Co to takiego? Co napisałem? Nie tak prędko wyjaśni się, czy ten akcent który kładę na Duchu Młodości i Sprawach jego jest coś wart... i ile?

Witold GOMBROWICZ



**PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P. K. O. - WOLNE od CŁA**  
**LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ**

Katalog 200 popularnych paczek  
 oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)  
 na żądanie.

**CENTRALA WYSYŁKOWA**  
**HASKOBA LTD.**  
 121 Earls Court Rd, London S. W. 5

## La Combe

Postaram się opowiedzieć dlaczego wielu z nas, ludzi różnych narodowości ale pochodzących z pewnego określonego obszaru w Europie, jeździło do Grenoble i do małego miasteczka Lancey w tamtej okolicy, żeby wspinać się ścieżką po stromym zboczu, na którym leży wioska La Combe (w dole Izera, naprzeciwko alpejskie pasmo, ściana z której w nocy błyszcza światła wielkiego sanatorium). Być może zresztą że inni jeździli tam z innych niż ja powodów. Ponieważ jednak wszyscy sobie współcześni są zatruci tymi samymi truciznami i tak samo chcą powrotu do zdrowia, można założyć, że motywy były podobne.

Wędrówka czy pielgrzymka do kogoś nie jest tym samym co wizyta czy spotkanie. Ma przepisaną formę zanim osiągnie się jej cel: właściwie zawsze powinno się iść długo przez dzikie góry i pustkowia, coraz wyżej, z nadzieją zapłaty za wysiłek — tą zapłatą jest czyjaś obecność, inna niż przechodnia na ulicy, bo wtopiona w tło, oświetlająca przedmioty i krajobrazy, które przez to stają się również celem. Nawet podróż pociągiem podaje się tej symbolicznej interpretacji. Coś z wyprawy po mądrość w baśniach, czy z „Pilgrim's progress” czy z marszu o kiju w Himalaje, w Czarnohorę, do groty buddyjskiego eremity albo mistrza chasydów, Baal-Szem-Towa.

Za Lyonem lokomotywa zaczyna zmagać się z pochyłością, teren zbliża się do okna wagonu ukośnie. Nazwa stacji: La Tour du Pin zapowiada, że Grenoble już blisko i że wkrótce już zobaczą się Stanisława Vincenza.

◆

Książki dla współczesnych dzieci. Na kilku stronach ilustrowana historia świata. Zaczyna się od amonitów. Ichthiozaur. Thyranosaurus Rex. Pterodaktyl. Mamuty. Antropopiteki. Człowiek jaskiniowy. Grecy i Rzymianie. Galileusz. Kopernik. Krzy-

sztof Kolumb. Newton. Maszyna parowa. Samochód. Samolot. Einstein. Atomowa energia. Razem bryk uniwersalnych dziejów. I jakże dają z tym sobie radę, a raczej jak będą sobie dawać radę? Bo czas jest tutaj ścieśniony, perspektywa płaska, jak dla kogoś kto nigdy nie oglądał rzeczywistości w jej proporcjach i nagle pokazują mu namalowany pejzaż: orzeknie, że co blisko jest wielkie, co daleko małe i nigdy nie wpadnie na pomysł, że to złudzenie wzroku. Ale dorośli też dostali swoją dozę, jak należy. Bryk tkwi mocno w umyśle każdego przeciętnego czytelnika gazet. Oczywiście mit zbiorowy, nie więcej mający wspólnego z prawdą niż inne takie twory, na przykład średniowieczna wiara, że Piekło mieści się głęboko pod ziemią. Nie czytają już dzisiaj Comte'a. Dlaczego? Boją się zobaczyć tam swoją karykaturę? Ale on pierwszy ujął to doskonale: wiek fetysyzmu, wiek politeizmu, wiek monoteizmu. Potem era teologii, era metafizyki (od XIV do XIX wieku) i świtająca era pozytywna, szczyt, korona, wypełnienie. Całe życie pisał bryk, porównując rozwój ludzkości do rozwoju owada, który jest gąsiennicą, przekształca się w larwę, z larwy w dorosły okaz. Nie czyta się Comte'a ale za to czyta się innych, albo tak samo zajętych sporządzaniem bryka w wielu tomach (minione cywilizacje występują tam jako *przykłady*) albo przyjmujących ukryte założenie, pewnik, który za lat dwieście ludzkość, jeżeli przetrwa, będzie zaliczać do ciekawych i godnych badania aberracji swoich pradziadów. Może Teilhard de Chardin był wielkim człowiekiem. Może był konsekwentny, bo to wszystko idzie w prostej linii od pierwszych chrześcijan z ich wiarą w rychłe Królestwo. Trudno jednak nie podejrzewać, że powodzenie jego dzieł w Paryżu tłumaczy się znajomym dla czytelników tonem. On ich utwierdza. Nie plynie przeciwko prądowi ale z prądem. Ze swoich paleontologicznych badań wyciąga wnioski, budując optymistyczny system, którym objęty już jest i Hegel i Marks. Od pierwszych skorupiaków do pierwszych kręgowców, do małp człekokształtnych, do człowieka i dalej, do zjednoczonej ludzkości planetarnej, do nadczołowieka, a wreszcie do punktu Omega, gdzie dawnego jaskiniowca, teraz władającego już wszechświatem, a przynajmniej wszystkim co krąży wokół słońca, spotyka Chrystus. Jezuita Teilhard de Chardin i ateistyczni optymiści są całkowicie ze sobą zgodni. Wierzą w dziejową Opatrzność, która kieruje rewolucjami, upadkiem Cezarów, wynalazkiem prochu i broni atomowej po to, żeby doprowadzić ludzkość do nad-ludzkości. A jak nazywają tę Opatrzność nie ma znaczenia.

Historia. Historycyzm. Historicité. Rzecz jednak w tym, że ile razy nasi współcześni próbują dotknąć tej niesamowitej istoty, która im się w swoim majestacie ukazała, są skazani na bryki. Inaczej ani rusz nie mogą uchwycić „wielkich linii”, wpadają w popłoch, są bezradni. Za duży materiał. Oni chcą historię rozumieć (a demon z rykiem śmiechu podpowiada: i nad nią panować). Ale mogą z niej zrozumieć tyle tylko ile uczeń, który nie przeczytał ani jednego wiersza jakiegoś poety i nau-

czył się ze ściągaczki. Nie chodzi tutaj wcale o kpiny z pojęcia postępu. Nie można kpić z tego, co należy do „rzeczy mglistych” używanych w najrozmaitszych znaczeniach. Elektryczność jest użyteczniejsza niż smolna szczapa, pocisk międzykontynentalny szybszy niż bryczka. Ale na przykład rzeźba wczesno-grecka nie daje się zamknąć w jakiejś wydzielonej dziedzinie estetyki, ona świadczy o całości cywilizacji, o harmonii, o szczęściu być może nam niedostępnym. Chodzi o co innego: o fałsz skróconych dziejów w książce dla dzieci. Zarys jest w „wielkich liniach” prawdziwy a równocześnie zupełnie fałszywy.

Z nadmiaru historyczności brną w a-historyczność zupełną... Stary Breughel jechał konno z Flandrii do Italii, zanurzał się w kształty, barwy, obyczaje, spojrzenia, gesty, szczegóły strojów, narzędzi, architektury. Przelecieć ten sam dystans samolotem, co się zobaczy? Tak samo jest z czasem, gorzej, bo ulega on kształtowaniu przez pewnik ewolucji. Przeszłość jest odcięta, bo niższa, na mocy nieuświadomionego przyzwyczajenia — co uchodzi tylko za przygotowawczy etap do wyższego etapu musi być niższe. Samotność i poczucie, że ten moment dziejowy jest jedyny i że szamocząc się z jego problematyką nigdzie w przeszłości nie znajdzie się oparcia. Ale równocześnie ten moment zostaje przekreślony, jako wstęp tylko, jako przedmowa. Uwaga kieruje się w przyszłość, z nadzieją albo z paniką. Hitlerowskie tysiąclecie, socjalistyczne millenium, atomowa zagłada to tylko negatyw albo pozytyw tego samego. Albo oczekuje się i tęskni do realizacji, która ma nastąpić z „matematyczną koniecznością” albo wpada się w rozpacz, że „historia nie ma sensu” (ma albo nie ma, czy twoja, kotku, sprawa?) I być może wiele stanów neurozy, które psychoanaliticy byliby skłonni leczyć wyduszając z pacjenta zeznania o jego *libido*, mają źródło w szaleństwie ambicji, która wysiła się, żeby odgadnąć z góry wyroki *Weltgeistu*. Kto zwycięży? Jak się ustawić, żeby siebie ocalić? (swoje myśli, swoje czyny, swoje dzieła wobec potomnych).

Polska dzisiejsza dostarcza pod tym względem wielu przykładów. A najmłodsze pokolenie, już wysmiewające doskonały ład jutra, jest, jeżeli sądzić z jego wypowiedzi, całkowicie a-historyczne, pozbawione pamięci i nie ma właściwie nic. Manie „nowoczesności” są zdrową reakcją na jałowość i prytanizm. Nie jest jednak wykluczone, że dopomaga tutaj stopień zero z historii. Za tymi młodymi jest „naga szara jama” poprzedzającego okresu; nazwiska z dwudziestolecia cytują jakby wyłaniały się z ery jurajskiej. A dalej wstecz — niepojęty stwór, bo oczywiście nie Polska, tylko dawna Rzeczpospolita, czy po zaborach czy przed zaborami. Pozostaje zagadką jak czytają np. Mickiewicza. Kto to jest ksiądz z dziećmi w IV części „Dziadów”? Jaką religię wyznają chłopci zebrani na obrzęd? Czy można coś pojąć z tej przeszłości nie znając dziejów Kościoła Unickiego? Greko-katolicy *ergo* Ukraińcy *ergo* faszyci — tyle zapewne wiedzą, ale nie że wieś białoruska aż po Połock była

do przymusowych nawraczeń po 1839 r. na prawosławie w 80% greko-katolicka, że języki polski i białoruski wzajemnie się nakładały, bo proboszczowie w domu mówili po polsku (czyżby Mickiewicz tłumaczył tylko na polski dialog Gustawa z proboszczem?) Pochwalam polski imperializm? Bynajmniej. Teraz tym młodym z okazji tysiąclecia państwa polskiego będą mącić w głowie (przy dużym współudziale kleru) twierdząc, że święci się tysiąclecie Narodu, a to znacznie gorzej. Jakiego Narodu? Po co rzutować wstecz pojęcia, które ludziom minionym były obce? Kto z nich, nawet wtedy, kiedy zaczęto już używać tego słowa, pojmował „naród”, tak jak zaczęto pojmować w końcu XIX wieku? Ale dzisiaj nie chcą zarazem wyrzec się Kopernika, choć według tych kryteriów był oczywiście Niemcem.

To tylko dygresja. Wszystkie te trucizny tj. odcięcie od przeszłości i skoki wyobraźnią w przyszłość, po millenia i apokalipsy, znam z własnego doświadczenia. Bo moje pokolenie literackie było w sytuacji niewiele lepszej. Schemat rozwoju i fakty nie przylegały do siebie. Ci dostają w swoich podręcznikach wyłącznie schemat rozwoju i za ich niepamięć odpowiedzialność ponosi szkoła. Nie często tam zdarza się, że ktoś zdobędzie się na taką wynalazczość jak Szkoła Dramatyczna w Kielcach, która zamiast wbijać swoim wychowankom w głowę historię ustroju Grecji, wzięła sztukę Arystofanesa i komentowała każde zdanie, wyjaśniając zwyczaje, filozofię, ubiory, przemiany greckiej *polis*. Ale do niepamięci poza podręcznikami przyczyniają się zmiany społeczne, atomizacja masy. My nie mieliśmy przewodników. Wpływ „Wiadomości Literackich” był szkodliwy, starsi od nas Skamandryci, tak utalentowani, odznaczali się jedną zasadniczą wadą: ich zdaniem poeta mógł być bęcwałem, jeżeli splotał na niego tajemniczy fluid. Dalej wstecz rozpościerała się era jurajska z jakimś stąpającym na szczudłach Wyspiańskim, który smakował jak surowa marchew. Jeżeli jednak bliska przeszłość też przedstawiała się nam jako szara jama, szczęśliwsi z nas, wychowani z dala od Warszawy, zacerpnęli sporo z tradycji ustnej, z rodzinnych dokumentów, nie spodziewając się, że jakaś wiejska biblioteka z „Zielnikiem ekonomiczno-technicznym” Giżyckiego, „Ogrodami północnymi” Strumiły, „Koranem” w polskim przekładzie, „Wiadomościami brukowymi” i pierwszymi tomikami Mickiewicza będzie kiedyś ratować i chronić.

Niewątpliwie skróty ewolucji „z lotu ptaka” to już poziom wulgaryzacji, mit przechodnia, pierwsza wiedza dzieci i młodzieży. Na innym poziomie ten mit jest podgryzany, przede wszystkim przez historię sztuki i antropologię, czy ściślej „antropologię kultury”. Ale datuje się to od niedawna. Frobenius w swojej „Historii cywilizacji afrykańskiej” rozprawia się z metodą swoich poprzedników takich jak Lévy-Bruhl, która polegała na stosowaniu do dawnych cywilizacji miar rzekomo „wyższych”, zaczerpniętych z cywilizacji technicznej i racjonalistycznej. Demaskuje ich pychę, pogardę białego człowieka dla



tubylców, mentalność kolonizatora zapożyczaną nieświadomie. Frobenius co innego niż oni znalazł w Afryce. Człowieka, który stoi wobec wszechświata, wobec życia i śmierci tak jak my i przybiera pewną postawę, nie „dobrą jak na niego” ale nieraz szlachetniejszą, mądrzejszą, który osiąga doskonałość w swojej rewerencji dla istnienia, dzięki czemu wszystko czego dotknie przetwarza w dzieło sztuki. Niektóre strony Frobeniusa brzmią jak poemat na cześć ludzi „pierwotnych”, których umiał podpatrzeć przez rodzaj *mimesis*, niejako od wewnątrz, odrzucając miary i kryteria im obce. Ale Frobenius to było za ledwie wczoraj, a dzisiaj są „Les tristes tropiques” Lévy-Straussa. Ten ze swego pobytu wśród brazylijskich Indian, nędzarzy sypiających w popiele ogniska, o poziomie techniki nie wyższym niż 20.000 lat temu w Europie, wyniósł przede wszystkim osłupienie. Co odgadnął, każe mu rehabilitować zarzucone pojęcie „natury ludzkiej” a także skłonić się przed Rousseau: w legendzie o człowieku naturalnym, szlachetnym dzikusie, było więcej prawdy niż przypuszczano. Tak zamyka się koło. Zarazem Lévy-Strauss pisze o tragedii. Bo zanim w XX wieku wykuto narzędzia socjologicznych i antropologicznych badań, zanim niektórzy przynajmniej pozbyli się pychy postępu, w ciągu kilku stuleci konkwistadorzy, kolonizatorzy, kupcy, misjonarze z tzw. społeczeństw pierwotnych *nie rozumieli nic*. A teraz, kiedy już coś prześwituje, te społeczeństwa prawie zupełnie zginęły. I odjęta jest nam możliwość przeniknięcia przez analogię w setki tysięcy bytowania człowieka na ziemi. Żadne wykopaliska, nawet groty z malowidłami takie jak w Lascaux, nie zastąpią żywego kontaktu *z innymi ale równymi*.

Jak zmienić stosunek do czasu? Jak odzyskać łączność z przeszłością, czy odległą o pięćdziesiąt czy o dwadzieścia tysięcy lat, bo ilość lat tu nie waży? Nie dlatego żeby ją zbierać jak znaczki pocztowe, nie dla anegdoty i plotki o madame de Staël, Marysińce Sobieskiej czy mężach stanu. Dlatego, żeby nakarmić terażniejszość, która jest inna, pełna, cenna w każdej minucie, jeżeli ręka, która trzyma pióro jest zarazem ręką białoruskiego chłopca zapalającego lucywo na obrzędzie „Dziadów” i Indianina zabitego przez Korteza i Murzyna z Togo, jeżeli niebo nad głową jest to samo a ci, co minęli, nie byli tylko głębią pod nas wyższych, ale uczestniczą nadal tu, obok. Ani człowiek zawsze ten sam, bo „wszystko już było”, ani człowiek dumny ze swojej dotychczas nigdy nieznannej tortury i samotności. Bez ustanku nowe wcielanie się wzoru, niepowtarzalna powtarzalność, inwencja z granicą, za którą czeka to samo pytanie. Henry Miller powiada, że ci, co mają nadzieję zdobyć wiedzę, zapominają, że to jak próbować zjeść ser, który w miarę jedzenia rośnie. Uznać braterstwo z tymi, co minęli, to wyzwolić się ze złudzeń kwantytatywnych, ze złudzeń chronologicznych. Wtedy terażniejszość jest inna ale i przyszłość, bo traci swoją sztywność, odsłania rąbek nieprzewidzianego, na mocy choćby tego spostrzeżenia, że jej przepowiadaczom brak

mądrości i cnoty, a więc ich gra w szachy z wszechświatem, z losem, musi prowokować partnera do złośliwych i zabójczych dla nich posunięć.

Po to jeździliśmy do La Combe. Co prawda zawsze wyczuwałem mniej więcej gdzie jest ratunek: w jednym punkcie trwania, ale w punkcie nasyconym, wzbogaconym, jakby już ponadindywidualnym. W jesieni 1944 napisałem następujący wiersz:

*Moja przeszłość to podróż nad morzem głupiego motyla.  
Moja przyszłość to ogród, w którym kucharka zarzyna koguta.  
Cóż ja mam, z moim bólem i buntem?  
— Chwilę weź jedną, a gdy się rozchyli  
Jak dłonie złożone piękna muszla chwili  
Perłę w niej znajdziesz. Sekunde.*

Niemniej, w ciężkich opałach, „w życia wędrówce, na polowie czasu”, potrzebowałem terapii. Punkt trwania, spokój: „Nie zabiegajcież tedy o jutro, gdyż dzień jutrzejszy sam o siebie troszczyć się będzie”, uzyskać mogłem wyplenając w sobie fałszywą historyczność bryków i zastępując ją historycznością prawdziwą (historyczność prawdziwa, to kiedy ktoś zastanawia się nad rodowodem huculskiego instrumentu muzycznego „fłojery”). A poza tym melodramat, tragikomedia emigrantów, szloch, zjedzone przez mole płaszcze wieszczów, należało się tego strzec za wszelką cenę. Dla kogoś, kto dotyka przeszłości i karmi nią chwilę, czy ma w sobie Karpaty czy Wielkie Księstwo Sabaudii albo Litwy, czy Afrykę — a słuszniej powiedzieć, że jeżeli ma jedno z tego, ma wszystko — dom w którym mieszka może stać równie dobrze w Atenach jak na wyspie Chios. Cokolwiek go otacza jest albo naturą albo jest ludzkie, a przez to zawsze ciekawe i podniecające. Vincenz, otwarty na każdy szczegół dnia, czy to będzie zbieranie rydów czy kształt chmury, zakochany w Homerze i Platonie, wystukujący laską rytm na górskich ścieżkach, nie marnował energii na żadne polityczne gorączki. Czemużby nie miał okazywać każdym swoim gestem i uśmiechem, że się nie troszczy, jeżeli naprawdę akceptował i uświetniał to co jest?

Młodym w Polsce trudno umieścić Vincenza. Nazwisko jest prowansalskie. Przez atawistyczny pociąg do gór, czy z jakichś innych względów, imigranci osiedli przed kilkoma wiekami u podnóża Karpat, na Huculszczyźnie, dając początek jednemu z tamtejszych szlacheckich rodów. Puszcza tysiącletnia (jak sekwoje Kalifornii) dotrwała tam do dzieciństwa Stanisława Vincenza. Zachowała się też nieskażona prawie cywilizacja pasterka o niesłychanej pradawności. Ta ziemia, która po upadku Rzeczypospolitej weszła w skład Austro-Węgierskiej monarchii, wydała wiele baśniowych postaci, a wieść o nich przekazywało

najczęściej tylko ustne podanie. Dwie postacie są najślawniejsze: Dobosz i Rabin. Dobosz — hetman zbójnickich wojsk, grabił panów i kupców, opiekował się uciśnionymi. To więcej niż Janosik. Rabin — Baal-Szem-Tow, byłby zwyczajnym karcmarzem gdyby nie siła (lampa we krwi). Od przywiązania do świata oczyszczał się mieszkając w skalnej grocie i poznawszy mowę ptaków a także żywe iskry ukryte w kamieniu, roślinie, drzewie, z pokory, z podziwu dla boskiego piękna w stworzeniu, nauczał, a przed jego nauką miłości skłonili się i Żydzi i chrześcijanie. I rozporządzał potęgami. Jeżeli wieczorem siadał na wóz z gromadą uczniów i furman strzelał z bata, czy to był zwyczajny wóz? Najpierw klekotały szprychy, stukały o kamienie podkowy ale po kwadransie wszystko cichło, owijała ich tylko miękka ciemność, a rano byli w Moguncji albo Cremonie. Ale to tylko drobny przykład jego mocy. Na starość Baal-Szem zmagał się duchowo z wyścigiem Zła, Jakubem Frankiem, który starał się Żydów Rzeczypospolitej nawrócić na chrześcijaństwo, robiąc z nich tzw. frankistów. Dobosz pozostał bohaterem tylko lokalnym, nie Baal-Szem, jakby na znak że śmiałość i wigor są mniej cenne niż jasność widzenia. Jego uczniowie rozpowszechnili naukę, zrodzoną z zachwyty nad karpacką puszcza, z przyjaźni dla każdej żywej istoty i tak w judaizmie powstał prąd zwany chasydyzmem. W angielskich i amerykańskich antologiach myśli religijnej chasydzi figurują obok Mistraza Eckharta, Jakuba Boehme, Blake'a i Jana od Krzyża. Autor takiej antologii („A year of grace”), Victor Gollancz, nazywa Baal-Szema „jednym z największych geniuszów religijnych ludzkości”. W Polsce chasydzi należą do strefy niepamięci: katolicy nie chcieli się nimi interesować, postępowcy odwracali się od „przesądów”. Rosjanie twierdzą, że to „sekta z południowozachodu Rosji” (ruch rozszerzył się na zajęte przez carat terytoria).

Są ojczyzny, które przechowują pamiątki po swoich Napoleonach, ta przechowywała pamiątki po zbójnickim hetmanie i łagodnym mędrцу, który realizował zasady Kazania na Górze. W dziele Vincenza „Na wysokiej połoninie” baśń o nich wyobraża dwa zasadnicze wątki, cywilizacji pasterskiej i chasydyzmu. Dzieło to, w trzech tomach, dotychczas wydane tylko w niedużej części, musi moim zdaniem okryć się patyną zanim dostarczy inspiracji pisarzom i artystom. Gdyż bywają książki, w których patyna jest niejako przyjęta z założenia, podobnie jak w rzeźbach, zyskujących na przygaśnięciu połysku metalu czy granitu. Odgaduję u autora taki właśnie zamiar. Zapewne widzi on z góry materiał w jego liniach i brytach już płynnych, falistych, niby stopnie w skale zarosłe mchem.

Dr Vincenz. Uzyskał doktorat filozofii w Wiedniu przed pierwszą wojną światową za dysertację o Heglu. W epoce specjalistów, kiedy filozof oznacza profesora uniwersytetu, nie jest filozofem. Reprezentuje rzadki gatunek, gatunek któremu wiedza humanistyczna zawdzięcza swoje najwyższe osiągnięcia:

prywatnego myśliciela, przerzucającego pomosty pomiędzy różnymi dyscyplinami, posługującego się czytaniem po grecku Homerem w swoich rozważaniach nad herosami Karpat, niechętnego dyskusjom o historiozofii w oderwaniu od filozofii pasterzy. Gatunek zaniknął niemal całkowicie pod naciskiem pieniądza, również w krajach, gdzie rzekomo w estymie jest Marks, taki właśnie prywatny myśliciel. Byłoby jednak błędem wróżyć, że zniknie całkowicie. Jałowość poszuflakowanych specjalności daje się coraz bardziej we znaki, tak zwane czyste pisarstwo, któremu wydzielono kącik powieści, dramatu, poezji i krytyki, przygnębia, a mój znajomy francuski murarz pożera „Les tristes tropiques”, które mu pożyczyłem — mieszanek antropologii i filozofii; powieści go nudzą. Jednakże niezależność w przerzucaniu pomostów zdobywa się dzisiaj zwykle tylko za cenę wyrzeczenia. Czyż wstyd się przyznać, że na stole w La Combe nie było nieraz nic prócz pomidorów i polenty? Każdemu według jego zasług. Komu pieniądze i obroza. Komu pomidory i polenta ale i nieustający entuzjazm dla dzieł, myśli, ludzi, choćby to był śmieszny, zawsze nietrzeźwy Roux, przywołujący z dołu pocztę.

Szeroka, słowiańska twarz, łysa czaszka w okolicy siwych kosmyków, ręce rozłożone w geście powitania. Szlachcic polski na progu swego domu. Ale niepodobny do obrazu, jaki przy największym nawet wysiłku wyobraźni może sobie zbudować młode pokolenie wychowane w kraju, w którym pośmiertny triumf przypadł stronnictwu Narodowej Demokracji a problem „mniejszości” w dwudziestoleciu nabrał cech chwilowego zarządu masą spadkową. Jeżeli jest tam tygiel etniczny, to kipi pod powierzchnią. Z ust wiarogodnych świadków wiem, że nieraz w pociągu gdzieś na Ziemiach Zachodnich słyszy się rozmowę w egzotycznie brzmiącym języku. O czym tak mówią po litewsku nie wiadomo, bo milkną kiedy obcy zbliża się do przedziału. Nie ma sensu robić idylli z zamierzchłej ery, kiedy „mowa gminu” była przyjemna dla ucha oświeconych spod Wilna, Mińska czy Lwowa ale zwykle dlatego, że nie pojawiło się jeszcze zagadnienie szkół i uniwersytetów w tej mowie. Pozostaje jednak faktem, że szaleni szlachcice, zrosnięci z niepolską etnicznie glebą, górowali w jakiś sposób nad swoimi pobratymcami z Królestwa Polskiego. Vincenz, zukrainiszcząły i zzydzytały dokładnie w tym stopniu, jaki jest niezbędny żeby w jego osobie dokonał się stop trzech pierwiastków jego ojczyzny, ukazuje się jako następca plemienia, które zaczynało potężne fermenty. Bo kim byli Narbut ze swoją historią Litwy, Mickiewicz wyhodowany na białoruskim folklorze, Jan Czeczot ze swoimi białoruskimi wierszami, Syrokomla, Apollo Korzeniowski i, dzięki rodzinnym przekazom, Józef Conrad? Albo Tadaś Kaściszka, Kastus Kalinowski? (a czemużby nie dodać: Bohdan Chmielnicki?) Vincenz, kiedy chce ująć coś dobitnym ludowym zwrotem, używa ukraińskiego. W swoich medytacjach nad Samaelem czyli Złym zapuszcza się w przerażające głębie dialektyki

żydowskich bałagutów spod Kosowa (cóż wobec nich Hegel...). I nagle z polskiego szlachcica wyziera ktoś inny: cadyk w huculskim kozuchu.

„On jest stamtąd skąd wszyscy”. Tak żartobliwie określa się pochodzenie ludzi najbardziej intelektualnie aktywnych na Zachodzie. Nie bawmy się w procenty. Rozglądając się naokoło, czy w Ameryce czy nawet we Francji, trudno oprzeć się wrażeniu, że autochtonom nie dostaje soli. Stamtąd skąd wszyscy, to znaczy z obszarów pomiędzy Niemcami i Rosją. Wiedeń, Budapeszt, Praga, Sudety, Ruś zakarpacka, ziemie dawnej Rzeczypospolitej. Liczy się tu przede wszystkim emigracja żydowska, w pierwszym albo drugim pokoleniu, bez której pisarz i artysta nie mógłby chyba oddychać, ale nie tylko. Niejasne pokrewieństwo wiąże tych obywateli różnych państw ze sobą, oparte zapewne na wycuciu, że tylko podwójność wyostrza i że ci, co są zanurzeni w jednej tylko cywilizacji, są ubożsi. Oto klienci Vincenza. Kto raz praktykował dobre sąsiedztwo umie wnikać w każdy sąsiadów. Vincenz z eks-wiedeńczykami porozumiewa się szryfem zagadkowym dla niewtajemniczonych; syn rabina z Żabiego, któremu sądzone było zostać profesorem materializmu dialektycznego na uniwersytecie berlińskim za Republiki Weimarskiej, znajduje w nim swego ziomka; Sakson z Siedmiogrodu spostrzega, że tu rozumie się naprawdę tamtejsze narodowościowe powikłania; szwajcarska filozofka, której rodzice przywędrowali z Wilna, jest znów u swoich; u swoich jest też rumuński góral, bo Karpaty; Ukrainiec może dowoli spierać się o odcienie ukraińskich dialektów; a Węgrom Vincenz recytuje ich poetów po węgiersku.

Ale powoli koło przyjaciół zaczęło się rozszerzać. Vincenz wie, że ludzie tęsknią dzisiaj do ojczyzny, a zamiast niej przyznaje się im tylko państwa. Ojczyzna jest organiczna, wrosnięta w przeszłość, zawsze nieduża, grzejąca serce, bliska jak własne ciało. Państwo jest mechaniczne. Ojczyzna to Walia, Bretania, Prowansja, Katalonia, kraj Basków, Siedmiogród, Huculszczyzna. W Szwajcarii, dokąd często jeździ, kraju złożonym z ojczyzn-kantonów, Vincenz zorganizował niedawno mały „zjazd ojczyzn” w cudzysłowie, czyli wymianę spostrzeżeń pomiędzy ludźmi, chcącymi pamiętać skąd się wywodzą, jakie barwy i kształty otaczały ich w dzieciństwie. I w fachowych pismach coraz to ukazują się jego prace o cywilizacji pasterzy. Za motto swojej działalności mógłby obrać to zdanie Simone Weil: „Do nas należy nie przełamywać centralizację (bo narasta ona automatycznie, jak kula śnieżna, aż do katastrofy) ale przygotowywać przyszłość”.

Vincenz miał ze mną kłopot. Na mój historyczny niepokój przepisywał lekarstwa: „Republikę” Platona, dzieła Jakuba Burckhardta i Maxa Webera. Pocieszał mnie zapewniając, że

resztę załatwi witalność Zmudzina. Jednak nawet jego cierpliwość wystawiałem na próbę. Ciekawe, że właśnie tutaj, w departamencie Izery, zbiegały się dla mnie wszystkie nici. Tutaj umarł podczas wojny na gruźlicę Bolesław Miciński, autor „Podróży do piekieł” i „Portretu Kanta”. A dom Micińskich w Warszawie, pod wiaduktem Poniatowskiego, był filozoficzno-literacko-muzyczny i kto tam nie kręcił się pod witkacowskimi portretami, oscylując dokoła Bolka i Neli; z poetów najczęściej Sebyła, Czechowicz i ja, z adeptów filozofii cała grupa seminarium prof. Tatarkiewicza. Uprawiano tam przewrotne zabawy w dokładne opisy różnych pięt piekła; imaginacyjnie dręczoną ofiarą był najczęściej Apcio czyli Tatarkiewicz. Łagodny, biały i kontemplacyjny Bolek zapoznał mnie ze swoim kolegą, czarnowłosym i zmrużonookim szatankiem, Tadeuszem J. Krońskim. Spotkanie pozostało na razie bez konsekwencji ale w kilka lat później, za niemieckiej okupacji, Tygrys — jakież imię lepiej ujęłoby tę giętkość, drapieżność i podstępny humor — zrósł się niemal ze mną. Dzisiaj, w roku jego nagłej śmierci, wspominam go nie tylko jako drogiego przyjaciela ale jako jeden z decydujących wpływów i nigdy nie skończę mojego z nim dialogu. Po wojnie spotykaliśmy się w Paryżu i w Warszawie, gdzie został profesorem historii filozofii. Miciński jest dla mnie kruchym pięknym sadu na wiosnę, ale moja dusza była w szponach Tygrysa, za moją zgodą, z przekonaniem, że to dla niej zdrowe. I było zdrowe, bo suche i pałace. Pomógł mi wydobywać się moczarów przedwojennego stylu i likwidować romantyzm w jego różnych postaciach. Przywrócił mi śmiałość uchwytu za rzeczywistość, już bez tego drżenia, że pogwałcamy kanony lekko-lirycznej sztuki. Mozartowski, znęcał się nad wszystkim co wilgotne. Znęcał się nad Chopinem, o którym mawiał, że to jest wleczenie topielic z włosami ociekającymi wodą. Poza tym odbywał się pomiędzy nami stale t u g o f w a r, rozlegały się moje oskarżenia jego o niemoralność, jego wrzaski, że obrażam olbrzymie Ucho, które, kiedy idziemy ulicą w Paryżu, wchłania każde nasze słowo: Ucho i dziejowego i indywidualnego Przeznaczenia. Wstąpił do Partii, był również potem, w 1956, za ostrożny? Ale źle dostosowany do ponuractwa, palił tylko kadzidło przed ołtarzem bogini-humorystki. Cierpiał jak ktoś, kto nie może podrapać się podczas ceremonii. Paromiesięczny pobyt w Moskwie — a potem widoczne hamowanie się, żeby nie wybuchnąć jedną z tych pantomin, które były atakami ironicznego szafu. Nie wznosiliśmy się może na takie szczyty jak bałaguty spod Kosowa, ale niemal i pochlebialiśmy sobie wzajemnie, zaliczając siebie do wtajemniczonych. Dlaczego literatura tak rzadko łapie magnetyzm intelektualny, szczeniowania monad, ich walkę o dominację w przyjaźni, jeżeli to jest zawsze tak ważne? Kto w Polsce poza Witkacym próbował?

Tutaj więc, w La Combe, niedaleko tej podalpejskiej wyżyny gdzie pochowano Micińskiego, kłopoty Vincenza pochodziły z mojej wierności Tygrysovi. „Przezwyćniać zachowując”. Je-

zeli dialektyka coś znaczy, to chyba cała jest w tej formule zawarta. Zdawałem sobie sprawę z ograniczeń Tygrysa. Miarę jego maksimum dawał ostatecznie Bertold Brecht. Obalić styl niezdolny do ujęcia zjawisk ludzkich w ruchu, to dużo. Jednak „Kredowe koło Kaukazu” było może kredowym kołem samego Brechta. Wielki teatr, gdyby nie to, że bohaterowie są użyci jako maski, jako egzemplifikacje i brak wyrwy, przez którą zagłada wymiar, nie bójmy się patosu, boski. Desakralizując, martwił o sztuce sakralnej i ta mu się wymykała. Tak samo Tygrys, ze swoim lotem nad obszarami historii. Uniwersalne zabijało w nim poszczególne, lepiej służyłaby mu bryczka albo pieszy marsz. Ale nie wolno mi było schodzić na niższe kręgi dialektycznej spirali i boczyłem się na Vincenza, podejrzewając, że jest polskim Polakiem czyli dla nas tabu (kto ich dotknie, zaraz się duchowo rozpada). Przy tym wątku nadzieja, że droga musi być jedna i nieuknikniona, że więc tylko Tygrysa wyprzedzam.

Zwierzyna rzadko wychodzi tam gdzie powinna, a jeżeli wychodzi, to inna zwierzyna. Vincenz opowiadał o jakiejś czar-nohorskiej przełęczy albo o wielkim mieście Pistryń, czytał głośno wieczorem przy winie swoje kroniki: o Boku, który tarł czar-nego byka w nadziei, że wybieleje, o przygodach Kudila w pań-stwie Syrojidów, o radości jaka zapanowała na dworze króla Hiszpanii, kiedy zjawił się tam krawiec Pinkas, bo chrześcija-nom jest nakazane kochać nieprzyjaciół, a oni wytępił swoich Żydów i nie mieli już kogo kochać. Ale przede wszystkim b y ł, promieniejący, epicki, z tym rodzajem humoru, który jest rów-ny szczerobliwości, *genérosité*, i obdziela wszystkich na równi nie po to, żeby górować, ale żeby komizm włączyć w strukturę bytu.

Nowe przyjęło się we mnie chyba tego dnia, kiedy odezwał się żal nad moim, nie tylko moim, naszym, kalectwem, niższością wobec niego. Bo wzloty moje i Tygrysa i wielu nam podobnych były kurczone, spazmatyczne, agresywne. Nasza duma była dumą ze zdobycia diabelskiej mądrości za cenę zbiorowego nieszczęścia. Nie żebym nie zżymał się na łagodność i wszech-pobłażliwość Vincenza. Tylko zaciekli, tylko rwacze zmieniają świat — powtarzałem sobie. Równocześnie jednak coś kielko-wało, niejasna świadomość, że „przezwyćieża się zachowując” nie ze zmarszczonymi brwiami, nie zapalając papierosa o papie-rosa, ale okólnie czy odwrotnie, z pozorów zapominając, idąc na górską wycieczkę, czekając aż co trzeba samo w nas dojrzeje. Sojusznikiem Vincenza okazywało się tutaj, jak przewidywał, parę procent żmudzkiej autonomii we mnie, pomimo wad, zbyt wyraźnych, żeby mógł spodziewać się, że kiedykolwiek nawróci mnie na spontaniczną szczodrość, beztróskę i otwartość.

Vincenz wymawiał często to nazwisko: Thoreau. Dzisiaj myślę, że pomiędzy amerykańskimi non-komformistami znad Merrimack River, którzy stosowali wobec społeczeństwa bierny opór, bronili minimalizmu potrzeb, zadawali się wystruganą

rażenie łyżką — i miłośnikami nieskażonych Karpat czy nieskażonej Litwy, istniał więcej niż jeden punkt wspólny, jakby ta sama dzikość a zarazem łaskawość przyrody przekonywała ich, że żyjąc nie warto robić wiele hałasu o nic i że jabłko cywilizacji toczy się w niezupełnie właściwą stronę. Ta ich niechęć do społecznego ciśnienia nie jest chyba bez pożytku i nie musi ozna-czać tęsknoty za przeszłością jako rajem utraconym, może na-tomiast, jak Vincenzowi, pomagać w utrzymaniu równowagi: ludzkość ma wiele stanów *optimum* i za sobą i przed sobą, gubi ślad i odnajduje. Thoreau w dwudziestym wieku owocował róż-nie. Jego uczniem był przecie Gandhi. Radykał, poplecznik Johna Browna (który, słowami Norwida, „nogą odepchnął pla-netę spodloną”) a zarazem cały brunatny jak świerkowa kora, parciany, lekkostopy, znawca ziół, imitator ptasich głosów, Tho-reau pozostaje patronem wszystkich „odwrotnych”. I nie gdzie indziej tylko tam, u tych wrogów maszyny i pieniądza (klucz pociągu Mickiewicza do Emersona to opis litewskiej puszczy) jest źródło nowoczesnych pomysłów ponownej integracji czło-wieka w tło mniej czy bardziej naturalne, poczynając od osiedli w zieleni i parków narodowych a kończąc na decentralizacji i funkcjonalnym użytku materiałów. (Czyż to nie w kołach, do których należał Thoreau wygłoszono pochwałę wiejskiego bu-downictwa Nowej Anglii przeciwstawiając je sztucznym zapo-życzeniom?).

Thoreau, ponieważ doprowadzał aż do obsesji swoje prze-konanie, że człowiek jest jak drzewo i że jego korzenie nie mo-gą wisieć w powietrzu. Nic innego nie jest treścią huculskiej baśni o kraju Syrojidów, pożeraczy ludzi, którzy wyglądają jak zeschłe liście i poruszają się zawsze stadem, na łasce wiatru.



Dla czytelników, którzy nie przeżyli zbyt mocno „objawie-nia się historyczności” te uwagi mogą wydać się właśnie wiel-kim hałasem o nic. Jednak pewne pokolenie, może zresztą tylko w nielicznych swoich przedstawicielach, przeżyło to mocno. Ty-grys, tak we mnie tkwiący, że jest biegunem mojej nigdy nieosiągalnej jedności przeciwieństw i jeżeli kiedykolwiek spieram się z nim, to nie z nim ale z sobą, kochał Herodota i Platona czyli dobrze pojmował, że bakcyła pokonuje się nie przez zmniejszenie ale przez spotęgowanie dawki. Mimo to ulegał panice wobec „faz” dziejowych a przyjąwszy ich bezwzględna moc de-terminującą nie ośmielał się pytać ile w tych „fazach” jest śle-pych ulic i czemu.

Podpatrywałem sekret Vincenza. Miałem przed sobą kogoś, kto za jednym zamachem obalał dwie rozdęte mitologie. Rów-nież tę mniejszą, lamentujących „tułaczy”, gotowych zmarno-wać całe życie na tymczasowość i oczekiwanie powrotu (powro-tu do czego?), byle udawać, że nie są gdzie są. Jego sekretem była ta sama rewerencja dla ognia, chleba, oliwy i wina, której

brak jest złamaniem prawa i wystarcza żeby wiele z dumnych prób obrócić w nicość. Z nikąd nie był wygnany. Żaden anioł nie stał za nim w bramie z obwieszczeniem, że musimy wybrać albo zupełną bierność albo ścigać Erę jak psy metalowego zająca. Dokoła rozpościerała się ziemia, dostateczna, bo wyposażona we wszystko co nam jest potrzebne do codziennego po dziwu.

Vincenz obchodzi w listopadzie siedemdziesięcioletnią rocznicę urodzin. Składam mu w podarunku ten artykuł. Napisałem go z wdzięczności i po to, żeby zerwać z nałogiem przemilczania w druku związków najbardziej twórczych, o skutkach powolnych ale pewnych. Vincenz nas obdarowywał. Jeżeli każdy z nas przez to się jakoś zmieniał i z kolei coś przynosił ludziom? Jeżeli ci z kolei? Słuszne więc jest jeżeli pozbędziemy się zazdrosnej chęci ogłoszenia go za naszą wyłączną własność.

Czesław MIŁOSZ

P.S. Ale artykuł nie jest więcej niż znakiem. Cokolwiek powie się o Amerykanach, mają oni jedną wzruszającą cechę: jeżeli kogoś cenią, bez żenady składają mu materialne dowody sympatii, przysyłając książki, fotografie swojej rodziny, czekki pieniężne, skrzynie owoców, bilety lotnicze czy Indyki w puszkach. Vincenz przynależy do nacji, która naprawdę lubi tylko nieżyjących, bo wtedy można bezpiecznie wielbić ducha, nie narażając się na żadne obowiązki wobec ciała. A gdyby tak ośmielono się (co zawsze jest aktem indywidualnym) szanować czynnici?

## DOKUMENTY

Zeszyt IV

WARSZAWA — KIJÓW  
opracował Borys LEWYCKYJ

Informacja o stosunkach politycznych, gospodarczych i kulturalnych w latach 1945-1957.

Już jest w sprzedaży w administracji „KULTURY”  
i u jej przedstawicieli.

Cena egz. — 100 frs.

## Wiersze

### PRZEKLEŃSTWO MOWIE

*O niezwyuczajnych rzeczach  
mówić trzeba zwykłymi słowami,  
Bo słów niezwyuczłych nie ma,  
a nawet gdyby były  
nie wymówi ich nasze gardło  
i nie rozezna ich nasz słuch zwierzęcy.*

*Gardło ma tylko jedną gamę  
i język tłucze się po podniebieniu  
dźwigając z pustki monotonne sylaby  
układane jak surowe cegły  
na piętrach wieży Babel.*

*Zgłoski w sylabach choć dźwięczą najróżniej  
są tylko płaskimi drganiem —  
zbyt płaskimi żeby mogły oznaczyć czas.  
I oddech przez zęby wiejący  
świszcze inaczej niż wiatr.*

*Bo wiatr to jest mowa nieba —  
Końcami skrzydeł dotykając ziemi  
i strzępami gubionych piór  
dzwoniąc w roślinnych uszach stworzenia  
mówi jaśniej niż pękate tomy ksiąg.*

*A samo słowo w i a t r  
to tylko nikły cień znaczenia  
które niesie w sobie wstępujące powietrze.*

Nie starczy sił w piersiach  
 żeby wymówić w i a t r jego własnym  
 przezroczystym imieniem.  
 Nie starczy sił  
 żeby wypowiedzieć s z u m ...  
 Płynny rzut wiatru  
 na płaszczyznę cierpienia

I ludzkie słowo wiatr  
 i ludzkie słowo szum  
 nie znaczą nic w mowie czucia.

Myszę o dreszczu —  
 Dreszcz — ciarki po skórze idące —  
 w ogniu — chłód  
 w spiekocie — mróz  
 w żywym kwiecie — proch śmiertelny.  
 Ale nawet tym słowem  
 nie doświadczysz ani miłości ani śmierci.

Na szczęście my dwoje nie potrzebujemy słów  
 żeby wszystko wiedzieć o sobie.  
 Dotkniemy się rękami  
 i od razu ogarnia nas wiedza.

Usta nasze nie są jak trąby grające  
 ale są jako głuche studnie —  
 Wszystko to czego doświadczaliśmy  
 osobno  
 płynie przez nie w milczeniu  
 do naszych serc ciekawych

Bo serca nasze są ciekawe  
 jak oczy w ciemnościach.  
 Otwierają się na próżno  
 i zamykają się po to  
 żeby wyraźniej zobaczyć to  
 co zakryte jest mrokami mowy.

Czy znaleźliśmy sposób na przenikanie tajemnic?  
 Czy też obronny instynkt niemych  
 Każe nam głuchnąć na słowa?  
 Wtedy — kiedy wiatr nas oświeca,  
 radość nas jednoczy  
 w nurcie nieśmiertelności płynącej  
 przez zamurowane bramy  
 naszego doczesnego istnienia.

## O PRAWDZIWYM ZWĄTPIENIU

Czerwonymi wozami straży ogniowej  
 pędzącymi do pożaru  
 Otucha wjeżdża do serca.  
 Białymi ambulansami  
 otucha wjeżdża do serca.

Nie jesteśmy osamotnieni  
 Nie jesteśmy opuszczeni  
 Nie zapomina o nas drugi człowiek.

Niech bym upadł, pochyli się nade mną —  
 Niech bym zabłądził pokaże mi drogę —  
 Niech bym się skrważył  
 krew mi odda swoją  
 i życie z jego krwią razem  
 wpłynie do mojego zdrętwiałego serca.

Życie — samo życie —  
 Jakby nie było już tylko moją własnością  
 lecz naszą wspólną —  
 Twoją, moją i jego —

krew żywa  
 płynie w nas systemem dorzecza  
 wielkiej rzeki której na imię ludzkość —

I wiem wiem, że żyć mogą osobiście  
 Krwią człowieka nieznanego (obcego)  
 który utoczył z siebie

i napelnił ciało moje otuchą —  
 Klatka — a w klatce  
 ćwierkające tętnienie  
 na chwałę człowieka prawdziwego —

Chodzę sobie po świecie  
 i cieszę się słońcem wschodzącym,  
 czerwonymi wozami straży pożarnej  
 i białymi ambulansami  
 pędzącymi po mieście na ratunek —

Ludzie stoją na ulicach  
 prostując drogę lecącej nadziei —  
 samochody rozstępują się  
 i światła zielone zapalają się automatycznie

Piękny i dobry jest świat.

(Zakłęcie I)

Nie odbierze mi człowiek  
tego co mi najdroższe —

(Zakłęcie II)

Nie zabije mnie w ciemności  
ani nie zaccai się na mnie.

(Zakłęcie trzecie i ostatnie)

Jeżeli mnie zabije, to w lęku —  
W trwodze śmiertelnej.  
Zamknięta jest ta strona świata  
dla serca człowieka prawdziwego,  
który śmiało przemierza ziemię i niebo  
ale drży na wspomnienie ogrodów rajów  
i bardziej czeka na śmierć niezawinioną,  
aniżeli na żywot wieczny —

Bronisław PRZYŁUSKI

## NA ŚMIERĆ DOBREGO KOMUNISTY

Ponieważ nie trwoży go ciemność,  
ni żwir, ni woda,  
ponieważ dłonie chłodu, język piasku,  
nie czują,  
ponieważ to, co w nim ludzkie, zostaje w ludziach,  
i poza ludźmi go nie ma,  
a to co ziemia wzięła, siemna zatrzyma —

ponieważ ani duszności, ni tlenu, nie lęka się,  
też i nie pragnie,  
a gdy się lękał i pragnął, wbiegał na schody obłądu,  
skąd sens historii widział inaczej,  
i w innych lustrach  
siebie —

ponieważ gardło nabrzmiewa od stryczka, i słowa,  
choćby łagodne i małe,  
wyrzucić może tylko krwotók,  
ponieważ to co jest w nim, nie jest już, lecz było,  
a to co jest, jest w nas —

ponieważ wiedział,  
że to co umiera, umiera na zawsze —

milczy.

Imre Nagy,  
to warto było przekazać historii,  
każda pięść wzniesiona  
opada.

Wokół nas tylko pustka większa,  
krąży dźwięk, który wrócił,  
widać nie mogło go unieść rozrzedzone powietrze.

W tej pustyni, gdy ucho natężam,  
ciche są nawet kamienie.

Obok nich przysiadł głuchy upiór Horthy'ego,  
karmi z ręki raka naszej koncepcji.

Imre Nagy,  
to warto było przekazać historii,  
pięść proletariatu wzniesiona przeciwko nim,  
opada.

Tak być musiało,  
sądzę, iż nam wybaczysz.

Chcę być zrozumiał lepiej,  
i umarł lepiej,  
w tym, co zostało w nas,  
i czego poza nami nie ma.

Ponieważ pięść wzniesiona opada,  
a inna pięść nie wznosi, i po co?

ponieważ pytam, i wraz ze mną pytają inni,

ponieważ tkanki raka, są tkankami ciała,  
i przeciw chorobie, to tyle co przeciw ciału,

ponieważ „przeciw”, znaczy tyle co „w dobrej wierze”,  
a dobra wiara, jest dobrą wiarą,  
i nikt w nią nie wierzy,

ponieważ wierzymy w życie, i nie wierzymy w śmierć,  
więc choć umrzemy, umrzemy później niż ty,

ponieważ umrzemy uśmiechnięci i cisi,  
a ty wierzyłeś w słowo,

ponieważ słowo, nie znaczy tyle co znaczy,  
i nic, nie znaczy nic,  
lecz wszystko —

tak być musiało.

Ponieważ z twojego gardła, gdy nabrzmiało,  
zrobiliśmy róg,  
i dmiemy weń, faszyści i komuniści, czarownicy  
[i archaniołowie

ponieważ na twój głos,  
nie wstałby nikt, wierz mi, ni teraz, ni jutro,  
ni tym bardziej za lat czterdzieści,  
a róg słyszą w Pekinie, Genewie, Libanie  
i Warszawie —

sądzę, iż nam wybaczysz.

JERZY S. SITO

## NOWY WYBÓR WARSZTATÓW DZIEWIARSKICH (TRYKOTARSKICH)

które najbardziej polecamy:

### „GIROTEX 400”

Najszybsza i największa o 400 igłach w 2 metalowych łożyskach,  
posiadająca 2 automatyczne szpule \$176.—

### „TRICOLETTE SUPER”

model dwu-łożyskowy, metalowy, o 360 igłach  
z automatycznym wyłącznikiem \$153.—

### „TRICOLETTE T2E”

model dwu-łożyskowy, metalowy o 360 igłach \$138.—

Na każdym z powyższych modeli można wykonywać  
tak zwane ściągacze automatycznie, oraz trykotaże  
na okrągło bez szwu.

### „ASK” (lub AUTO-KNITTER)

o jednym łożysku metalowym, posiadającym 181 igieł \$72.—

Powyższe ceny obejmują koszt dostawy do Polski.

Do wszystkich powyższych modeli  
posiadamy obszerne instrukcje polskie.

NAJWIĘKSZY DOM WYSYŁKOWY

**TAZAB & Co LTD.**

22, Roland Gardens, London, S.W.7.

o r a z :

**TAZAB OF LONDON**

36, 3rd Ave., New York 3. — N.Y. (USA)

## Absurdeska

I

Wszystko od początku rozwinęło się z naturalnością i realizmem, aczkolwiek swoistym. Poduszka pod głową Izy stwardniała i poruszyła się z zażenowaniem, Iza otworzyła oczy na drgającą sennie rzeczywistość neonów i powiedziała: „Ach!”

— Ach, czyżby to już było już?

Wąsik sąsiada odemknął się jak wieko świeżo wypolerowanego pianina — klawiatura zębów załśniła jaskrawą białością; trwał w uśmiechu, poruszając dyskretnie ścierniętym ramieniem. Iza nie zmieszała się, więc on się zmieszał i ostatecznie on, nie ona, powiedział „przepraszam” i „dziękuję”, wstał z pośpiechem, głowa jego, zgilotynowana mrokiem, toczyła się gdzieś po sklepieniu autobusu; odzyskał ją dopiero przy wyjściu: zabłysła szafirowo nad uchwytem kołnierzyka.

Ktoś zapukał w okienko: tym razem dwa uśmiechy, bezbarwne i anonimowe w opalonych słońcem i neonami twarzach. Przed uśmiechami trzepotała się dłoń — postrzępione skrzydło śmy o ciemnym grzbiecie i jaśniejszej podszewce. Iza uznała, że gest należał do niej, zsunęła na bok szybkę i powiedziała: „Hola!”

— Halouu! poprawił ją głosik, w którym tkwiła pestka swojskiej pogardy dla świata łańciskiego, wraz z kompleksem uniżenia wobec anglosasów — tej notabene strony ich geniuszu, która wyraża się w rubrykach „high-life’u” — Pani Iza, prawda?

Towarzysz głosiku był również blond; jego tors w tatuażu fioletowych refleksów skłonił się z dobrze wychowaną przychylnością.

Iza wysłuchiwała emfaticznych zapewnień, że bardzo im miło, że nazywają się, że mieszkają w tym samym — okropnym! — pensjonacie co i Lena, że Lena nie mogła, więc, że oni... i że —



ach! jak się pani wygniotła! — Po chwili gra o stawkę koloru i kształtu wygasła w ślepym wnętrzu taksówki; czasem tylko nożyce latarni wycinały skośny fragment rąk, sukni czy twarzy, podczas gdy nieustający głosik siekał na drobną kaszkę bliski pomruk motoru i daleki morza.

Wyszli gdzieś wreszcie w ciemność obficie zaprawioną jodem i solą. Znowu przyświecał neon — tym razem księżycy, noc szkicowała węglem wstęgę promenady a wiatr rozcierał szyferkiem jej perspektywę. Był jeszcze i kamienny płotek: linią jasnego grafitu oddzielał promenadę od tafli morza z polerowanej stali.

Iza złożyła w lamigłówkę strzępy głosiku, porywanego przez wiatr i okazało się, że hotel istniał, choć go nie było; leżał podobno na samej plaży i ten ciemny prostokąt, który przrasta prostopadle do linii murku, to właśnie jego dach. Schodki też były kamienne, niewygodne i uroczo chropowate; schodziło się po nich w głąb, prosto pod płytę morza, w samą najczarniejszą, najbardziej ślepią ciemność. Lecz właśnie gdy jej nasilenie zdawało się wskazywać że niezwykle dach znajdował się już ponad głowami, schodki zająknęły się i z rozbrajającą niekonsekwencją zaczęły wstępować w górę a płyta morza odsunęła się na lewo i ku dołowi. Szli teraz po tarasie, co, wyraźnie zaszokowany nagością samotnej żarówki, jak nagością jedynej i nieuniknionej a niepowabnej żony, cofał się w głąb i odwracał od niej plecami balustradki ku oceanowi pełnemu syrenich obietnic. Za drzwiami był korytarzyk, za korytarzykiem schodki — i *patio* na półpiętrze, i znów schodki — mały wewnętrzny taras z widmami suszącej się bielizny, wąski pasaż a w nim wspaniałość oceanu i wreszcie galeryjka czy też długi balkon z drewnianą poręczą, wychylony oczekująco w połyskliwą przestrzeń. Wzdłuż galeryjki — szereg drzwi-okien, z persjaną i obietnicą prymitywu w stylu „kolonialnym”.

To już było tutaj. Morze, na pozór tak spokojne, miało się o niewidoczne skały z grzmiotem dostatecznie władczym by rozbić na miazgę rozkoszną kruchość głosiku. Jeszcze chwila pantominy: wargi poruszające się z zawrotną szybkością w zupełnej niezgodzie do monologu morza, zachwycony sobą uśmiech w zupełnej niezgodzie do wrażenia Izy — i Iza odgrodziła się drzwiami z persjaną od niepokojącego świata z łupku i stali, zamieniając go na inny — zacisznie żółtawy, choć nader obdrapany.

Lena leżała na łóżku w całej glorii swej opalonej kobiecości. Przyciągnęła ku sobie głowę Izy mocnymi i ciepłymi ramiarami.

— Masz włosy na sztywno nakrochmalone solą — powiedziała Iza — odejmując usta od jej kędzierzawej czupryny. Lena usiadła — była beztrosko rozczochrana, świeża i zupełnie bez *maquillage'u*; wyglądała jak murzyniátko — zabawnie i wzruszająco.

Pokoikowi także nie dostawało na *maquillage'u*, a zbywało na beztrosce. Dwa ostrokańciste łóżka, szafa zbyt wąska i zbyt wysoka, stół — i odrobina wolnej przestrzeni: zbyt mało, by się w niej mogły poruszać dwie osoby naraz. Wszystko proste i bez wyobraźni — natomiast ściany jak najbardziej urozmaicone: wilgoć wymalowała na nich mapy fantastycznych lądów.

— Były bielone w tym roku — poinformowała Lena. — Cóż jednak chcesz? Hotel stoi prawie że w samym morzu, trzeba by go malować stale, jak okręt.

A zresztą — jakież znaczenie może mieć dla nich fakt, że tynki lecą na głowę, w obliczu morza, którego jest aż tyle? Cóż za szkoda że Iza nie pośpieszyła się o kilka dni! Był sztorm. Fala łaziła po tarasie, dobijała się do okien jadalni i nawet tu, na górę, docierały przez okno bryzgi pian. Taki prysznic zdarza się dość rzadko — natomiast szum nie zawodzi! Nawet we śnie gdy się śni na przykład zebranie towarzyskie u szefa w Buenos Aires, froterowana posadzka faluje jak pokład — nawet i tam ją kołysze szum zza persjany! Ach, cóż za niebywała frajda!

— Ta pani — „pani Lusja” uzupełniła Lena — a więc, pani Lusja zdradza mniej entuzjazmu niż ty.

— Och, ona! — mruknęła Lena. — Ona duchem rezyduje wciąż w najelegantszych hotelach świata, wśród publiczności tak dystygowanej, że aż nią być przestaje. Pech chce, że brak jej na to środków. A ta buda jest tania jak barszcz.

Iza potknęła się o walizkę przy szafie:

— A to co? Twoja? Co tutaj robi? Czyżbyś się właśnie wyprowadzała na mój przyjazd?

Lena nie uznała za stosowne odpowiedzieć. Podniosła się i zabrała do układania swej bielizny z powrotem w szafie.

## II

Jadalnia była dość obszerna i wypełniona światłem jak najbardziej nietwarzowym. Nad stolikami nakrytymi plastykiem tkwiły fizjonomie jakie się widuje na sali balowej około szóstej nad ranem: blade mimo opalenizny i znużone mimo wypoczynku. Siłą skojarzenia oczy się kleiły i całe otoczenie chwiało w atmosferze nierzeczywistości. Para z dworca siedziała przy sąsiednim stoliku; ona miała minę kapryśnie znudzoną, on robił wrażenie człowieka, którego jedynie tresura towarzyska utrzymuje w formie.

— Ten pan wygląda zupełnie przyjemnie — zauważyła Iza.

— Ten pan jest beznadziejny! — prychnęła Lena.

— Ma bardzo ładną czuprynę.

— Ma skłonności do cierpiętnictwa.

— Jesteś na niego cięta?

— Ja? — zająknęła się Lena — Nie. Skąd znowu!

Nieco dalej siedziała inna para. On składał się głównie z pewności siebie i uśmiechu à la uproszczony Don Juan, który go upadabniał do sąsiada z autobusu i większości mężczyzn tego kraju, ona — z wyzywająco wyciętej sukni, wyzywającej fryzury i takichże kolczyków, które nosiła z rodzajem heroicznej determinacji, jak inne kobiety — okulary lub bawełniane pończochy.

— To zakazana miłość — objaśniła Lena. — Biedactwo! Nie leży w jej powołaniu. Wspina się na coraz to wyższe obcasy, by dorosnąć do sytuacji, lecz zdaje się, że w bohaterских wysiłkach, by zdobyć trochę przyjemności, zgubiła samą przyjemność. Zresztą — trzeba to zaraz wyjaśnić — interesuje się nim samym a nie jego forszą.

Iza zauważyła, że ktoś kto ma „forse” a jednocześnie decyduje się na pobyty w tym pensjonacie, może być istotnie interesujący, choćby nawet na to nie wyglądał.

— Nie, to nie to! — Lena wyjaśniła, że oboje mieszkają w luksusowym hotelu po drugiej stronie promenady. Chodzą tylko na tę samą plażę i czasem zaglądają tu na kolację, gdy jest „chupin” — to takie zupsko z ryb i innych morskich dziwadł... Przeważnie przychodzi tylko on, sam. Zresztą...

— Co?

— Nie. Nic.

— No wykrztuś!

Lena nie chciała wykrztusić. Dlaczego? Bo nie! Nie i nie! Poza tym, to nie ciekawe. *A propos* — ciekawe. Owszem, jest tu i ktoś interesujący.

— Kto? — Pepe. — Hiszpan? — Nie, Włoch. — To czemu Pepe? — Bo Pepe. Nie ma go dzisiaj, poszedł spróbować szczęścia w Kasynie. Ale nadciągnie niedługo, by wypić razem kawę. — Młody człowiek? — Tak. Około sześćdziesiątki. — Samotny? — Wdowiec, lecz chyba nie do wzięcia. — Jaki jest? — Uroczy! Tzn. zupełnie niemożliwy. Ale uroczy. Zobaczysz sama.

Starszawy *mozo* w teoretycznie białym kitlu i z miną dostojnie obrażoną podał „chupin”. Iza mieszła w nim łyżką, z nieufnością, Lena śmiała się — to naprawdę jest pyszne! odważyła się! — Iza się odważyła, połykała gęstą pomidorową ciecz, nie patrząc w talerz; pływały tam jakieś podejrzane stwory więc, na wszelki wypadek, wołała spoglądać gdzie indziej, a choćby i na stolik po lewej ręce. Był to zwyczajny sobie stolik, nie nakryty i równie szpetny jak pozostałe. Ale podobał jej się: zdawał się czekać, na kogoś czy na coś, z cierpliwością dostępną jedynie czekającym stolikom.

— Nie pojechałam dziś po ciebie — odezwała się Lena, odstawiając talerz po makaronie i atakując befszyk z rusztu — bo ona się uparła, że też musi powitać rodaczkę. Sprawa urosła nieomal do wyżyn aktu patriotycznego — nie było rady! Ponieważ zaś nie znoszę konwersacyjnej biegunki, wybrałam migrenę...

— Skąd ich znasz?

Lena знаła przede wszystkim jego — przychodził czasem do biura w Buenos Aires i ona to właśnie poleciła mu pensjonat. Natomiast panią Lusię poznała dopiero tutaj.

— Aha — stwierdziła Iza z roztargnieniem. — Rozumiem. Powiedz mi, Lena, czemu on ma taką ponurą minę?

— Ponurą? — zdziwiła się. — Powiedziałabym raczej — przegraną. Dużo by o tym mówić. To dość skomplikowana sprawa, znacznie bardziej niż mogłabyś przypuszczać na podstawie tych kilku kilometrów, razem, w taksówce. — Iza śmiała się — o kim ty mówisz? — A ty? — O *mozo*. — Ach — machnęła ręką Lena — *mozo* jest bardzo poczciwy; tyle że rozgryza właśnie swój prywatny problem. Jakaś krzyżówka z niedzielnej gazety... Co więcej? A! — stolik? Widzisz, że nie zajęty.

Przy pustym stoliku stało puste krzeselko. Puste krzeselko nie zmieniło, naturalnie, swej fizjonomii — Iza uznała to za fakt sympatycznie kojący. Nagle drgnęła: krzeselko wyglądało zupełnie inaczej. I rzeczywiście! Ktoś na nim siedział.

Był to osobnik niezwykle wysoki i chudy. Miał czarne, gładko zaczesane włosy i doskonale, kategorycznie czarny garnitur. Wyciągnął z kieszeni chustkę o niespotykanych rozmiarach i rozkładał ją na spiczastych kolanach sennymi ruchami palców, które wydawały się przynajmniej dwa razy dłuższe niż u przeciętnego śmiertelnika. Nie patrzył na to co robi: jego wzrok, określony jedynie czarnymi obwódkami okularów, tkwił — o ile coś równie rozproszonego może tkwić — w jakimś punkcie daleko poza przeciwległą ścianą; zdawał się przenikać w ogóle wszystkie ściany i inne tym podobne przeszkody, jakie mu stawały na zawadzie w linii prostej, z wypukłością kuli ziemskiej włącznie. Miał może trzydzieści, może czterdzieści lat, choć równie dobrze mógłby być poza wiekiem, jak był poza rzeczywistością.

— Ernesto — powiedziała Iza, nachylając się ku niemu — jak ci na imię?

Obrócił ku niej głowę — powoli, powoli, — minęły całe godziny, może lata, nim spojrzał jej w twarz i odpowiedział:

— Ernesto.

— W jaki sposób — spytała z zaciekawieniem — jesteś? Tak nagle... Jak ty to robisz?

Odpowiedział:

— Właśnie tak.

Uśmiechnął się — uśmiech był taki sam jak głos i jak spojrzenie: rozbijająco roztargniony i z tłumikiem. Iza czuła się lekko, beztrosko, nieodpowiedzialnie. Wszyscy na okół, z Leną włącznie, przestali ją w jakiś sposób obchodzić, choć jak najwyżej obchodzili jej ciekawość: patrzyła na salę, jak na emocjonujące widowisko. Nikt zresztą nie zwracał na nią uwagi, ponieważ wszyscy byli zajęci samymi sobą.

Stolik z zakazaną miłością zmienił dekorację. Jej część żeńska zsunęła z uszu przyciężkie kolczyki a z nóg przyciasne pantofelki, jej kształty wskazywały wyraźnie na brak kontroli i biu-

sthaltera, a na ustach zadamawiał się uśmiech właściwy czułym i szczęśliwym małżonkom. Wybierała z półmiska co lepsze kęski i kładła je na talerz swego towarzysza! ten jednak odwracał się od niej ku dekoltoowi pani Lusi i rozszerzał go konsekwentnie — głębiej i głębiej, aż do skutku. Pani Lusia śmiała się, drażniąc i historycznie, udając śmiechem, że to wcale nie ona i że w ogóle nie wie o co chodzi, a jednocześnie krygując się ku Brunetowi to biodrem, to łokietkiem, to ramionkiem. Jej szczupły Blondyn wyprostował się na krześle, spojrział niespokojnie — ona mu położyła dłoń na oczach z kocią, łaszczą się przywilnością — powiedział pobłaźliwie „Ach, cóż z ciebie za dzieckem” — zdjął jej dłoń, podniósł do ust — jego oczy rozplynęły się w zamglonym wniebowzięciu. Iza obserwowała go tak, jak się oskubuje margarytkę: „Widzi — nie widzi, nie chce widzieć? podgląda!” — wiedziała że powinna czuć zażenowanie i litość, ale chciało jej się śmiać. *Mozo* odstawił tacę, wyciągnął z kieszeni gazetę i ołówek, poślinił go, westchnął — wzrok Bruneta zrywał z Lusi, systematycznie, szmatka za szmatką, bołenko, haleczkę i etcetera — towarzyska Bruneta podniosła nagle głowę, jej piękne, bezmyślne oczy zwały się, nabrały wyrazu, czały czujnie i groźnie, jak drapieżne zwierzęta. „A jednak w niej — pod tą inną — jest jeszcze inna” — pomyślała Iza. Pani Lusia spojrziała na rywalkę z niebotycznych wyżyn swojej europejskości, uśmiechnęła się — wyzywająco do Bruneta a rozbrajająco do Blondyna — wzrok Blondyna zawahał się, zająknął — i oddał uśmiech.

Wtedy podniosła się Lena. Stała oparta o stół pięściami, wysoka i gniewna. Było to jakby inspicjent się pomylił i wysłał na scenę postać z zupełnie innej sztuki: farsa zmieniała się w dramat. Podeszła zdecydowanym krokiem do Blondyna, chwyciła go mocno za ramiona i potrząsnęła jak kimś, kogo się chce obudzić z letargu.

— Lena! — krzyknęła Iza ze zdumieniem.

— Lena — powiedział tuż za nią niski głos towarzyski Bruneta — czy spotkamy się jutro na plaży?

Brunet kłaniał się z daleka: „*Hasta mañana*, Lena, — *hasta mañana, senora*” — pani Lusia spytała czy Iza gra w brydża — jej mąż zaprotestował: „Ależ kochanie, pani Iza na pewno jest zmęczona podróżą” — *mozo* wniósł kawę na tacy i postawił ją na pustym stoliku po lewej ręce Izy — Lena poprosiła o trzy filizanki „dla nas i dla pana profesora” — lampy mrugały ironicznie i od półotwartych drzwi powiało chłodem.

Iza wybiegła na taras.

## III

Noc w srebrze i czerni, jak Murzynka w tunice z lamy, opierała o taras głowę pokrytą szorstką wełną tamaryszków. Gdy wiatr rozczesał je w stromą ścieżkę, Iza wstąpiła na nią i zeszła ku plaży na samych końcach palców, cichutko... W dole było zupełnie inaczej, choć właściwie tak samo: na białym piasku leżały cienie skał, jak ślady stóp olbrzyma i błędził wśród nich senny guliwer w czarnym garniturze.

— Ernesto! — zawołała szeptem.

Przystanął i poczekał aż się z nim zrówna; poszli milcząc przez plażę białą od księżyca. Iza zrzuciła sandaalki; jej stopy były znów stopami małej dziewczynki, cieszyły się piaskiem, niosły ją lekko i tajemniczo — fala lizała je chłodnym, łaskoczącym językiem. Cała zresztą była malutka, jakby wyluskana przez srebrne palce z mięsistej skorupy dni i doświadczeń, streszczona do samego tylko poczucia lekkości, swobody i beztróski. Śmieszyl ją własny cień, bezsensownie długi i wyraźny w stosunku do niematerialnej substancji, która ją wypełniała. Roześmiała się i śmiech plusnął po wodzie jak płaskie kamyczki.

— Spójrz jaki jest lśniący — pomyślała do Ernesto.

Ernesto zatrzymał się; jego długa postać wygięła się łagodnie w znak zapytania.

— On, cień księżyca — dopowiedziała, wskazując palcem na trójkąt blasku, co falował po wodzie, szedł ku nim, nie poruszając się z miejsca.

Uchem! — potwierdził — potwierdzenie rozsunęło się w srebrnym powietrzu, zawisło w nim równowagą całkowitego zrozumienia. Zagrał długimi palcami po morzu jak po olbrzymiej klawiaturze.

— Jakie to ładne! — wyręczyła go.

Znów potwierdził.

— Ernesto, — zapytała po chwili — jak ty to robisz?

Czekał.

— Dlaczego wszyscy przy tobie zachowują się inaczej?

— Nie wiem — odpowiedział leniwie. — Ja zawsze robię to i tak, na co i jak mam ochotę. Może to ośmiela...

Pobiegła zanurzyć stopy w księżycu. Rozprysnął się jak stłuczone lustro i białym błuszczem pełznął ku jej kolanom. Wyskoczyła, zawstydzona, na twarde, sprężyste piasek, schyliła się po muszlę, dużą i spiralną, taką jakie powinny być — a nie były — nad oceanem i gestem z dzieciństwa przytuliła ją do ucha.

Znów stał przy jej boku. Powiedziała cicho, w sekrecie:

— Ona po swojemu interpretuje to co powiada morze. Gdyby nie było pieśniarzem, a architektem, budowałoby na pewno ogromną arkadę. Tak! — Cios i szum, słup i łuk, słup i łuk —

widzisz? Ona nie. Ona tylko łuk — długi, długi, tak długi, że aż prosty. W tym jest tajemniczość, jak w ciągu do nieskończoności. Lecz nie ma jego pedanterii. Czy możesz mi dać papierosa?

— Mogę — odpowiedział. — Ale nie mam ochoty.

Była to odpowiedź doskonale właściwa. Iza odczuła niechęć długich, luźnych rąk do skoordynowanego gestu, sięgnęła do kieszeni jego marynarki, wyjęła dwa papierosy i jeden z nich włożyła mu między wargi. Księżyc żarzył się okrągło jak elektryczna zapalniczka, wspięła się więc wysoko na palce, kierując ku niemu koniec swego papierosa.

— Nie umiem — westchnęła z żalem.

— Ernesto — zapytała, patrząc jak morze kreśli akwarelę zakończoną żarliwym punkcikiem. Dym zamajaczył w nocy chwiejnie i nieprzypadnie.

— Cóż za lunatyczny dym — stwierdziła.

Odpowiedział:

— Uchum!

— Ernesto — zapytała, patrząc jak morze kreśli akwarelę na piasku przecinające się elipsy — czy mógłbyś powiedzieć mi o nich coś więcej?

Czekał.

— O tamtych ludziach — uzupełniła.

— Nie interesują mnie.

— A ja?

— Ty nie należysz do nich. Przynajmniej teraz.

— Do ludzi?

— Tak.

— Czym-że więc jestem?

Głos jego doszedł ją z niezmiernej oddali:

— Świadomością na wakacjach.

— Co to znaczy? — spytała.

— Jesteś wrażliwa i otwarta. Na ludzi i na morze. Ale nie na siebie. Nawet gdy pytasz mnie o siebie, czynisz to, ponieważ w odpowiedzi interesuję cię ja a nie ty. Odpoczywasz.

— Od siebie?

— Tak.

— To jeszcze nie pełne wakacje. Sam mówisz, że obchodzą mnie ludzie...

— Nie obchodzą. Ciekawia.

Jego głos był znów blisko, tuż obok jej ucha. Lecz zabrzmiał ledwo dosłyszalnie, jakby na przekór odległości:

— Nie wytrwasz w tym długo.

— Dlaczego? — zapytała i odbiegła o kilka kroków, ponieważ przyszła jej ochota przeskoczyć własny cień. Obliczała skok uważnie, mierząc stopą poza odrealnioną replikę swej głowy na piasku. Lecz cień wyslizgnął się spod jej stóp, jak żywa ryba z ręki.

Odpowiedział:

— Bo jednak należysz do nich. Upieracie się, by istnieć byle jak, nie selekcionując wrażeń.

— Obchodzą? — powiedziała kapryśnie, przesypując piasek przez palce uniesionej stopy. — Ciekawia?... I tak — *à la longue*?...

Piasek był chłodny i sycki. Ucieszyła się nagle:

— Tak! Czemużby nie? Jak przyjemnie! Jak łatwo!

— Uchum — odpowiedział — dlatego właśnie tak trudno...

## IV

Obudziła się ze świadomością, że dzień jest słoneczny. Podbiegła ku drzwiom i jednym pchnięciem otworzyła je na blask i błękit. Błękit był na niebie, na morzu był blask: grzało jak kolosalny piecyk elektryczny. Od jego białej powierzchni odcinały się, bielsze, mewy — okręciki z papieru huśtane przez fale, nieprawdopodobnie lekkie i śliczne.

— Lena — krzyknęła — popatrz!

Leny nie było. Na podłodze przy łóżku leżała tylko jej ładna pidżama w granatowe kropki.

Iza wyszła na galerijkę, oparła się łokciami o poręcz i spojrzała ku dołowi. Hotel mimo wszelkich pozorów nie wyrastał bezpośrednio z morza, a stał na wielkim bloku skalnym o który rozbijała się w strzępy łaskawość oceanu. Bezpośrednio nad granicą — z wrzącego śniegu — wody i kamienia wzniosła się właśnie sieć rybacka, rozwinęła w przejrzysty, celofanowy parasol i spadła w morze jak deszcz w bukiet jaśminu. Drugi rybak — stary i ogorzały, po to tylko chyba by dopełnić doskonałości obrazu — wysuptywał z ciskającej się frenetycznie sieci ułamki blasku wyłowione z morza. Poza tym — nikogo, lecz gdy Iza wychyliła się przez poręcz i spojrzała bliżej, w dół, wyrosły jeszcze dwie postacie. Lena, w spodniach i swetrze, siedziała na fragmencie skały a Blondyn od sąsiedniego stolika stał obok; przyglądali się rybakom. Teraz dopiero Iza zauważyła jak bardzo byli opaleni: szyja i ramiona Leny miały odcień miedzi a jego włosy nad pochylonym karkiem wydawały się prawie białe. Popatrzyła na nich, zdumiona nieoczekiwaną pięknnością tej pary, która nie istniała przecież w każdym z nich z osobna i nagle cofnęła się do pokoju, powodowana nieokreślonym impulsem dyskrecji. Narzuciła na bluzkę krótki płaszczyk z szorstkiego ręcznika i pobiegła, przez galerijkę i mały taras, ku schodkom do jadalni. Taras trzepnął ją w twarz wilgotną bielizną, przedzierała się, ubawiona, przez tę poufałą dżunglę i wreszcie, u drzwi jednego z pokoi zderzyła się z panią Lusią w modnym dezabilu. Ta wypadła na zewnątrz, wyraźnie zirytowana.

— Ach, to pani? Dzień dobry pani — powiedziała dramatycznie. — Niech pani sobie wyobrazi — co za porządki! Od godziny dzwonię na tę dziewczynę, ale ona, naturalnie... Do

tego ta bielizna — cóż za ordynarne obrusy ! Nie widziała pani czasem mojego męża ?

Iza zawahała się, krótko i niepotrzebnie, bo wezbrany potok słów toczył się dalej :

— No tak ! Naturalnie ! Nigdy go nie ma gdy go potrzeba ! Egoista ! Czy pani mąż przynosi pani śniadanie do łóżka ?

Iza zaofiarowała się pośpiesznie, że zaraz przyśle z dołu tacę, zbiegła do kuchni a potem, po schodkach wykutych w kamieniu, na skałę i zawołała na Lenę.

Lena odwróciła się powoli i czekała bez ruchu aż Iza do nich podejdzie, Blondyn uklonił się — jego rysy wyrażały niepokój. Lena milczała przez chwilę jakby jej trzeba było czasu na powrót do rzeczywistości zaludnionej przez większą ilość osób niż dwie, powiedziała po prostu „dzień dobry”, lecz wargi jej poruszyły się szeptem i ociężałe. Zdawało się — nie przywykły do tego rodzaju sformułowań.

— Czyście już jedli śniadanie ? — zapytała Iza. — Nie ? Już po dziewiątej ! — Blondyn z popłochem spojrział na zegarek. — Widziałam się właśnie z pana żoną, ona też już wstała.

— Ach tak ? — bąknął i Iza spostrzegła że równowaga jego rysów ulega całkowitemu rozkładowi. Uśmiechnął się niepewnie pod adresem Leny — Lena się nie uśmiechnęła — odszedł ku hotelowi — Iza poczuła się skrępowana, jakby była świadkiem czegoś bardzo nieprzyzwoitego.

Lena nie odezwała się ani nie poruszyła. Gdy podniosła oczy ku Izie, były zupełnie matowe i czarne. — Idziemy ! — rzekła wstając.

U drzwi pokoju rozmyśliła się. Nie chce śniadania. Pójdzie prosto na plażę. Schwyciła na tarasie ręcznik ze sznura a w jadalni butelkę i paczkę biszkoptów. Poszła.

## V

Plaża była niewielka, zamknięta łukiem zbocza pedantycznie wylakierowanym zielenią trawników i o niesfornej cięciwie, którą targały porywcze dłonie oceanu. Łuk kończył się po obu stronach prymitywną rzeźbą skał; o jedną z nich pensjonat wspierał żółtawy odwłok na szeregu podagrycznych słupów. Natomiast na przeciwnym krańcu były już tylko same głazy. Skłębione i brunatne, jak stado bawołów u wodopoju, nachylały ku morzu obłe grzbiety i kudłate od porostów pyski; gdy fala odpływała, pyski wynurzały się z wody a ta splywała po nich gęstymi strumykami.

Na jednym z tych muskularnych grzbietów, osuszonym już przez słońce ze śladów przypływu, Iza znalazła szare spodnie, granatowy sweter i paczkę biszkoptów obok butelki Coca-Coli. Odszukała wzrokiem na morzu biały punkt niewiele co większy od piłki tenisowej i, wstrząśnięta nieprzyjemnym dreszczem,

odwróciła się plecami do wszystkich zasłyszanych opowieści o perwersji tutejszego morza — ku plaży. Roztulały się na niej właśnie egzotyczne kwiaty wielkich parasoli i opalony do ostateczności „plażowy” rozstawił wyplatane foteliki; jego stopy znaczyły wyraźne ślady na wygładzonym piasku.

Iza otuliła się szczelniej w płaszczyk i wyciągnęła na skałę. Twarz, mimo chłodu, paliła i tylko bryzgi pian zwilżały ją od czasu do czasu słoń, puszystą mgłą.

Usłyszała obok siebie jakiś ruch. Usiadła. Na przeciw, ponad skałę, jak fantastyczny grzyb wyrosła czaszka w najczystszej cyklamenu barwie. Śmiała się pod nią mnóstwem zmarszczek twarz bezceremonialnie brzydka i białorzęse oczki lśniły inteligencją. Cała fizjonomia przeczyła kategorycznie wyobrażeniom Izy co do interesującego profesora Leny, a jednak to był właśnie Pepe. Wgramolił się na skałę, gestykulując w sposób zupełnie niedopuszczalny dla albinosa, grzechotał śmiechem jak pudełkiem zapalek i w ciągu kwadransa nie dopuścił jej do głosu w sposób tak zajmujący, że zapomniała spytać, skąd wie że ona to ona i czemu nie stawil się wczoraj na kawę. Po kwadransie zaś, nowy znajomy był już starym znajomym, bardzo z nim było wygodnie i Iza zmartwiła się nie na żarty, gdy zapowiedział swój odwrót. — Dlaczego ? Po co ? Jakim prawem ?

— Słońce ! — westchnął. — Traktuje mnie jak najfatalniej. Szedł schronić się w jednej z grot, dalej, między skałami, póki cień nie przesunie się na plażę. Iza wahała się w wyborze między słońcem a Pepe.

— Niech pani tu zostanie — zdecydował. — Niech pani uważa na Lenę. Stamtąd jej nie widać, więc gotowa się jeszcze utopić.

Popatrzyła z żywą sympatią na drobną figurkę w bieli skaczącą niezgrabnie po kamieniach i znów wyciągnęła się ku słońcu.

## VI

Lena się nie zjawiała, natomiast słońce zaczęło przypiekać nie na żarty. Iza rozejrzała się za jakąś zaimprovizowaną szatnią, gdzieby można było przebrać się w kostium kąpielowy, wypatrzyła skrytkę między swoją skałą a wystającym fragmentem sąsiedniej i dała nurka w cień. Była właśnie w trakcie zapasów z zamkiem, który się zaciął i ani rusz, gdy usłyszała tuż obok, prawie że nad samą głową, dwa głosy.

— Niech pani poczeka, niech pan się odwróci — szczykała zębami Lena — muszę się zaraz wytrzeć !

— Pomogę pani, czy to ten ręcznik ? — odrzekł głos męski i zaraz potem zrobiło się podejrzenie cicho.

Iza już otwierała usta, by ich uprzedzić o swojej obecności, gdy nagle wybuchnęła jak wulkan Lena.

— Panie Andrzeju! — zawołała z żalem i gniewem — jeśli już tak konieczne chce się pan trochę pobawić, to proszę sobie kupić laleczkę!

— O! — odpowiedział, zdetonowany. — Przepraszam wobec tego. Myślałem...

Głos Leny dał mu dość czasu na myślenie, nim wystartował znowu ze zwykłego tonu.

— Nie! Proszę nie przepraszać. Ostatecznie, może ja także chciałabym się pobawić. Bawmy się więc! Jak się pan bawi?

— Znakomicie! — wycedził kwaśno.

Lena parsknęła śmiechem a potem rzekła poważnie i smutno:

— No widzi pan. Ja chcę się dostosować do pana towarzyskiego tonu, a pana ton zjeżdża na moją, niezupełnie towarzyską skalę. Nie rozumiemy się? Dobrze — powiem! Bawić się można jeśli się jest bardzo zimnym albo bardzo sytym. A po dejrzwam, że to nie pasuje do żadnego z nas.

— Czyżby? — zweksłował na boczny tor. — Pani przynajmniej jest zimna, a nawet lodowata! Ma pani gęsią skórkę.

— Acha — dostosowała się — właśnie! Za to głodna! Na szczęście, mamy tu biszkopty.

Umilkło, zaszeleściło, chrupnęło. Iza zdecydowała, że lepiej będzie gdy się nie zdradzi. Lenie byłoby już zbyt przykro. Zresztą pokonała impulsy dyskrecji z większą łatwością niż zamek przy kostiumie. Siedziała cicho, z nosem wtulonym między kolana, obecna i nieobecna, jak na audycji radiowej.

Tymczasem głos męski przestawiał dialog na pojednawcze tony:

— Pani Leno, co jest? Przecież wczoraj jeszcze, — pamięta pani — zrobiłem sugestię... Tak, chodzi o tę plażę, którą pani odkryła. Gdzie podobno jest tak ładnie... I pani nie czuła się obrażona, a nawet nie powiedziała „nie”. Tymczasem dziś — dziś trudno z panią nawet rozmawiać! Co się właściwie stało?

— To nie ze mną, to z panem — odrzuciła zaczepnie. — Z panem jest nie tylko trudno, ale w ogóle niemożliwe rozmawiać. Gdy tylko rozmowa zjeżdża z neutralnych terenów na duet z „my”, chowa się pan jak ślimak do skorupy. Nasz właściwy kontakt odbywa się — w przenośni i bez niej — po omacku!

Głos męski wyraził się z pewnym niesmakiem, że są sprawy których nie powinno się raczej omawiać. Głos Leny był w opozycji: Tak! Trzeba omawiać! Przede wszystkim właśnie „te” sprawy! Choćby dlatego, by je sobie w pełni uświadomić. Człowiek odczuwa potrzebę uświadomienia sobie swych emocji i sytuacji jakie stwarzają. Emocje nieświadomione są torturą. I niewolnictwem!

— Cóż tu jest do uświadomienia? — zaoponował. — Nie jesteśmy przecież dziećmi. Czyżby pani nie miała w tej dziedzinie żadnego doświadczenia?

— Dość! — krzyknęła sucho. — Niech pan raz skończy z frywolnością!

— Z frywolnością? — odpowiedział powoli, z namysłem. — Chyba nie zdaje sobie pani sprawy, jak mi do niej daleko. Nigdy w życiu nie byłem w takim rozdwojeniu sentymentalnym. Jestem w tym zgubiony jak ostatni idiota.

— A więc? — szepnęła cicho, bez tchu.

Znów się wycofał. Mówił cierpliwie i perswazyjnie, choć niezbyt przekonująco, że Lena musi zrozumieć — on jest mężczyzną a ona kobietą, do tego obdarzoną takimi kształtami i taką skórą. Nie chciałby jej urazić, lecz cała idealna strona jego uczuć jest już od dawna zaangażowana.

— To czemu pan — przerwała głupio, po pensjonarsku — czemu pan, gdy ma jakieś zmartwienie, gdy — no dobrze! — gdy pana nie rozumieją, gdy wreszcie szuka pan jakiejś ludzkiej lojalności, przyjaźni, czy ja wiem? — czemu przychodzi pan wtedy właśnie do mnie?

— Ach, to zupełnie co innego! — rzekł tonem wyższości i doświadczenia.

— Wcale nie co innego! To właśnie dowód, że na pana uczucia idealne nikt nie ma, na szczęście, monopolu!

— Pani Leno — odpowiedział niechętnie. — Niech pani mnie nie łapie za słówka. Upprzedziłem panią uczciwie. Jest mi naprawdę przykro, że pani w ten sposób stawia sprawę. Po co zresztą jeszcze o tym mówić? Wie pani, że jestem żonaty.

— Czyżby to miało oznaczać, że pana idealne uczucia konieczne potrzebują gruntu legalizacji? — podchwyciła złośliwie.

— Nie! — odrzucił z irytacją. — Znaczy to, że po prostu nie jestem do wzięcia!

— Jak to? — spytała z najwyższym zdumieniem. — Jak to? Przecież ja wcale pana nie chcę nikomu zabierać! Skąd w ogóle to panu przyszło do głowy?

Zaniemówił. Westchnął. A potem spytał łagodnie, najwyraźniej zdecydowany na cierpliwość, czego więc właściwie Lena od niego chce.

Wypaliła namiętnie, desperacko:

— Chciałabym się raz od pana odczepić!

Andrzej znów nie rozumiał. Lena znów rozumiała. Po swemu. Mówiła, że to co ją doprowadza do rozpacz w całej tej nieszczęsnej historii, to fakt, że wszystko w niej jest nijakie, niedomówione, niedowarzone, nierzeczywiste. Nic w tym nie ma pozytywnego. Nic, nic, nic! Bezkształt i chaos a w nim sturturowane nerwy. Czy on naprawdę nie może zrozumieć, że to jest nie do wytrzymania? W „niczym” jest szatańska fascynacja — ona to wiąże Lenę. Straszliwie! Nie może z tym walczyć. Nie ma od czego odejść. Nie można przecież odejść od niczego. Z niczym w ogóle nic nie można! Cóż tu zostało dane, coś wzięte. Nic, nic i nic! Natomiast w niej, w Lenie, potencjalnie jest wszystko! Można by z tego wykroić najrozmaitsze rzeczy

— wiele wspaniałych form ludzkiego współzycia. To męka nosić w sobie tyle i nie móc tego oblec w żaden kształt.

— No dobrze — głos jego zabrzmiał zupełną już dezorientacją — lecz cóż ja tutaj mogę?

— Pomóc mi — odpowiedziała cicho. — Zaplątałam się i nie mogę z tego wybrnąć. Rzeczywistość, którą w sobie noszę, nie jest tylko moja. Jest nasza. Nie mogę jej wyzwolić, nie mogę jej realizować bez pana. I tylko pan, jeden na świecie, może mi pomóc.

Westchnął bezradnie. Milczał. Znow westchnął.

— Cóż ja poradzę na to? — rzekł nareszcie niepewnym głosem. — Cóż ja mogę pani zaofiarować? Chyba że... więc... A więc — dobrze! Pani Leno, Lena! — wybierzmy się jednak na tę plażę!

— Jaką znow plażę? — tym razem nie rozumiała Lena. — Plażę? Ach tak, plażę — przestała nie rozumieć — samotną plażę, oczywiście...

Parsknęła śmiechem — śmiała się długo i nieprzyjemnie.

— W porządku — przytwardziła wreszcie. — Czemu nie? To przynajmniej jasne i pozytywne. Dobrze. Chodźmy na tę plażę. Kiedy?

— Kiedy tylko pani zechce — odpowiedział, obrażony, poprawnie, jakby chodziło o zdawkową uprzejmość.

— Teraz! — odpowiedziała bez namysłu. — Zaraz!

Zakrztusił się, zaniemówił, a potem zaprotestował z prawdziwym popłochem. — Jak to? Przecież już dochodzi jedenasta! Przecież... Ach, nie — skądże? — roześmiał się z ulgą — przecież Lena żartuje. Oczywiście! Przecież wie...

Wiedziała. A nawet i widziała.

— Niech pan spojrzy na schodki od hotelu — rzekła jak gdyby nigdy nic. — Zdaje mi się że to pani Lusia, o tam... — Zagadałem się — mruknął niespokojnie. — Sama musi nieść torbę.

— Biedactwo! — powiedziała Lena.

— Słucham? zwrócił się do niej z roztargnieniem.

— Nie. Nic. Zdaje się, że już najwyższy czas, by skończyć rozmowę.

— Lena! — zwrócił się do niej z pośpiechem, na przędcę. Więc — kiedy? Może dziś wieczorem? Jakoś postaram się upozorować.

— Jak to? — dziwiła się ironicznie. — Nie jest pan zajęty? Przecież dziś mamy zmianę programu w kinach. Czyżby pan zapomniał?

— Rzeczywiście. Zapomniał. Więc, wobec tego, jutro... Nie, może raczej pojutrze... Ach, prawda — jadą oboje na całodzienną wycieczką autem Carlosa...

Lena się znow śmiała. — Ach, proszę sobie nie sprawiać kłopotu! Oczywiście — to był żart. Ależ dał się pan nabrać!

— Pani Leno — rzucił nerwowo — co pani jest? Co panią dzisiaj ugryzło?

— Absurd! — zawołała wielkim głosem. — Ugryził mnie absurd!

— Nie rozumiem!

— Nic pan nie rozumie od samego początku! My przecież w ogóle nie rozmawiamy! Najwyżej monologujemy! Każde sobie rzepekę skrobie. Nic nigdy z tego nie wyniknie! Żadna sytuacja! Ani ludzka, ani nawet zoologiczna, jak z tą plażą! Pan nie jest człowiekiem, lecz amebą. Niech pan sobie już idzie. No! — krzyknęła gwałtownie — słyszy pan? Niech pan sobie już idzie!

Zeskoczył ze skały — pomyślała Iza — teraz pewnie się uklonił, jak to on, poprawnie, i odszedł. Naturalnie! Słyszę jego kroki na piasku. Lena, według wszelkich prawideł, powinna teraz leżeć płackiem na skale i ryczeć. No tak — naturalnie...

## VII

Spóźniły się na obiad. W jadalni nie było już nikogo, tylko cyklamenowy Pepe uklonił się z przeciwnego kąta, zapowiadając że zaraz wynosi się z kawą na werandę i że je tam zaprasza. Nad stolikami unosiło się wspomnienie po rybie *à la Valenciana* i papierosach wypalonych w ciągu ostatnich tygodni, *mozo* miał minę bardziej obrażoną niż kiedykolwiek a brudnawe story były starannie zsunięte na słońce i morze — podobno z powodu much. Panie wołały muchy wraz z morzem, *mozo* wołał same muchy — story nie zostały odsłonięte. Połknęły co Bóg dał a *mozo* przyniósł i poszły na taras.

Pepe królował nad swoją kawą w przezornej odległości od drzwi jadalni, by, jak to zaraz wyjaśnił, stworzyć dystans do kuchennych aromatów. Był w świetnym humorze i jak wachlarz rozwinął swój najnowszy repertuar spostrzeżeń i komentarzy. Iza bawiła się znakomicie, Lena manifestowała swą obecność jedynie przez sam fakt obecności. Wysłała na taras pani Lusia w białej sukni z opalonym dekoltem, obejrzała się tam i sam, posłała im spojrzenie *à la* królowa angielska i gest rączką *à la* rozkoszny trzpiot, przesunęła dłonią po zgrabnej tydce, najwidoczniej poprawiając nieistniejącą pończoszkę i oświadczyła że — ach! jak to dobrze że państwo tu są! — i że zaraz przyjdzie poplotkować, tylko załatwi jeden telefon.

Iżę ogarnął popłoch. — Jezus Maria, tak przyjemnie było pana słuchać — A więc? nic nie stoi na zawadzie, by pani przedłużyła sobie tę przyjemność — Jak to? przecież ona zaraz pana zagada.

Pepe grzechotał śmiechem — nic podobnego, to ja ją zagadam — Iza chciała się założyć, że niemożliwe — Lena uśmiechnęła się do obojga z niezmiernej odległości.

Pani Lusia nadpłynęła szczebiocząc, zaokrąglą smakowite ramiona, wysuwała stopę w wyciętych sandałkach i poruszała

różową klawiaturą wszystkich dziesięciu paluszków z pięknym *pedicure*: nie sposób było nie zauważyć, że zupełnie nie ma nagiotków. Pepe powiedział jej — tonem co nie wiadomo: podziękować czy się obrazić — że wygląda pięknie. Po prostu pięknie! Prawie jak w przedśionku zdrady małżeńskiej.

Przesłała mu spojrzenie nadzwyczaj sfinksowate i wionęła przez ząbki kokieteryjnym „moooże...” A zresztą — zdrada małżeńska? Cóż to znów takiego? Czasami nawet bywa rodzajem uprzejmości wobec partnera... — Ktorego? Kochanka? — Ach, skąd znowu! Męża... Mężowie, wiadomo, uwielbiają być zazdrośni, po prostu nie mogą bez tego żyć, upierają się przy tym z zapałem godnym lepszej sprawy, a więc...

Pepe efektywnie błysnął łysiną w holdzie dla mądrości pływającej z ust, złożonych w ściśle indywidualne, bo rozciągnięte koniuszkami ku policzkom „ciup”. Rzeczywiście! Lubią być zazdrośni, a więc czułe serce kobiety powinno o tę przyjemność dbać. Ale — uczciwie i solidnie! Bez namiastek. Bo można, co prawda, stosować z podobnym skutkiem taktikę pozornej zdrady, lecz to trywialna i kiepska moneta! Uczciwość porządnej kobiety, damy, wymaga by zazdrość miała pełne pokrycie. Drażnić męża samym tylko pozorem? Fe! to ciasne i małostkowe, można powiedzieć — drobnomieszczańskie. Po prostu — nielojalne!

Pani Lusia śmiała się swym histerycznym śmieszkiem: — ach, pan zawsze opowiada jakieś kawały!

— Nie — odpowiedział Pepe. — Nie kawały. Naprawdę nie znoszę plew.

Panie profesorze — głosik dalej lukrował na różowo niebylejaki tupet — panie profesorze, skoro już tak rozmawiamy... Czy pana żona pana zdradza?

Iza szcześnie zębami o filiżankę a filiżanką o spodeczek, lecz Pepe podjął temat z całą niefrasobliwością:

— Chce pani wiedzieć? A więc, w moim małżeństwie, jedyna strona nie mogła zdradzać, choć zdradzała, ponieważ była zaangażowana sentymentalnie. Natomiast druga zdradzała, choć nie zdradzała, ponieważ — wręcz odwrotnie. A pani?

— Ja? — odpowiedziała z ostrożnym ubolewaniem — och, ja, niestety... Cóż robić? Człowiek ma jakieś zasady... Ale — czy to doprawdy warto? Czy oni to ocenią? Czy w ogóle taki człowiek jak np. mój mąż może zrozumieć kobietę? Och, nie ma pan pojęcia, jak cięży mi czasem ten egoizm, ten brak wyobraźni i ten, ten... analfabetyzm. Gdybym panu opowiedziała szczegóły...

— Ależ tak! — Pepe syczał z uciechy — wspaniale! Prosimy o szczegóły! Jak najwięcej szczegółów!

Iza, rozpaczliwie i bezskutecznie, szukała w opustoszałej głowie jakiegoś dowcipu, który by mógł sprowadzić rozmowę na inne tory. — Boże drogi, co by tu powiedzieć, z czym by się tu odezwać?... — Odezwała się Lena. — Jej zrównoważony ton zabrzmiał na ogólnym tle rozmowy jak gaffa.

— Pani Lusiu — powiedziała po prostu — po co pani to wszystko plecie? Wie pani przecież doskonale, że mąż jest bardzo do pani przywiązany.

— Przywiązany? — westchnęła pani Lusia z męczeńską prawie że miną. — Przywiązany? On mnie uwielbia! Niestety! To właśnie jest to najgorsze. Czasem — daję słowo — gorąco pragnę, modłę się, tak, modłę, by się kimś nareszcie zainteresował i dał mi święty spokój!

Lena przypomniała sobie nagle, że ma załatwić jeden telefon. Iza też właściwie miała już tego dosyć. Pani Lusia od problemów małżeńskich przeskoczyła do kosmetyków. — Zna pani tę kredkę? Idealny odcień dla opalonych blondynek o delikatnej cerze. Pani bym nie polecała... O, widzi pani, — wskazała paluszkami na okładkę czasopisma leżącego obok na stoliku — właśnie ta. Ładna reklama, prawda?

Okładka wieściła złotowłosym uśmiechem bóstwa w białym „bikini”, że najnowsza kredka do ust Heleny Rubinstein, w rewelacyjnym tonie „pagano”, otworzy przed wszystkimi opalonymi blondynkami świata wrota do Krainy Wiecznej Młodości. Do tego — bez fatygi i za umiarkowanym kosztem.

Pepe uznał również, że reklama jest udana. I wielemówiaca. Czy też pani Lusia zdaje sobie sprawę, o czym że to ona wiele mówi?

Pani Lusia zdawała sobie sprawę — też pytanie! Pepe pozwalał sobie w to wątpić. Osobiście, uważał że reklama nie tylko mówi, ale wręcz krzyczy o jednej bardzo zabawnej historii. Jest to prawdziwa historia, — w pewnym sensie nawet historia postępu całej ludzkości. Bo proszę ileż to trzeba było tarapatów, by kredka „pagano” znalazła się na okładce pisma i na wargach pani Lusi! Musiało się urodzić tylu pomysłowych ludzi... — Na przykład? — A choćby i Gutenberg. — Jakiś Żyd? — zapytała pani Lusia. — A kto go tam wie! — odparł z hucznym śmiechem. — Zresztą, w tym biznesie maczali palce i inni Żydzi, na przykład Egipcjanie. Bo wchodziły w grę papiirusy — jak pani Lusi wiadomo, dopiero wyższa cywilizacja zaczęła wyrabiać czasopisma ze szmat i odwrotnie. Cała historia barwników to też m.in. historia aryjsko podejrzania... Ale, ale! Obok ludzi pomysłowych, wchodzi w grę również i całe pokolenia ludzi niepomysłowych i niekoniecznie Żydów, choć także nie z towarzystwa. Np. — robociarzy. Bo cięto lasy i cywilizowano je na papkę w różnych zakładach przemysłowych, proceder, co trawił bodajże tkanek nie tylko roślinną... O jej, jej! Ileż w tym było talentu i woli, szczęścia i nędzy, życia i śmierci. A wszystko to, po co? No, po co? A po to, by pani Lusia — najmodniej i najwygodniej — mogła postawić kreskę w rewelacyjnej czerwieni „pagano” na dostojęństwie przybliżającej się starości.

Pani Lusia otworzyła usta, zamknęła je, roześmiała się cierpko i stwierdziła, że Pepe ma dziwne pomysły, a poza tym



— nno, nno, nno... Potem przypomniała sobie, że ma załatwić jeden telefon i odeszła majestatycznym krokiem.

Pepe, z uciechy, rozwichrzył czuprynę na swej łysej głowie, Iza dławiała się ze śmiechu, lecz nagle przypomniała jej się zamknięta twarz Leny i śmiech odleciał. Pepe stwierdził, że uwielbia towarzystwo tej kobiety. O ile nie przeciąga się ponad 15 minut, rzecz prosta.

— Leny? — spytała ze zdziwieniem?

— Nie, Skądże! Tego aniołka z pazurkami. Lena? — zamyslił się — Lena nie mieści się w kwadransie. Jest jednak coś, co psuje mi szyki...

— Co? — zapytała ciekawie.

Poruszył się. Westchnął: — Mam do niej sentyment. Obawiam się nawet czasami, że jest mi bliska.

— No więc? Więc chyba tym bardziej...

— Wcale nie tym bardziej. Chciałem powiedzieć, że udaje mi się jedynie z pewnym wysiłkiem przejść ponad różnymi tam jej sprawami, nie przejmować się nimi na serio — jednym słowem, nie tracić przez nią poczucia humoru i wewnętrznego komfortu.

— Widzę, że pan sobie ten komfort ceni — rzekła Iza.

— Tak jest. Niech pani na mnie tak groźnie nie typie! Po prostu nie mam zamiaru komplikować sobie resztek życia kłopotami innych. To już jest poza mną.

— Gdyby jednak — chciała postawić na swoim Iza — gdyby jednak Lena znalazła się w jakimś naprawdę trudnym impasie...

— Niech pani da spokój — odburknął prawie że niegrzecznie. — Nikt mnie już na to nie nabierze!

Otwarty się drzwi i znów wkroczyła pani Lusia, z torbką z rafii przez ramię. Nie patrząc na nich, skrzyła na prawo, ku ścieżce. Jej głowa znikła w szpalerze tamaryszków.

— O! — rzekła Iza, zaintrygowana. — Samotny spacer? Nie posądzałam jej o takie gusta.

Pokiwał głową z ubolewaniem:

— Pani Izo, jaka pani, za przeproszeniem, głupia. Od skał prowadzą schodki na promenadę. A tam przecież na nią czeka, że swym Cadillac'em, ten przystojny bałwan.

— Kto taki?

— Carlos. Zabójczy brunet od zahukanej Beatrycze.

— Och — szepnęła — pan myśli?...

— Nic nie myślę. — Nie zaryzykowałbym nawet na pewno twierdzenia, że nasza uroczą pani Lusią się puszcza. Jest bardzo kokieteryjna — nie każdy temperament może sobie na to pozwolić. Więc — jeśli nawet, to raczej chyba z „konieczności zewnętrznych”... Tym gorzej, co prawda.

— A ten pan?

— Ten pan używa najlepszej lawendy angielskiej, jeździ naj-

lepszym wozem świata i posiada, obok zegarka z brylantami, wcale niezłą dozę brutalnego okrucieństwa. Nie dziwny się więc Biedactwo jest za tym wszystkim stęsknione...

## VIII

Błękit i biel doszły do zenitu i znieruchomiały w zdumiewającym fakcie morskiego pleneru. Nie było wody ani nieba, tylko jeden ogromny rezerwuuar czystej, nieomal że abstrakcyjnej przestrzeni, której przejrzystość, zgęszczona w dwa szerokie i szeroko rozwarłe łuki barwy, zdawała się jedyną rzeczą konkretną i wyczuwalną wszystkimi zmysłami. Świat był tworem wspaniałego kaprysu — śnieżne skrzydła mew i, fioletowe, ich cienia, żeglowały na jego oddechu.

Krzesełko Izy było obłokiem zawieszonym w szafirowej bani, kołysały je zgodnie fale żywiołowej radości i błógiego rozleniwienia. Nie myślała o niczym — o tym tylko chyba, że nie myśli. Lecz właśnie myślała o tym i harmonia rzeczy jedynej i nieokreślonej rozchwiała się na arytmie ruchu fal i lotu ptaków, świst opon po promenadzie i łopot płótna na wietrze. Potem już nie było odwrotu: musiała myśleć i o innych drobnych, dokuczliwych sprawach — o idiotycznym przedpołudniu i spłakanej twarzy Leny przede wszystkim.

Z Leną niewiele można się było wtedy dogadać. Była straszliwie zażenowana, a jednocześnie na swój sposób rada: przynajmniej przed Izą nie trzeba już udawać! Rozcieriała łzy po twarzy, czyniąc bohaterские wysiłki by się uśmiechnąć — no i cóż Iza na to jedyne w swoim rodzaju kolokwium sentymentalne? Wreszcie sformułowała kilka nieuprzejmych epitetów pod własnym adresem i poszła się kąpać.

Popłynęła daleko — zbyt daleko: Izie zabrakło odwagi by śledzić za nią wzrokiem. Zeskoczyła więc ze skały — plaża roiała się od ludzi — szła po gorącym piasku wśród brązowych ciał i kolorowych kostiumów...

Szła po gorącym piasku wśród brązowych ciał i kolorowych kostiumów, w których ciżbie gubiła się po trochu jej troska o Lenę. Wyłowiała z ogólnej pstrokacizny parę młodą i urodziwą; leżeli na piasku jak na karcie do brydża: stopy i głowa, głowa i stopy — on położył ciemną rękę na jej jaśniejszym udzie; ładnie — z ufnością i spokojem. Jakaś wysmukła pani w średnim wieku, lecz z zupełnie białymi włosami, wyciągała na czernym ręczniku harmonijne kształty opięte czarnym trykotem, jakaś pocziwie opiekła blondynka wychylała się cielistym biustem z farbkowego kostiumu.

— Co robisz, kochanie? — spytała śliczną, maleńką kobietkę z kokieteryjnym koczkim na czteroletniej główce.

Podniosła znad dołka w piasku skupioną twarzyczkę i rączkę z wiaderkiem, na którym roilo się od żyraf, bananów i słoni:

— Nie widzisz? Przelewam morze!

Iza przeszła tuż obok Blondyna z żoną; leżeli pod złotym parasolem. Ona była w „bikini” lila i spoglądała na resztę plażującego świata z góry, choć głowa jej znajdowała się właśnie na poziomie jego stóp. — Niechże pani się przysiadzie, pani Izo! — zawołała — tęsknię za czymś towarzystwem!

— Dziękuję — odpowiedziała Iza — szukam kogoś. Slicznie mają państwo parasol.

— Och, to nie nasz, to Carlosa — sprostowała. — Mojego męża naturalnie nie stać na taki. Jak się pani tu podoba? Nudno — prawda?

U brzegu plaży, w cieniu zbocza, siedział Pepe i czytał gazetę.

— O! — ucieszyła się Iza — a jednak pan tu zawędrował!

Tak jest — uśmiechnął się szeroko — przesuwam się wraz z cieniem. Ja zawsze tak — od skał ku hotelowi — wygodnie jak na czarnoksiężkim dywanie. Punkt o pierwszej zajadę, nie fatyguję się, do jadalni. A gdzież to pani Lena?

— Kąpie się jak zwykle — odpowiedziała, wyciągając się na piasku, tydkami ku słońcu a zmarszczonym nosem do Pepe. — Lena w poprzednim wcieleniu była foką.

Mrugnęli do siebie, radzi nawzajem z towarzystwa. Pepe odłożył gazetę, podkulił skrzyżowane kolana, uciekając stopami od słońca i nagle, bez żadnych wstępów, zapytał Izę, czy nie uważa że Lenę coś gryzie.

— Tak — odpowiedziała. — Gryzie ją absurd.

Pokiwał głową ze zrozumieniem. Oczywiście! Zawsze najbardziej dokuczają rzeczy nieodwołalne. Na przykład śmierć. Lub absurd.

— Czyżby był aż tak nieodwołalny?

Pepe opiniował że tak. Jeśli chodzi o człowieka, naturalnie. Człowiek — tu podniósł palce w żartobliwym „ex-cataedra” — to istota absurdalna! Zresztą to określenie jest tylko dalszą konsekwencją definicji uznającej go za istotę logiczną. Bo absurd jest właśnie produktem ubocznym — może i nie tak znowu ubocznym — przy fabrykacji myśli logicznej. Powstaje, fatalnie, w kotle w którym się pitraszą różne aspekty człowieczeństwa: te które są mu wspólne z naturą *en général* i te które stanowią jego wyłączną specjalność. Człowiek jest nierozdzielny z logiką, więc człowiek jest nierozdzielny z absurdem. Jasne?

— Szalenie! — śmiała się Iza — pan mówi samymi paradoksami.

— A jakim że językiem mam mówić o istocie nieuleczalnie dotkniętej przez absurd? Paradoks to przecież tylko właściwa forma jego ekspresji werbalnej.

Iza stwierdziła, że rozmowie grozi udar słoneczny. Bo i gdzież zmieścić, w tym aliażu logiki i absurdu, pojęcie zdrowego rozsądku? Ten przecież także czasem zdarza się ludziom.

— A po co go tam pchać? — zdziwił się Pepe. — Zdrowy rozsądek to taka sobie ludzka poprawka czy dodatek do instynktu samozachowawczego. Czyż nie dba o jego właśnie interesy? Czyż, koniec końców, nie słucha jego właśnie dyrektyw? Natomiast z „czystą” logiką, lub, jeśli Iza woli, — ze spekulacją filozoficzną i pseudo — zupełnie inna historia. Najpierw zadeklarowała że jest światłem, potem, że krąg tego światła jest nader ograniczony, a mimo to leci dalej — na oślep i czort wie dokąd. Oraz przejawia wyraźnie inklinacje samobójcze. Dość spojrzeć na jej akrobacje i skutki oczyma — a właśnie zdrowego rozsądku!

Iza w dalszym ciągu miała zastrzeżenia, choć nie nazbyt jasne. Lecz było gorąco i wygodnie — zresztą przyszła Lena. Dzwoniła wszystkimi zębami i otrząsała się jak mokry pies; Pepe stwierdził z uznaniem, że jej skóra ma niezwykle awantażowny odcień fioleto. Wzgardziła zaofiarowanym ręcznikiem i wyciągnęła się jak długa na piasku — Pepe gadał dalej. Uważał, że Lena wkłada w funkcję opalania wiele indywidualizmu. Jest to opalanie pogańskie, dionizyjsko dynamiczne, choć odbywa się bez ruchu. Rzeczywiście, oddawała się słońcu z łakostwem i zachwytem, chłoneła je każdą komórką swej gładkiej miedzianej skóry. Nie zdradzała ni śladu zdenerwowania, ni cienia emocji, jakby je zmyła bez reszty słona morską wodą. Drgnęła dopiero wtedy gdy padł na nią jakiś cień — to Carlos przykucnął obok.

Wyglądał wspaniale: tors i uda z polerowanego *quebracho*, pod skórą ramienia leniwa gra bicepsów, a na piersi pokrytej gęstym i ciemnym zarostem — naiwny medalik ze złotym łańcuszkiem.

Gdyby nie ten medalik — pomyślała Iza — wyglądałby jak grecki gladiator. Z nim — wygląda jak barbarzyńca...

Otaksował ją wzrokiem i, najwyraźniej niezadowolony z przeglądu, zwrócił się ku Lenie. Usiadła i z irytacją nakryła się ręcznikiem.

— A gdzież to Anita? — spytała nieprzyjaźnie.

Okazało się, że Anita zdecydowała się nagle na powrót do Buenos Aires — właśnie ją odwiózł na stację swoim Cadillacem. Telegram. Jakaś rodzinna *fiesta*, czy coś w tym rodzaju.

— Może to i lepiej — mruknął Pepe — zdawało mi się ostatnio że klimat jej nie służy.

Carlos zaprezentował olśniewający garnitur zębów:

— Istotnie, bardzo była ostatnio, nerwowa...

Mrugnął do Pepe porozumiewawczo, po męsku. Pepe się skrzywił.

— Podziwiałam pana parasol — wyrwała się Iza, ponieważ towarzystwo Carlosa zmuszało ją do mówienia byle czego. — Sądząc po kolorze skóry, nie nadużywa go pan.

— Śmiał się całym gardłem. Nie — to prawda! On służy, wyłącznie i specjalnie, do przygarniania dam. Czasem nawet

— zrobił gest ręką — w towarzystwie mężów. O proszę — właśnie...

Lena zauważyła że i on mógłby co prawda dotrzymać towarzystwa swym gościom.

— Niech poczeka — odrzekł. — To jej dobrze zrobi.

Poszedł jednak.

Słońce dogryzało resztki cienia i Pepe zabierał się do dalszej przeprowadzki, mrucząc ironicznie, że założyłby się...

— O co? — chciała wiedzieć Iza.

Ale on już się nie zakładał, bo właśnie wygrał zakład: pan Andrzej wyłonił się spod parasola, rozejrzał po plaży i podszedł do nich. Lena leżała z zamkniętymi oczami, lecz Iza przysięgłaby, że widziała go jak nadchodził: cała jej postać buntowała się i jednocześnie brała w ryzy. Usiadł dosłownie w tym samym miejscu, które przed chwilą opuścił Carlos, nie wypełniając jakoś luki w przestrzeni pozostawionej przez tamtego. Był mniejszy, szczuplejszy, mniej intensywny, choć równie lub bardziej jeszcze harmonijny w kształtach. Rzucił okiem za oddalającym się Pepe, potem na Lenę — powiedział coś, niepewnie i żartobliwie — Lena nie odpowiedziała — przesypywał piasek z dłoni do dłoni i patrzył melancholijnie na tę domorosłą klepsydrę.

— Cóż? Znudził się pan parasolem? — zagała Iza.

— Nie. Jego właścicielem — odparł niechętnie. — Carlos mnie irytuje. Natomiast Lusie ma do niego cierpliwość. Niech się więc męczy z nim sama. Ona sama zresztą wyprawiła mnie tu do pań, z czego, oczywiście, skwapliwie skorzystałem. No cóż pani Leno? Jak tam humor?

Lena obróciła się ku jego słowom sztywno, z przymusem, lecz oto nagle twarz jej się rozjaśniła, jakby dopiero teraz padło na nią słońce. Gestem delikatnym i skupionym, z uśmiechem bolesnym od szczęścia, przesunęła dłonią po torsie Blondyna.

— Adamie — powiedziała żartobliwie — czy naprawdę brak ci zebra?

— Tak — odpowiedział natychmiast. — Tego właśnie, z którego ty jesteś zrobiona!

Pochyliła się ku jego policzkowi i lekko, macierzyńsko musnęła go wargami. Jej długie, piękne ciało wyciągnęło się obok, ukojone, a ciemna głowa spoczęła we wnęce jego ramienia; zdawało się nie do wiary, że kiedykolwiek mogła spoczywać gdzie indziej. Usnęła jak dziecko, co zapomniało o strachach. On leżał, nieruchomy a jednak wibrujący życiem, jak plama słońca na trawie, i patrzył w niebo.

Iza już wiedziała. Odwróciła głowę i wzrok jej spotkał się z innym wzrokiem, roztargnionym i nieobecny z czarnych obwódok. Siedział tuż obok na skale, fantastyczny i prawdziwy, prowizoryczny i od zawsze, jakby przysiadł na chwilę a chwila zamieniła się w wieczność.

— Ernesto — powiedziała — jesteś okropnie śmieszny. Pa-

tetycznie śmieszny. Wyglądasz jak święty hinduski. Jak ty to robisz?

Odpowiedział:

— Jakkolwiek.

Teraz stał przy niej — zawsze tak stał — spoglądając na nią z wielkiej wysokości. Skinęła głową że tak, ich stopy podnosiły się i opadały rytmicznie, a płowa taśma plaży cofała powoli, unosząc ze sobą wstecz Lenę i Andrzeja. Plaża była leniwa i od niechcenia, w jaskrawych plamach odzieży i, cynamonowych, ciał — jak na obrazie Gauguin'a. Iza patrzyła szeroko otwartymi oczyma na jej barwną płaskość: nigdy nie istniał trzeci wymiar a w nim niepokojąca obietnica dalszych. Było to wspaniałe. Obojętne i wypoczynkowe.

Gauguin zredukował się futurystycznie. Widziała: prostokąt cynobru a na nim kilka wydłużonych owali w czerni, srebrze i mlecznym brązie — to zgrabna, siwa pani z modną undulacją; mały, śniady wielokąt na jaśniejszym tle — dłoń to młodego człowieka na udzie dziewczyny; szeroki trapez *quebracho* obok dwóch krządków i trójkąta lila — plecy Carlosa i pani Lusie w „bikini”. Tylko dziewczynka z wiaderkiem siedziała, nad swym dołkiem w piasku, rezolutnie pyzata i rzeczywista.

— Co ty robisz, kochanie? — spytała Iza.

— Nie widzisz? — odrzekła. — Przelewam morze.

Podniosła czekoladową łapkę, w wałeczkach, dołeczkach, z różowymi paznokietkami i czarną muszką nad krągłym napiętkiem, i zredukowany Gauguin zróżniczkował się w jarmark komplikowanych linii i kolorów, w ruch, zgiełk i harmider. Pani Lusie, jak nakręcona sprężyną, przeciągnęła się pod złotym parasolem, u muskularnych pleców Carlosa wyrosło muskularne ramię i dłoń uwieńczona bajecznym zegarkiem zawędrowała na apetyczne wypukłości między krządkami a trójkątem. Rozbrzmiał drażniący śmiech — konstelacja lila przybrała pozycję pionową, odbiegła kilka kroków, prowokująca, — zerwał się, przybliżył niecierpliwie — ona się uchyliła, rozkołysała udami i biodrami, roztrzepotała wachlarzykami rzęs, dłoni i stóp. Posuwali się po plaży, jak w tangu po parkiecie, w głąb, ku Lenie; tam dopadł jej i chwycił za ramiona, mocno, brutalnie, samczo. Wtedy poddała się i, ze ślepą błogością na twarzy bez rysów i spojrzenia, oparła poufale dłoń na przegubie jego dłoni. Tam właśnie, gdzie ją przecinała złota bransoletka.

Oczy Andrzeja nie patrzyły już w niebo — były utkwione w żonie, bolesne i cierpliwe jak oczy bitego wyzła, Carlos wędrował dłońmi po co ciekawszych kondygnacjach jej kobiecości, oczy Blondyna obudziły się, stwardniały, zerwał się, podszedł, wyszarpnął ją ku sobie i zaczął okładać po gładkich plecach i apetycznych pośladkach z ciężką, cierpliwą pasją. Carlos skurczył się jak przekłuty balonik, odwrócił i zrejterował pod parasol. Blondyn popchnął ją jak apasz z podrzędnego kabaretu — upadła ciężko, bez wdzięku — spojrzał na nią wściekle i zawró-

cił ku Lenie. Lecz nie położył jej głowy na swym ramieniu — powrót był ostentacją, nie powrotem.

Pani Lusia otarła piasek z twarzy oszołomionym gestem, podniosła się, podeszła ku niemu miękko i przytulnie, łąsiła się mu z czujną, kocią zalotnością. Lena poruszyła się we śnie — tamta spojrziała na nią z furją, zerwała się, ciągnąc go z całej siły za rękę, ku sobie, — wstał potulnie, dał się prowadzić. Podała mu do ust posiniaczone ramię — zbladł, zmiękł, zeszmaciał, osunął się do jej sandałków, liczył ustami siniaki, żebrał o przebaczenie.

Wtedy całą jej sylwetkę zmroził grymas pogardy. Odtrąciła go z irytacją i odeszła, kołysząc obraźliwie biodrami. On siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, jego plecy drżały konwulsyjnie.

— Nie! — krzyknęła Iza. — Nie chcę!

Podbiegła ku Lenie — Lena jęczała przez sen — uklękła przy niej — Lena się obudziła. Ścierała z oczu koszmara i przebieżała je w uśmiech:

— A to dopiero! Usnęłam! — Od złotego parasola szedł pan Andrzej w towarzystwie żony i Carlosa. Gawędzili sobie o czymś.

Iza podbiegła ku morzu, wynurzyła się poza falą i po raz pierwszy w życiu popłynęła w głąb.

## IX

„Utonęła pani na dobre” powiedział głos i Iza wyszarpnęła się z gwałtownej wody i ze snu. Pepe stał obok, przeproszał — za nic w świecie nie chciał jej przerazić.

— Skąd mogłem wiedzieć, że z pani taki śpioch? Myślałem, że utonęła pani w marzeniach...

Powietrze nasycone miedzią leżało zieloną patyną na morzu i brunatną na głazach; jak olbrzymie kijanki ciągnęły za sobą długie i płaskie ogony cienia.

— Już wieczór — szepnęła Iza. — Warto by się przejść. Zaraz tu ściągnę Lenę.

Lena się gdzieś zawieruszyła, więc poszli we dwoje, na spacer po mniejszej promenadzie, skleconej malowniczo ze skał, betonowych schodków i geranium w kwiecie. Morze było całe z zielonego marmuru i jak marmur miażdżyło się o głazy na ostry, biały kurz. Szli pod prąd kolorowej fali wracającej z dalszych plaż, mijali ich gromadki ludzi o twarzach i ramionach z czerwonego mosiądzu, ich bluzki i szorty płonęły intensywnie szafirem, szmaragdem i szafranem.

Na szczycie którychś tam z kolei schodków ukazał się pan Andrzej w bieli; cała jego postać promieniowała świetlistą aureolą. Zgasił ją, schodząc ku nim — zatrzymali się na papierosa — spytał czy nie wiedzą co się dzieje z Leną; szuka jej już od godziny.

Nie, nie widzieli jej, ani — tu Izę zaswędził ozorek — ani pani Lusi.

— Lusie jest w mieście — odpowiedział — nie przypuszczam by już wróciła.

Spojrzał jednak na zegarek, ukłonił się i poszedł w swoją stronę. Po chwili zawrócili i oni.

— Zabawny człowiek — skonstatował Pepe. — Jeden z tych co im wtedy dobrze, gdy im źle. Ponieważ jednak wstyd mu się do tego, sobie, przyznać, woli przemałowywać rzeczywistość, tak by wszystko wychodziło na odwrót. To jest by mu pasowało. Na przykład — z tą żoną. Funduje jej aureolę nie gorszą niż ta, którą przed chwilą zakpił sobie z niego zachód. Sto pocięch! — zagrzechotał po swojemu. — Przepadam oglądać jak jej sypie groszek i woła: „Dyż, dyż!” podczas gdy ona aż prosi się o szpicrutę!

— On się jej boi...

— Jeszcze jak! Natomiast Leny się wstydzi. A wstyd jest mniej wygodny niż strach.

— Lena mówi — rzekła Iza z namysłem — że on ją kocha za swoją własną dobroć, tolerancję i czułość. Twierdzi, że zawsze kocha się ludzi bardziej za swój własny w nich wkład, niż za nich samych...

— Niektórzy jednak potrzebują pokrycia na własne uczucia w zaletach ich obiektu. W braku laku — choćby i w urojach.

Iza westchnęła, że strasznie to wszystko jest pogmatwane i w ogóle — sam Freud by osiwił. Andrzej jest dla niej niezrozumiały. Zupełnie! Gdyby przynajmniej mogła odkryć jakieś wspólne źródło z którego wybucha ta fontanna emocjonalnych sprzeczności... O ile takowe istnieje.

— Istnieje — rzekł Pepe. — Oczywiście! W nogach.

— Co takiego? W jakich znów nogach?

— W ładnych. I jak przypuszczam, nieczęsto udzielanych. W jej nogach. Nie widzi pani, że ona mu nimi miesza w głowie jak jej się żywnie podoba?

Iza potknęła się na schodku.

— Zdaje mi się, że pan zanadto się już rozpędził — rzekła z przykrością. — Tak czy owak — zawsze to jego żona. Zdajemy się o tym zapominać.

— Ocho! — podchwycił. — On by powiedział właśnie tak samo. To „człowiek zasad”, aczkolwiek dość mętnych. Być może, że rozumuje w ten sposób: kobieta godna miłości powinna posiadać takie to a takie zalety; przyzwoity mężczyzna powinien kochać własną żonę; ja kocham swoją, ergo — ona posiada te zalety.

— Nie trzeba się z tego śmiać — zaoponowała Iza. — W tym jest lojalność wobec człowieka i wobec prawa. Czyli że — to jest moralne.

— O ile moralność polega na odwracaniu kota ogonem... Nie, proszę pani. To jest niemoralne.

— Również i sublimacja uczuć będzie, według pana, czymś w tym samym stylu...

— No, nie. Niezupełnie! To można robić w rozmaity sposób. Z zamkniętymi oczami — jak Andrzej, lub z otwartymi — jak Lena.

— A cóż tu Lena ma do roboty? — spytała ostrożnie.

Spojrzał na nią badawczo — zrozumiała: wie, i odrzekła:

— Wiem. Niech pan mówi dalej.

— Dla Leny — ciągnął — sublimacja uczuć to kwestia bynajmniej nie frywolna. Ona nie miesza duszy z nogami, a wierzy, że dusza może im dać radę, aczkolwiek nie łatwo. Ma właśnie pewne kłopoty à propos i upokarza ją głęboko fakt, że tam gdzie pragnie by ktoś wspomógł jej duszę, ten ktoś podszczypuje ją po łydkach. Poza tym — sama pani powiedziała — gnębi ją absurd. Ale to już tylko przeniesienie własnego problemu na szersze tereny.

Weszli do pensjonatu.

— *Senora* — rzekł *mozo*, ocykając się znad gazety — pani Lena właśnie pytała o panią.

— Acha! Już idę! — mruknęła, wbiegając na schody.

## X

Potknęła się w drzwiach o otwartą walizkę Leny i, zanim zdążyła się zdziwić, zdziwiła się znacznie bardziej czymś innym: Na łóżku, wśród nieładnie bielizny i sukienek, najwyraźniej przygotowanych do spakowania, siedziała Anita.

— Anita — zdecydowała Lena od otwartych drzwi szafy — będziemy rozmawiać dalej! Chcę żeby Iza wiedziała!

Zdziwiła się obojętnie: — Czemuż by nie? Ona sama chce także by Iza — by wszyscy wreszcie wiedzieli, że... — Głos jej potoczył się ciemną, namiętą falą; wyskakiwały ponad nią, jak rozjuszone delfiny, słowa, które byłyby zdecydowanie wulgarnie, gdyby język i pasja nie użyczały im swego patosu.

— Carlos — wyjaśniła Lena — pokłócił się dziś rano z Anitą, odstawił ją na dworzec i załadował w pociąg. Lecz ona wysiadła na pierwszej stacji, złapała autobus z powrotem i...

— I popsuję mu zabawę! I będzie zabawa! — dokończyła mściwie.

Znów siedziała, roślinnie nieruchoma, nieprzenikniona i obojętna — mściwie bóstwo indiańskie, co wynurzyło się z fali hiszpańskiego baroku. Była to nowa Anita — niezaprzeczenie autentyczna — swoja i swojej krwi, a nie kaprysów Carlosa ni po cudziemu niekompetentnych komentarzy Leny. Teraz dopiero objawił się Izie egzotyzm tej twarzy, skłóconej z tandetnym tłem pokoju jak fragment antycznego fresku — skośny, zarys jej kości policzkowych i jej podłużne oczy bez źrenicy, jak czarne, matowe kasztany z rozpekniętej lupiny.

— Ładna zabawa! — krzyknęła z oburzeniem Lena. — Ona chce po prostu podpatrzeć ich w jakiejś bardziej rozflirtowanej sytuacji i naprowadzić Andrzeja!

Iza zachnęła się z niechęcią, lecz refleksja wstrzymała ją w pół gestu.

— No cóż? — rzekła, obserwując spod oka Lenę. — Rozważmy to spokojnie. Któż na tym straci? Carlos? Ależ!... Może raczej — pani Lusía...

— Co tam ona! — w oczach Leny paliły się łyzy gniewu i żalu — Andrzej! Czy ty sobie zdajesz sprawę, co by to było dla niego? Ten człowiek przecież świata nie widzi poza nią! I — sama sytuacja! Wielki Boże! Cóż za trywialność!

— Och! — zauważyła Anita — jej się też należy. A on? Cóż on mnie obchodzi? Zresztą — skrzywiła się pogardliwie — na pewno jej nie zabije. — *Gringo!*

— No dobrze, no dobrze — zainteresowała Iza jak najbardziej ugodowo. — Czy uświadamia jednak sobie pani, że po tym skandalu straci go już na dobre? Z całą pewnością!

Anita zaprzeczyła palcem z uśmiechem wyższego wtajemniczenia: — Nie. Nie o to zresztą chodzi. Nie chcę go już więcej! Lena znów była panią siebie.

— Anita — zwróciła się do niej autorytatywnie — jeśli się zaraz nie wycofasz z tej całej awantury — powiem mu! To znaczy, w każdym razie powiem mu, że tu jesteś, jeśli jednak będziesz się upierała dalej przy swoim — uprzedzę go co do reszty. A to może mieć nieprzyjemne konsekwencje dla ciebie. On jest brutalny! Wiesz.

Anita spojrzała na nią z niedowierzaniem:

— Powiesz?

— Tak. Powiem. Jemu — albo jej.

— Nie, — zaprzeczyła spokojnie — jej nie powiesz. O takich rzeczach można powiedzieć mężczyźnie, ale nie drugiej kobiecie. Zwłaszcza gdy się jej nie znosi. A ty przecież...

— Przestań! — syknęła Lena — Powiem — jemu lub jej — wszystko mi jedno! I tak potem wyjeżdżam!

Nachyliła się w głąb szafy.

Iza patrzyła na nią z bezmiernym współczuciem. Zrozumiała nareszcie: Lena się pakowała już nie pierwszy raz. Być może — każdego wieczoru...

— Czemu nie chcesz uprzedzić o tym Andresa? — spytała nagle Anita.

— Bo nie! — przecięła tonem wykluczającym wszelką dyskusję.

Anita wstała i starannie wygładziła sukienkę.

— Dobrze! — rzekła miękko. — Masz rację. Nie zrobię tego. Ale i nie wyjadę. Tu mi się bardzo podoba. Będę się trzymać was, wtedy Carlos nie odważy się wobec mnie na żadną awanturę. I tym bardziej będzie pękał ze złości. Niech pęka! — *Que reviente!* — wybuchnęła z nowym przypływem pasji.

Lena patrzyła jej w oczy surowo i nieufnie.

— Si, Lena, si! — uśmiechnęła się. Możesz być spokojna. Podeszła do lusterka — długo poprawiała przed nim fryzurę i kolczyki. Czy Lena nie pożyczylaby jej do kolacji swojej bransoletki? Nie, nie tej! — tamtej z turkusami. Obróciła ją z upodobaniem w cienkich, giętkich palcach. Wsunęła na ramię. Wyszła.

Lena opadła na łóżko, zasepiona :

— Nie ufam jej ni na jotę! — Trzeba będzie pilnować.

Iza nie wytrzymała. — Czy to jednak nie za wiele? W ogóle ten cały Andrzej, etcetera... Najwyższy czas, by Lena się zdecydowała! Albo chce go dla siebie, albo zależy jej na podtrzymaniu jego małżeńskich iluzji. Albo — albo! Chciała przecieć, by się „ocknął”! I właśnie nadarza się ku temu okazja!

Nie. Lena nie chciała go dla siebie. Nie chciała — tak. W ten sposób...

— Czy ty nie rozumiesz, że mnie w gruncie rzeczy szalenie wkurza jego stosunek do niej? Przecież to w nim najlepsze.

— Co ty bredzisz? — wybąkała Iza. Lena zgarbiła się.

— Tak, tak, masz rację, ja wiem. To w nim właśnie najgorsze! Ja wiem — nie ma w nim ni krzty godności. Czasem myślę, że on tego wszystkiego nie widzi — jeśli nie widzi! — jedynie dlatego że nie chce widzieć. Otepia się celowo, nabiera samego siebie — cóż za nędza!

— Więc?

— Iza — szepnęła błagalnie — nie zależy mi wcale tak bardzo na tym, by go mieć. Zależy mi na tym, żeby on sam siebie miał. Żeby się przewyciężył! Ale — sam! Sam! — nie na skutek tego rodzaju wstrętnych operacji!

— Ależ, Lena! Ty się przecieć boisz, że i ta operacja nie odniosłaby skutku!

— Daj mi spokój! — krzyknęła histerycznie. — Mam już tego po dziurki w nosie! Zresztą — wyjeżdżam! — Nie, co ja mówię? To znów niemożliwe. Ta Anita jest zdolna...

— Dostyc! — przecięła sucho Iza. — Najlepiej poszukam zaraz Carlosa i sama mu wszystko powiem. Niech się to raz skończy!

## XI

Na dole *mozo* nakrywał do kolacji, a Pepe z Andrzejem grali w szachy na boczkach przy barze.

Iza wyraziła swe zdziwienie:

— Zdawało mi się, że wybierali się dziś państwo do kina?

— Lusja zmieniła zamiar — odpowiedział. — Czuje się niezbyt dobrze, musiała wziąć swój zastrzyk. Biedaczka, ona zawsze wojuje ze zdrowiem. I właśnie Carlos zaofiarował się odwiedzić ją do miasta, do lekarza. Powinni już być.

Iza po schodkach zanurzonych w mroku wybiegła na promenadę: auto Carlosa stało w pierwszej bocznej uliczce. Puste.

Hotel mrugał żarówką na tarasie, Pepe i Andrzej grali dalej, na galerijce u drzwi pokoju Leny stała Anita oparta o poręcz: wypatrywała coś z uwagą na skałach pod hotelem. Spytała Izy czy dobrze wygląda.

Na dźwięk jej głosu wyszła z pokoju Lena.

— Co tu robisz, Anita?

— Czekam na was — odwróciła się łagodnie. Była w strojnnej, mocno dekoltowanej sukience i wyglądała doskonale. — A wy? Nie przebieracie się do kolacji? Czy mogę usiąść razem z wami?

— Naturalnie — odrzekła prędko Lena. — To się rozumie samo przez się. Ja też zaraz się przebiorę, tylko przyniosę sobie z baru papierosy. Poczekajcie tu na mnie.

Iza skierowała się za nią.

— Zostań — szepnęła Lena — pilnuj jej!

— Ależ Lena! O co ci chodzi?

— Przysięgłabym — rzekła z uporem — że ona ich tam wypatrzyła. Oni są tam, na skałach, pod samym hotelem.

— Czyś ty zwariowała? Po nocy na skałach? Te dwie romantyczne dusze? A poza tym jest rzeczą fizycznie niemożliwą kogokolwiek tam teraz wypatrzeć.

— Anita ma oczy jak kot. Iza — powtórzyła błagalnie — idź tam do niej, proszę cię!

Iza zbuntowała się na dobre: — Ja też mam już tego dosyć! A ty? Gdzie znów chcesz lecieć? Chyba nie na te skały?

— Nie wiem, nie wiem — szepnęła, zatroskana. — Może zresztą posłę tam Pepe.

Zbiegła na dół. Iza, ze złością, za nią. Pepe oganiał się od nich jak od much: — Zaraz, zaraz, już właśnie kończymy! Andrzej spojrział na Lenę, spuścił wzrok i odkrył króla. — Mat! — krzyknął z triumfem Pepe. — Pani Leno, wygrała pani!

— Pepe — szepnęła z roztargnieniem — chciałam pana o coś poprosić... Lecz właśnie Anita podeszła do stolika.

— O! — powiedział Andrzej niezbyt przytomnie — już pani wróciła?

Odparła, że tak — chciała zrobić niespodziankę Carlosowi.

— Nie widział go pan tutaj?

— Carlosa tu nie ma — odrzekł pośpiesznie Pepe. — Wyobrażam sobie, że będzie zachwycony niespodzianką!

— Prosiłem go, by odwiózł moją żonę do lekarza — wyjaśnił Andrzej. Anita spojrziała na niego przeciągle i wampowato.

— To świetnie! Jedyna okazja by z panem porozmawiać. Carlos jest strasznie zazdrosny! Ale go nie ma.

Spytała go, swym niskim hiszpańskim głosem, czy nie zechciałby się trochę z nią przejść. Niedaleko. O, choćby i na skały pod hotelem. Ona ma wielką ochotę, lecz panie nie chcą, a sama się boi...

— Bravo, Anita! — wykrzyknął Pepe. — Nocny spacer z cudzym mężem? Toż to cała rewolucja! Zawsze byłem zdania, że postępek nie jest zamknięty dla kobiety argentyńskiej!

— Jeśli pani koniecznie chce... — powiedział niezbyt uprzejmie pan Andrzej, najwyraźniej zaskoczony. — To rzeczywiście imponujące! Idziemy, profesorze?

Pepe jednak był zdecydowany nie odegrać roli przysłowiowego kamienia na drodze do postępu. Andrzej zerknął na zegarek i przywołał w odsiecz kolację. Na co Anita zauważyła drwiąco, że najwidoczniej to wcale nie ona, to on się boi... Kogo? Może jej, Anity?... Ach nie, nie — nic podobnego — żony! — Wybuchnęła głośnym śmiechem: — *Un europeo* boi się żony!

Andrzej spurpurowiał, rzucił ukradkiem spojrzenie na Lenę a potem skierował się do Anity z ostentacyjną pobłażliwością:

— Cóż znowu za głupstwa! Chodźmy, Anita. Służę!

Iza uznała za stosowne zainterweniować energicznie: — Co za pomysły — jest chłodno i ciemno — zresztą, jak chcecie. Najpierw jednak napijemy się czegoś. Panie Andrzeju, proszę postawić kolejkę! Anita, na co pani ma ochotę? Whisky czy brandy?

Anita spojrzała przeciągle w jej oczy — *mozo* nastawił sambę: powtarzała z uporem wciąż ten sam takt i słowa — Anita patrzyła na Izę, Iza patrzyła na Anitę, Andrzej też patrzył, na obie, ze zdziwieniem, a Pepe z ciekawością. *Mozo* zatrzymał się z tacą w ręku i patrzył także.

— Czego tak na siebie patrzycie? — powiedziała niepewnie Lena — czy...



...Wtedy właśnie przysłała ta fala.

Rytm samby został pochłonięty przez ryczącą paszczę, rozprysł się i ociekł po niej dźwięk stłuczonych szyb, lampa na suficie załamała się w przerażonych oczach Izy w zmętniały kompleks ostrosłupów — chlust wody, z góry, na głowy, po plecach — z paszczy został olbrzymi, syczący jezor — lizał im stopy, kostki, kolana i znów tylko stopy — pulsował, spieniony, wokół nóg stolików, zagarniał płasko całą podłogę. Ktoś krzyczał histerycznie, ślepo: to Anita stojąc na krzeselku ogarniała spodniczkę wokół kolan, przed żywiołem jak przed myszą. Pepe zasłaniał ramieniem okulary, Andrzej zasłaniał ramieniem Lenę — „Woda ścieka mu za kołnierz” — pomyślała Iza, wstrząsając się, i zaraz — już inaczej, pełniej, bardziej po ludzku: „To pięknie że się zachował tak głupio”.

Pepe przetarł mokre binokle mokrym rękawem, spojrzął wokół półprzytomnie — „Gdzie *mozo*?”. — *Mozo* wygrzebywał się spod stolika, pobrnął w panice ku oknu — chciał je zamknąć — było zamknięte — otworzył. Pochylił się by wyłowić papierową serwetkę — ręka mu dygotała — starał się jednak ją schwytać, w napięciu, z uporem — nie mógł — opadł ze szlochem na krzeselko. Znów coś przysnęło w oczy — Iza poderwała się do

ucieczki — to Pepe wypadła z rąk zapalniczka — „Idiota!” — zaklął i schylił się po nią. Za oknem uciszał się, fala po fali, ryk oceanu.

— Co to było? — spytała ochryple Lena.

— Nie wiem — Andrzej wyrwał głos z krtani — może... przerwał, chrząknął i dokończył tonem już mniej więcej opanowanym: — Może wybuch jakiegoś podmorskiego wulkanu. Coś takiego zdarzyło się kiedyś w, w... — marszczył czoło z wysiłkiem, jakby chodziło o coś niezmiernie pilnego — tak, to było w...

— W „Lifie”! — zawyrokował Pepe. Ktoś się roześmiał i Iza poczuła że jest zupełnie mokra, że ma usta pełne soli i że trzęsie się z zimna. Sięgnęła przez bufet pod ladę — podała butelkę Anicie — Anita dzwoniła zębami po szkle — nie mogła przełknąć.

— No dobrze już, dobrze — rzekł Pepe. — Mogłoby być gorzej. Zdaje mi się, że wybierała się pani właśnie na spacer po skałach...

— Acha! — parsknął Andrzej — ach! — roześmiał się swobodnie — w jego śmiechu brzmiała radość z własnego opanowania. Przejechał dłonią po czuprynie, spojrzął z ukosa ku Lenie — obejrzał się niespokojnie: „Gdzie Lena?”

Iza na próżno poruszała wargami — żaden dźwięk nie chciał się z nich wydobyć. Nacisnęła gardło dłonią, wyjąkała: — „Pobiegła”...

— Dokąd? — zapytał. Zdumienie wtoczyło mu brwi wysoko na czoło: widziała przed sobą tylko te brwi na rozmazanej płamie twarzy. Rzekła ze zgrozą:

— Na skały.

## XII

Iza otworzyła persjanę i wyszła na balkon. Wisiał nad światem, który nigdzie się nie zaczynał ani nie kończył, w jakiejś substancji gęstej i prawie że namacalnej, a która jednak równała się pustce.

— Czy mgła jest pustką? Czy pustka jest mgłą? — pomyślała leniwie. Powinna była zaraz wrócić do pokoju i skończyć pakowanie, ale — na co? po co? i w ogóle — co to ma za sens, skoro nie istnieje Buenos Aires, ni dworzec, ni nawet stróżówka, gdzie ma zapłacić za pobyt w hotelu komuś kogo też nie ma.

Tym niemniej pokój był, a w nim Lena. Wróciła więc, zamknęła walizkę, zapaliła — dym miał ten sam odcień co pustka za persjaną.

— Mam zupełną pustkę w głowie — szepnęła Lena. — Która godzina?

— Zaraz dziesiąta — odpowiedziała, zdumiona faktem, że mały, konkretny przedmiot na przegubie dłoni ma jakiś związek z czasem który ją wchłaniał i otaczał tym samym bezkształtem co mgła.

— Przetaw walizkę pod ścianę — zabrzmiał głos Leny; jego rzeczowy ton budził jakąś szerszą obecność czy jej obietnicę. Może jednak coś i było poza pustką? Jej olbrzymi abażur rozjaśniał się właśnie, w dole zamajaczyło morze, białawe i pulsujące jak brzuch gigantycznej ryby. Równocześnie w hierarchii spraw — zrozumiałych i niepojętych — zaszło też pewne przesunięcie.

Lena — spytała — powiedz! Czemu się tak śpieszysz z wyjazdem? Dlaczego nie chcesz zobaczyć Andrzeja? Wtedy, mówiłaś, pobiętaś na skały, by pomóc, choć nie było już komu, a teraz, gdy właśnie on potrzebuje pomocy, zostawiasz go samego.

— Nie wiem — odpowiedziała — ale nie mogę zostać. Nie mogę pomóc ani jemu ani sobie. Gdy człowiek wyjeżdża, to zdaje mu się że ucieka. A nawet, że ucieknie. Jedyna rzecz którą mogę zrobić, to udawać. Lepiej więc już tylko wobec siebie niż wobec nas obojga.

Iza obracała w skołatanej głowie upartą myśl. Bo właściwie, nikt nie miał stuprocentowej pewności, czy oni tam naprawdę byli, to jest — czy...

— On się nie łudzi. Ja też nie.

Iza chciała nareszcie wiedzieć: — Co mu właściwie powiedziała Anita?

— Wszystko.

— A on?

— Uwierzył w nieszczęście.

— W które?

— W śmierć.

— A reszta?

— Nie — odpowiedziała ze znużeniem — w tamto nie uwierzył. Czegoż chcesz? To i tak wiele, że człowiek w ogóle może uwierzyć w nieszczęście. Cóż dziwnego że, gdy ma dwa do wyboru, wybiera mniejsze?... Ja tak nie potrafię. On tak potrafi. Może to bardzo odważne — myślę o jego niezłomnej lojalności... Może zresztą tchórzliwe — czy ja wiem? To bardzo trudno odróżnić.

— Lena, ja jeszcze nie widzę jasno, jak wygląda twój wyjazd w świetle tego co powiedziałaś.

— Och, daj mi spokój! — odrzekła niecierpliwie. — Nie nadaję się do walki z tzw. „rywalką” nawet wtedy gdy jest. Tym bardziej, gdy jej już nie ma. Zresztą wtedy też jest. Tyle że w sposób bardziej jeszcze nieodwołalny.

Pepe zastukał w ramę drzwi, wszedł w szlafroku i usiadł, osowiały, na łóżku.

— Jak się pan czuje, Pepe? — zapytała obojętnie Lena.

— Żle — odparł szczerze zgnębionym głosem. — Najgorsze zaś, że nie wiem, dlaczego właściwie? Czy z powodu tej przykrew historii, czy z powodu kataru.

— Czy widział pan Andrzeja? — spytała Iza.

Owszem, widział go. Właśnie wraca od niego. Andrzej zachowuje się spokojnie, choć pod tym spokojem jest wiele ekscytacji. — Zamyślił się. — Odniosłem wrażenie, że on jest na swój sposób — szukał właściwego słowa i wreszcie dorzucił po prostu: — szczęśliwy.

— Pepe — westchnęła z wyrzutem Lena — co też pan wygaduje?

Pokiwał głową:

— Tak, tak. On należy do ludzi, którzy w zasadzie lubią być maltretowani, lecz u których zdolność cierpienia jest ograniczona. Gdy coś idzie zbyt daleko, uciekają się do pociechy idealizacji. A teraz nikt i nic mu nie przeszkodzi w idealizowaniu tamtej kobiety. Nawet ona sama. Może więc spokojnie palić lampkę oliwną przed swoim prywatnym ołtarzykiem, stroić go we wszystkie wieńce, jakich by sobie życzył i oddawać się, czcigodnie i legalnie, rozkoszom własnego bólu.

Lena krzyknęła z gniewem, że nie chce tego słuchać — niech Pepe znajdzie sobie inny temat do rozważań! On wzruszył ramionami, uśmiechnął się niewesoło i spytał, czy to prawda, że Lena wyjeżdża i czy nie mógłby jej towarzyszyć.

— Po co? — odburknęła nieuprzejmie.

Rozłożył ręce: — Ot i nieodwołalne pytanie! Czyż wszystko koniecznie musi być po coś? Między innymi — a właśnie i po to by jej towarzyszyć...

Lena zapewniła niechętnie, że bardzo to piękne z jego strony, ale doprawdy nie konieczne. Ona nie potrzebuje towarzystwa; poza tym — jedzie już z nią Iza. A w końcu — wszystko jej jedno — skoro tak właśnie mu jest wygodnie...

Zaprzeczył głową. Nie. Nie jest mu wygodnie. Wręcz odwrotnie! Odstąpił mieszkanie przyjacielowi na cały miesiąc. Lubi tę obdrapaną budę i, oczywiście, nie ma żadnych uprzedzeń — tj. — co do wczorajszej nocy. Okoliczność, że byłby przez pewien czas sam — Andrzej wyjeżdża skoro tylko skończy z policją — nawet by mu odpowiadała. Tak. To właśnie byłoby wygodne...

— A więc?

Rozmachał się po swojemu rękami. — Czy Lena naprawdę nie rozumie, że największa niewygoda leży w tym, że byłoby mu wygodnie? Jasne chyba!

Lena uśmiechnęła się z ulgą. Tak jest. Rozumie. Speszyla się początkowo, myśląc, że miał zamiar „służyć jej pomocą w podróży” — nie tylko zresztą w podróży — to by jej nie odpowiadało, to jest beznadziejne! Ale skoro on pragnie pomóc tylko samemu sobie — to wszystko w porządku! — Niech pan idzie się przebierać. Już czas.



Wyszedł. Iza także. Załatwiła rachunki i wstąpiła na taras. Gips i tynki odpady tu i ówdzie, poza tym nic się nie zmieniło od wczorajszego popołudnia, z wyjątkiem nieba i morza. Ernesto siedział na balustradce, jego uśmiech był echem całego otoczenia.

— Ernesto — powiedziała z dobrze znanym uczuciem ulgi, odprężenia i wygody — jesteś w tonie tła. Siedzisz nie tylko na tym płocie lecz i w krajobrazie. Jak ty to robisz?

— To bardzo łatwo — odpowiedział. — Siedzę.

Niebo patrzyło ślepo słońcem rozproszonym w chmurach, postać Ernesto rysowała się szeregiem coraz to jaśniejszych otoków, jakby składał się z wielu nałożonych na siebie sylwetek o identycznym kształcie i nierównej wielkości.

On przynajmniej nigdy o nic nie pyta — przebiegło po głowie Izy i spytała:

— Ernesto, czemu ty nigdy o nic nie zapytasz?

— Ależ tak — odpowiedział łagodnie — z chęcią. Po co?

— Co, po co?

— Pytać.

— Jak to, po co? Po to, co wszyscy.

— A więc — po co?

— O Boże, jakiś ty beznadziejny! Po to, by im odpowiedziać na pytanie.

— Czyje?

— Ależ tego, oczywiście, co je formuluje!

Patrzył przez nią w otchłań, w której budziło się, przebłytkiem, morze, chwycenie i z trudem, jak myśl w oszołomionym mózgu.

— Nie — odrzekł. — Każdy odpowiada na swoje własne pytanie. Zawsze.

— Nie zawsze. Spytaj mnie o coś. O coś zwyczajnego.

— Dobrze. Która godzina?

— Będzie już chyba jedenas... — spojrzała na zegarek, potem przed siebie, wokoło żachnęła się: — Nie, to nie ma sensu. Żadna godzina nigdy nie istniała.

— Widzisz więc. Tak jest zawsze.

— Ale ja muszę pytać. I zdaje mi się nawet, że ty mnie odpowiadasz.

— Pytaj więc.

— Ernesto, czy wiesz, co się tu stało wczoraj w nocy?

— Nie wiem — odpowiedział. — Wiem. To zresztą wszystko jedno.

— To było okropne — szepnęła, czując że przemawia przez nią nawyk i zrobiło się jej wstyd.

Lecz on przytaknął, zataczając ręką po wybrzeżu; plaża wylaniała się niebu, niebo wylaniało się plaży, nieśmiało, naiwnie, jak dwoje młodych i prowincjonalnych, co po raz pierwszy znaleźli się sam na sam. Powiedział:

— Okropne! Miałś tu być całe dwa tygodnie. Cieszyłaś się. Tymczasem...

— Nie mów tego — zaprotestowała. — Nie prosiłam cię, byś mnie wyręczał.

— Skoro jednak ty sama nie...

— Ja wiem — dokończyła. — Przy tobie nie tylko muszę ale i mogę nie kłamać. Natomiast wobec siebie samej — nie. Dziś — nie. To co zaszło jest zbyt poważne, by wobec tego nie kłamać. Czyż nie mam racji?

Nie odpowiedział. Rozpływał się zwolna...

— Wróć — zawołała z żalem. — Tak było przyjemnie!

Siedział znów na barierce, chwytając kącikami ust zawołany uśmiech słońca.

— Ernesto — powiedziała — słuchaj! Tu się wyrabiają rzeczy, które powinny być okropnie śmieszne, a ktoś przeffałszowuje je na zwyczajnie okropne. Np. Lena gorąco pragnie, by Andrzej „przejrzał” i dlatego właśnie stara się temu za wszelką cenę zapobiec. Np. Andrzej wzdycha do dwóch kobiet naraz, ponieważ jednak w stosunku do jednej z nich przeważają w nim impulsy sentymentalne, więc on tłumaczy to jako pociąg fizyczny, podczas gdy ładne uda drugiej przenosi w sferę uczuć idealnych. I ostatecznie, już nic nie wiadomo: gdzie dusza, a gdzie nogi i od czego się zaczęło. I tak, Pepe inteligentnie bredzi o wszystkim i o niczym i podrwiwa sobie z konfuzji Andrzeja, lecz sam nie umie odróżnić, jako przyczyny w skutkach, wczorajszej katastrofy od dzisiejszego kataru. Na przykład ja wyjeżdżam za chwilę... Ernesto, czemu ja wyjeżdżam?

— Nie wiem — odparł łagodnie. — Może dlatego że nie masz ochoty.

— Nie mam. Wcale mi to do szczęścia nie potrzebne! Ani tym bardziej Lenie. Ona ma pociąg do prostolinijności. Dlatego jej nie wychodzi. I nie lubi fałszywych sytuacji. Dlatego się w nich stawia. Wiem, że ona wie, że nikt z nas nie może jej pomóc; wcale zresztą tego nie pragnie. Wiem również, że ani Andrzej, nigdy, jej, ani ona Andrzejowi — i że ona jednak także o tym wiedziała. Osobiście, wcale się do pomocy nie palę, a jednak — mimo wszystko — Ernesto, zdaje mi się, że chciałabym jej pomóc...

— To jest — chciałabyś chcieć; to jest — w tobie chcą, byś chciała...

— Tak jest — odrzekła. — Tradycje. Prawa. Całe pokolenia. A ja chcę wyciągnąć się na piasku — słońce chyba jednak wyjdzie — więc chcę...

Umilkła, ponieważ nie chciało jej się precyzować, czego chce. Powietrze laślo się do jej szyi i ramion, ciepłe i nasycone gęstym, matowym blaskiem: można było chodzić, w nim i po nim, jak po stercie bawełny. Zdjęła sandaalki, zrobiła kilka kroków, w skos ku górze — udawało się doskonale. Miękką przęda ugięła się pod jej stopami, leżała, stojąc, na puchowym pościaniu, które ją ogarniało ze wszystkich stron. — Och — powiedziała — jakież to wygodne! to pewnie właśnie jest ta idealna równowaga w rozmieszczeniu nacisków z zewnątrz. — Erne-

sto uśmiechał się kącikami oczu: — Jakaś ty zabawna, zawsze ci się coś przypomina. I zawsze uciekasz od siebie, nawet gdy do siebie idziesz.

Spląnęła w dół z niesłuchaną powolnością, przysiadła obok niego na barierce, jak puchaty owoc mleczu.

— Ernesto, jak to jest? — zaokrągliła w dłoniach jakąś część życia, niedawno jeszcze ważną i dokuczliwą. — To czym oni druzgoczą sobie serca i głowy, ty podzucasz lekko jak kolorowy balonik. Jak ty to robisz, Ernesto?

— To bardzo łatwo — odpowiedział. — Po prostu nie istnieje...

### XIII

Lena przyjęła oświadczenie Izy z całkowicie konsekwentną niekonsekwencją. A nawet ze starannie maskowanymi, tym niemniej gorzkimi pretensjami. I właśnie nadszedł Pepe, trochę jakby zawstydzony. Powiedział, śmiejąc się, że katar mu przechodzi, więc nie musi już sobie pomagać ani histeryzować na ten czy inny temat. Zatem, skoro Lena woli wracać sama, to jest — tylko z Izą...

Wtedy Lena rozptakała się. Zwyczajnie, po babsku, z czerwonym nosem i czerwonymi oczami. Podbiegła do Pepe, wtuliła się w jego ramiona jak mała dziewczynka — była znacznie wyższa od niego — i wołała bez ładu i składu, by jej nie zostawiał samej, by jej pomógł — tak! by jej pomógł i pomógł!

A on, nieefektywny i znakomicie aintelektualny, mruzczał że oczywiście, ma się rozumieć, że jakże by inaczej — i bodaj nawet użył zwrotu „córuchna”. Jego sławetne poczucie humoru ulotniło się bez śladu; był stary, zgnębiony i szczęśliwy, okropnie brzydki, choć po raz pierwszy naprawdę piękny.

Iza szarpnęła się gwałtownie — ku niemu, ku Lenie — ale właśnie *mozo* otworzył drzwi i leniwe, uroczco obojętne niebomrze uśmiechnęło się do niej z roztargnieniem...

— Do widzenia, kochanie — powiedziała Lena serdecznie i sentymentalnie. — Przyjeżdżaj gdy tylko ci się tu znudzi. Będzie mi ciebie brak. — I uśmiechnęła się, jak ci co, znużeni bezsennością, oddalają od siebie sen, by przedłużyć rozkosz porażania się w bezwładzie.

— Wyjeżdża na swoje wakacje — pomyślała Iza.

Przeszła przez taras, jadalnię, hall, czując jak wzbiera w niej radość sam na sam ze sobą. W stróżówce jednak coś zaszeleściło: to *mozo* siedział na stolku, kontemplując przez okulary zmiętą stronicę gazety.

— Czyta pan gazetę? — zapytała, bo chciało jej się usłyszeć własny głos.

— Nie — odparł, zażenowany. — Tylko ostatnią stronę. Jest tu taka jedna krzyżówka... Nie lubię czytać o tym co się dzieje naprawdę. Wydaje się nieprawdziwie.

— Ma pan zupełną rację — roześmiała się. — Słusznie! To co się dzieje choćby i tu, w tym pensjonacie, najzupełniej wystarcza! Dość kilku osób, by wyprodukować bezsens w ilości niemożliwej do zasymilowania. Gdy zaś interwenują miliony... bagatela! — to wzrasta jak postęp geometryczny; nie sposób nadażyć ze świadomością, a jeszcze mniej z emocją.

— Tu się przecież nic nie dzieje — odpowiedział, zdziwiony. — Proszę pani, czy rozwiązywała pani kiedyś krzyżówki?

Owszem, rozwiązywała. I chętnie mu pomoże.

— Ten rodzaj pomocy — roześmiała się znowu — to moja specjalność.

Spojrzał na nią poufale, z otuchą.

— Bo tu jest jeden taki wyraz... niech pani patrzy — powiodł palcem po spisie. — „Rzecz absolutnie nieunikniona dla człowieka”. Pięć liter. Najpierw myślałem, że to śmierć, ale się nie zgadza.

— Z resztą rozwiązań? — spytała Iza. — To by nie było głupie. Ale i tak już nieważne...

— Tak. Ważniejsza jest ilość liter. Niech pani zwróci uwagę: m, u, e, r, t, e — sześć. Nic innego nie mogłem wymyślić — bardzo mnie to męczyło. Dopiero wczoraj, wie pani, jak przyszła ta fala, zdawało mi się, że mam!

— Co to było? — spytała ciekawie.

— Strach — szepnął tonem zwierzenia. — Niech pani policzy: m, i, e, d, o — pięć liter! — Pokiwał głową z zalem. — Ale też mi nie pasuje.

— *Absurdo!* — zaproponowała.

Policzył na palcach. — Nie — westchnął, zawiedziony. — Siedem liter. Poza tym — rzucił okiem na zabazgraną krzyżówkę — z tamtym innym też się nie zgadza.

— No więc? — rzekła Iza. — Wszystko w porządku! Tak właśnie powinno być.

Maria ORZESZKOWSKA

W Londynie zatrzymaj się  
w Polsko-Szkockim Hotelu

”STRATHCONA COURT”

(wł. C.C. Szeziakowie).



Restauracja — w pokojach ciepła i zimna woda, radio i telefon. —

198, Cromwell rd. London S.W.5; tel. FREmantle 7878-9

st. kolejki Earls Court — Autobusy 31, 74 —

300 m. od West London Air Terminal.

## Archiwum polityczne

### Emigracja “rewizjonistyczna”

Czy jest rzeczą możliwą by przekonany buddysta — choćby był głębokim znawcą religii katolickiej — mógł kogoś nawrócić na katolicyzm?

Czy jest rzeczą możliwą by reformy komunizmu mogli dokonać ludzie spoza „wyznania” — choćby najbardziej biegli w piśmie i w doktrynie?

Ideologio-znawcy zachowują się zupełnie inaczej niż religioznawcy. Historycy religii wstrzymują się od propagandy i nie biorą udziału w sporach teologicznych. Zdają sobie bowiem sprawę z faktu, że do dyskusji nie wystarczy teoretyczna wiedza. Konieczna jest jeszcze postawa osobista, personalne zidentyfikowanie — innymi słowy zaangażowanie. Trudno się dziwić jeżeli wierzący chrześcijanin uzna za bezcelową dyskusję ze znawcą chrześcijaństwa, który z przekonania jest buddystą.

To jest jedna z przyczyn, która powoduje, że antykomunistyczna propaganda Zachodu — mimo, że dysponuje dziś wybitnymi znawcami przedmiotu — w 70% chybia celu. Komunistów nie interesuje bowiem co o kryzysie marksizmu myślą skrajni pravicowcy, maccarthyści, reakcjonisci wszystkich barw i odcieni — choćby każdy z nich znał na pamięć wszystkie pisma Marksa i Lenina. Mogą oni uprawiać tylko propagandę — z nimi jednak nikt nie będzie dyskutował i nikt nie będzie słuchał ich argumentów.

Zjawisko wojny psychologicznej uległo w ostatnich latach pewnemu zwyrodnieniu. Po obu stronach barykady mamy nie ludzi zaangażowanych lecz aparatczyków, zawodowców i speców. Po obu stronach aparatczycy są bezpośrednio zależni od kierownictwa politycznego, od którego otrzymują instrukcje i pensje. Tak aparatczycy komunistyczni, jak i aparatczycy antykomunistyczni — z uwagi na ich własne interesy są najzaciętszymi wrogami wszelkiego rewizjonizmu. Rewizjoniści po obu stronach barykady pragnęliby podjąć próbę uautentycznienia

wojny psychologicznej. W swej idealnej formie musiałyby to oznaczać próbę wszczęcia dyskusji pomiędzy ludźmi zaangażowanymi, którzy operują argumentami a nie sloganami.

Któregoś sierpniowego popołudnia rozmawiałem o tych sprawach z młodym człowiekiem z Kraju. Punktem wyjścia dyskusji był artykuł Stefana Żółkiewskiego w lipcowym Nrze „Nowych Drog”. Mówiliśmy o artykule Chałasińskiego, z którym Żółkiewski oczywiście polemizuje — dyskutowaliśmy sytuację rewizjonistów, książkę Dżilasa i ostatnie ataki prasy sowieckiej skierowane przeciwko pisarzom krajowym.

W pewnej chwili mój młody gość odezwał się niespodziewanie: „Dziwne i charakterystyczne dla czasów, w których wypadło nam żyć jest przede wszystkim to, że tacy ludzie jak ja i pan należymy do niezorganizowanego podziemia. Przecież stenogram naszej rozmowy nie można by nigdzie wydrukować. W systemie sowieckim jesteśmy za biali — w systemie amerykańskim byłibyśmy za czerwoni. Istniejemy tylko w czterech ścianach pokoju — w poufnych rozmowach — w szmuglowanych listach. Nawet w „Kulturze” nie może pan pisać swobodnie, bo jest pan związany naszym bezpieczeństwem. Skazani jesteśmy na domyślności i czytanie między wierszami. Może zabrzmi to patetycznie i banalnie ale młodzież mojego pokolenia odczuwa, że w tym zgiełku światowego konfliktu — w tej płątanie interesów, ambicji i imperializmów — zagubiono problem, który leżał u podstaw tego dramatu. Został afisz sztuki, ale aktorzy nie mają już dostępu do sceny. Odważniejsi krzyczą z widowni póki ich nie uciszą”.

Ów młody człowiek nie znał całej prawdy. Problem, o którym mówił, grzebany jest skwapliwie nie tylko po tamtej ale i po tej stronie barykady. Wielka zachodnia publicystyka rozpatruje konflikt Wschód-Zachód niemal wyłącznie w terminach „realnej polityki”. Zawodowi antykomuniści ufundowali popularną opinię, że ideologia komunistyczna jest wyłącznie instrumentem politycznym sowieckiego imperializmu. Najszkodliwsze są zawsze pół-prawdy. Komunizm jest niewątpliwie instrumentem imperializmu sowieckiego ale jest również czymś więcej.

Komuś może się wydać herezją to co teraz powiem. Niemniej faktem jest, że walka i dyskusja dotycząca losu socjalizmu toczy się po tamtej stronie barykady. Po tamtej stronie wychodziły takie pisma jak „Po Prostu”, po tamtej stronie ukazały się książki rozprawy i broszury wybitnych rewizjonistów, po tamtej stronie i dziś w zmienionych warunkach — w klubach i w czterech ścianach prywatnych pokojów toczą się dyskusje na tematy związane z przebudową komunizmu w socjalizm. Okresy czasowej swobody ujawniły w pełni zdumiewające nasilenie tego ideologicznego niepokoju, który tak kontrastowo odcina Europę wschodnią od Zachodu. Rewolucja polska i węgierska — rewolucja socjalistycznej reformacji i przebudowy — trwa i burzy się w mózgach ludzkich, choć proces ten przebiega dziś w milczeniu.

Zawodowi antykomuniści przeczą istnieniu sił rewolucyjnych w Polsce, czy w jakimkolwiek innym kraju Europy wschodniej. Nie ma żadnej rewolucji — jest tylko okupacja. Nikt nie myśli o socjalizmie tylko wszyscy myślą o „liberation”. W ten sposób po obu stronach barykady tępi się tych, którzy widzą problem. Tam nazywa się ich „rewizjonistami” a tu „red”, „pink” albo zgoła „fellow travellers”. Należą do najzacieklej atakowanych przez prasę komunistyczną publicystów polskich. Nie przeszkodziło to jednak naszym maccarthystom określać mnie na łamach prasy emigracyjnej jako „neomarksiste”, „krypto-komunistę”, itd. Cechą wspólną aparatczyków po obu stronach barykady jest uwielbienie dla „życiodajnej” prawomysłności.



Nie należałem nigdy do wielbicieli Howarda Fasta — niemniej jego ostatnią książkę (wydaną w polskim przekładzie przez „Kulturę”) uważam za dokument, z którym każdy myślący inteligent winien się zapoznać. Fast był postępowym lewicowcem i pozostał nim nadal. Mimo trzynastu lat, które spędził w partii, w moim przekonaniu, nigdy nie był autentycznym komunistą. Ale, jak sam pisze, pragnął swe lewicowe przekonania związać z czynem, z akcją. Więc gdzie miał iść? Ten sam problem zjawiał się przed nim powtórnie, gdy zdecydował się partię opuścić. Dokąd iść?

Jest tragedią naszych czasów, że w epoce kiedy schizmatyczny „socjalizm” jest państwową religią między Odrą a Pekinem — na Zachodzie demokratyczny socjalizm utracił swój pierwotny rozmach i dynamikę. Zawodowi antykomuniści, aparatczyki, „lewicowcy” na pensjach amerykańskich, sztucznie „lewicowe” finansowane periodyki — nie sprostały temu zadaniu.

Na Zachodzie nie istnieje żadne ognisko niezależnej myśli lewicowej ku któremu mogliby grawitować tacy ludzie jak Fast. Nie istnieje potężna — na miarę zagrożenia — partia socjalistyczna, która międzynarodowemu programowi komunizmu przeciwstawiałaby międzynarodowy program socjalistyczny. Partie socjalistyczne zachodnie są uwikłane w wewnętrzne polityki. Wyjątek stanowi Labour Party, która jest jednak zjawiskiem ściśle i wyłącznie brytyjskim. Istnieją żywe i dynamiczne partie socjalistyczne w małych krajach jak Austria — istnieją międzynarodowe organizacje socjalistyczne, ale to wszystko jest za mało i nie na skalę historycznego wyzwania.

Więc gdzie miał iść Howard Fast? Zdawał sobie sprawę, że z chwilą gdy opuści partię zostanie natychmiast włączony w szeregi antykomunistycznych aparatczyków. Można przestać być komunistą, ale to nie znaczy by ceną opuszczenia partii miał być przymus lądowania na łonie najczarniejszej reakcji.

Twierdzę, że antykomunistyczni aparatczyccy cementują ruchy komunistyczne na Zachodzie i w armii niepartyjnych „fellow travellers” podtrzymują orientację pro-moskiewską.

Gdyby antykomunistyczna lewica posiadała międzynarodowy program i niezależną wszechświatową organizację — kryzys, który objął partie komunistyczne w wolnym świecie po XX Kongresie Sowieckiej Partii Komunistycznej — miałby zupełnie inny przebieg. Lecz przed secesją istniała de facto tylko jedna droga, tj. droga Fasta.

Ludzie porzucają komunizm nie dla tego, że wyrzekają się wiary w podstawowe cele socjalizmu lecz dla tego, że dochodzą do przekonania, iż poprzez komunizm celów tych nie można urzeczywistnić. Zarówno Fast jak Dżilas i tysiące innych odrzuciwszy komunizm pozostali przekonani socjalistami. Ale ludzie, którzy pojmują socjalizm jako program międzynarodowy nie pomieszcza się ze swymi przekonaniem i w programach wędrownych partii socjalistycznych Zachodu. Rewizjoniści w Europie wschodniej i dysydenci z zachodnich partii komunistycznych są socjalistami innego typu niż socjaldemokraci tradycyjnego stempla.

Młody rewizjonista polski czy wschodnio-niemiecki pragnie reformy komunizmu po liniach demokratycznych, lecz nie wyrzeka się wizji zwycięstwa socjalizmu w skali światowej. Tej wizji i programu socjalizm demokratyczny nie posiada. Dlatego wielu rewizjonistów pozostaje jednak w ramach partii komunistycznej. Dotyczy to zarówno rewizjonistów we wschodniej Europie jak i rewizjonistów w zachodnich partiach komunistycznych.

Konsekwencją — jedną z wielu — powyżej naszkicowanej sytuacji jest fakt, że z wybitniejszych polskich rewizjonistów nikt nie został na Zachodzie. Byli tu niemal wszyscy i każdy z nich miał możliwość „wybrania wolności”. Nasi aparatczycy, którzy jeszcze dziś uważają Miłosza za „wtyczkę” oceniają to za swój sukces i zwycięstwo.

Co miałby robić młody rewizjonista, gdyby zdecydował się pozostać na Zachodzie? Zawodowi antykomuniści natychmiast zorganizowaliby przeciwko niemu nagonkę. Do wszystkich możliwych władz runęłaby zewsząd lawina donosów.

Zawodowi antykomuniści, którzy kierują wszystkimi propagandowymi instytucjami na Zachodzie — uważają, że im ktoś bardziej na prawo, tym jest lepszym antykomunistą. To jest rozpoznanie wręcz katastroficzne. Najgroźniejszym dla komunizmu nie są pravicowcy à la Bolesław Piasecki lecz lewicowi rewizjoniści. Nie ma żadnego sporu między aparatczykami komunistycznymi a aparatczykami antykomunistycznymi. Istnieje tylko wojna propagandowa i nic poza tym. Spór, który wyciska piętno na naszym stuleciu istnieje między komunizmem a antykomunistyczną lewicą. Jeżeli wyłączamy rozstrzygnięcie na drodze zbrojnego konfliktu — to należy przyjąć, że zwycięstwo nad komunizmem może przyjść tylko od lewicy a nie od prawicy. Bo tylko lewica jest najistotniej ideologicznie zaangażowana w

tym sporze. Prawica jest zawsze gotowa do ułożenia się, do kompromisu — o ile warunki kompromisu będą korzystne. Prawicę interesuje bowiem tylko aspekt polityczny konfliktu, a ideologia tylko o tyle, o ile może być wygrana w sensie propagandowym.

Gdy się przegląda setki uczonych rozpraw i artykułów produkowanych przez zawodowych antykomunistów — budzi się pytanie: czego ci panowie oczekują? Czy istotnie sądzą, że ich odpowiednicy po tamtej stronie barykady ulegną sile argumentów i pewnego dnia wywieszą białą flagę?

W dziesiątkach artykułów starałem się przekonać czytelnika, że istnieją dwie alternatywy w tej kapitalnej sprawie. Zlikwidować komunizm można tylko siłą — tzn. na drodze zwycięskiej wojny przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Jeżeli odrzucamy to rozwiązanie ze względów strategicznych, biologicznych, humanitarnych czy jakichkolwiek innych — pozostaje nam tylko nadzieja na powolną ewolucję komunizmu. Rezygnując z wojny tym samym rezygnujemy z likwidacji komunizmu i godzimy się z przesłanką, że los tej ideologii rozstrzygnie się na drodze przemian i przebudowy.

Jeżeli to są perspektywy o największym stopniu prawdopodobieństwa — w takim wypadku na front walki ideologicznej wysuwają się ci, którzy dążą do reformy komunizmu. By uniknąć nieporozumień, stwierdzić trzeba z naciskiem co następuje: reformy komunizmu nie dokonają ani uczeni sowietolodzy, ani zawodowi antykomuniści, ani żadna z istniejących socjalistycznych partii na Zachodzie. Reformatorski wpływ na ewolucje komunizmu mogliby tylko wywrzeć ludzie ideologicznie zaangażowani — ludzie stamtąd. Jugosłowiańscy komunistyczni reformatorzy wywarli (i wywierają) większy wpływ na ewolucję komunizmu w bloku wschodnim niż wszyscy sowietolodzy i antykomuniści Zachodu razem wzięci.

Rewizjoniści w Polsce i we wszystkich innych państwach Europy wschodniej mają zadanie niezmiernie utrudnione. Znajdują się w permanentnym niebezpieczeństwie i nikt nie zareczy czy za rok, czy za dwa lata nie wytoczą im procesu. Nie mogą swobodnie pisać i wielu z nich „emigruje” na boczny tor, bo w ustroju totalnym anonimowość jest najbezpieczniejsza.

Narzuca się pytanie dlaczego ludzie ci — jeżeli mają po temu okazję — nie emigrują za granicę? Przyczyną, że jest to problem, który interesuje mnie od dawna. Zrobiłem wszystko możliwe, by tę sprawę wyjaśnić. Przeprowadziłem dziesiątki rozmów z rewizjonistami i z nie-rewizjonistami — nie ograniczając się bynajmniej do Polaków. I wydaje mi się, że zbliżyłem się do sedna zagadnienia.

Teoryjka o „trwaniu nad Wisłą” wymyślona przez Gołubiewa i podjęta skwapliwie przez partyjny aparat przeznaczony do zwalczania emigracji — jest naiwnym nonsensem. Gdyby ludzie ideologicznie zaangażowani, zdecydowani walczyć o realizację swoich celów uważali, że wpływ na bieg wypadków w Rosji mogą mieć tylko ci, co mieszkają nad Nową

lub Wołgą — nie byłoby ani rewolucyjnej emigracji w ubiegłym stuleciu na Zachodzie, ani rewolucji październikowej ani radiostacji „Kraj” z ob. Koźniewskim jako głównym filarem.

Chciałbym zapewnić ob. Koźniewskiego, że nikt — dośłownie nikt z moich rozmówców krajowych „mandatu wiślanego” nie brał poważnie i nie wysuwał jako argumentu przeciw emigrowaniu. Przeciwno emigrowaniu rewizjonistów przemawiały inne przyczyny, niepomierne bardziej istotne.

Wówczas, gdy na Zachodzie przebywała i działała rewolucyjna emigracja — świat nie był opanowany histerią i sumieniem — jeżeli wolno sparafrazować słowa Arthura Millera — było jeszcze sprawą osobistą i nie wchodziło w zakres administracji państwowej.

Dziś te sprawy wyglądają nieco inaczej. Wyobraźmy sobie, że rewizjonista polski, czeski czy rumuński zjawia się w Londynie z zamiarem podjęcia za granicą politycznej działalności. Gdyby zwrócił się on do mnie z prośbą o pomoc i informacje — to musiałbym mu wyjaśnić, że praktycznie rzecz biorąc stoi przed nim otworem tylko droga odstępcy a nie reformatora. A więc musi wystąpić z partii, zrezygnować z paszportu, zadowolić się dokumentem uchodźczym, a swoją wiedzę i doświadczenie zdobyte w partii postawić do dyspozycji jednej z licznych antykomunistycznych instytucji na Zachodzie. To jest klasyczna, tradycyjna procedura — najłatwiejsza do przeprowadzenia i materialnie najkorzystniejsza. Delinkwent zrywa radykalnie z przeszłością, zostaje oczyszczony i rozszyfrowany i wszystko jest w porządku.

Łatwo przewidzieć, że nasz rewizjonista nie byłby zachwycony tego rodzaju perspektywami i odpowiedziałby, że wylądował za granicą nie w tym celu by zostać antykomunistycznym aparatczykiem, lecz by móc kontynuować swoją rewizjonistyczną działalność. Słyszę tego młodzieńca jak mówi: „w Kraju mogę się utrzymać z przekładów i z innych dorywczych zajęć — nie mogę jednak ani działać ani pisać w duchu rewizjonizmu. Na to, bym mógł na Zachodzie podjąć polityczną działalność — muszę zachować moją osobistą identyczność — muszę pozostać tym kim jestem. A więc muszę pozostać obywatelem mojego kraju i członkiem partii. Być może partia wywali mnie, ale co innego jest być wydalonym za rewizjonizm a co innego wystąpić samemu. Nie będę mógł również rozpocząć mojej akcji od pisywania do prasy emigracyjnej. Zespół „Kultury” uważam za sympatyków naszego ruchu, ale ani wy siebie samych, ani my was, nie możemy uważać za rewizjonistów. Planuję założenie pisma rewizjonistycznego w Londynie czy w Paryżu, oczywiście całkowicie niezależnego. Mam nadzieję, że wokół tego pisma skupi się z czasem garść rewizjonistów tak polskich jak i z innych krajów Europy wschodniej. Nie wątpię, że ruchem naszym zainteresują się również liczni rewizjoniści w zachodnich partiach komunistycznych. W ten sposób po pewnym czasie mogłyby powstać poważny ośro-

dek ruchu rewizjonistycznego, który kontynuowałby działalność rewolucyjną stłumioną przez Sowiety”.

Z teoretycznego punktu widzenia rozumowanie powyższe wydaje się proste i zgodne z logiką. Jeżeli Karol Marks mógł w Londynie pracować spokojnie nad swymi pismami, dlaczegoż w tym samym Londynie nie mogliby pracować ci, którzy dążą do naprawy jego systemu, zniekształconego przez sowieckich imperialistów.

Niestety żyjemy w innej epoce i w innym świecie niż Karol Marks.

Przed naszym młodym rewizjonistą pierwszego dnia spiętrzyłyby się przeszkody nie do przebycia. I tak, gdyby zatrzymał paszport PRL musiałby uzyskać brytyjską wizę pobytową. Jest wysoce wątpliwe czy taką wizę by uzyskał. Nawet gdyby był w czepku urodzony i otrzymał prawo pobytu — to jako cudzoziemiec nie miałby prawa do pracy zarobkowej. Z obcym paszportem w kieszeni nie mógłby zarobić na życie nawet zmywaniem przysłowiowych talerzy u Lyonsa. I oto wracamy do punktu wyjścia. Nasz młody rewizjonistyczny pielgrzym w pierwszym dniu swego pobytu na Zachodzie przekonałby się, że i w Londynie, jeżeli ktoś chce jeść, musi się ideologicznie zakoszarować. Albo mając paszport PRL trzeba wracać do Kraju — albo paszportu trzeba się zrzec i pokłonić się takiej czy innej amerykańskiej instytucji. W obu sytuacjach jedzenie jest zapewnione — ale niezależność nie.

Na pytanie: dlaczego nie istnieje rewizjonistyczna emigracja — odpowiedź jest prosta. Nie istnieje, bo istnieć nie może. Na Zachodzie nie ma dotąd warunków dla takiej emigracji. Zawodowi antykomuniści zrobili wszystko by taką emigrację unie możliwić. I w moim przekonaniu jest to największy błąd jaki do tej pory popełnili zachodni stratedzy „wojny psychologicznej”. Ci panowie nie zdają sobie sprawy z faktu, że rewizjonista jest cenny, dopóki jest autentycznym rewizjonistą. Z chwilą, gdy spaliwszy za sobą mosty decyduje się pod naporem okoliczności powiększyć legion antykomunistycznych propagandzistów — staje się martwą duszą.

Nim przedstawię czytelnikom wnioski jakie nasuwają się w związku z tą sprawą — uważam za konieczne wyjaśnić jeszcze jedno ważne zagadnienie.

Do ludzi stamtąd nie można stosować zasady: albo jesteś stuprocentowym antykomunistą albo wracaj skąd przyszedłeś. Przecież na zachodzie mamy miliony partyjnych i niepartyjnych komunistów zorientowanych na Moskwę. Rewizjonista — choćby najbardziej radykalnych zapatrywań — różni się od zachodnich komunistów w dwóch punktach: jest antysowiecki i jest reformistyczny. Wrogiem głównym wszystkich rewizjonistów jest Rosja, ale to bynajmniej nie oznacza by rewizjoniści byli automatycznie pro-zachodni czy pro-amerykańscy.

Musimy z dobrą wolą zrozumieć, że rewizjonista proszący o azyl w Anglii, czy we Francji — nie przybywa do nas jako

sojusznik i neofita pro-zachodniej orientacji. Przybywa, by w atmosferze wolności i całkowitej niezależności kontynuować swą własną ideologiczno-polityczną działalność czego mu wzbroniono w jego ojczystym kraju. Winniśmy udzielić mu azylu z trzech przyczyn: po pierwsze — leży w tradycji Zachodu udzielanie schronienia innowiercom, choćby głosili wiare, która różni się od naszej; po drugie winniśmy chronić wszystkich ludzi prześladowanych przez Rosję za swe przekonania; po trzecie w dalszych perspektywach dążenia rewizjonistów są zbieżne z interesami Zachodu.

Oczywiście jak długo azyl dla ludzi politycznie aktywnych i zaangażowanych oznaczać będzie przedpokój, z którego jedne drzwi prowadzą do wywiadu a drugie do propagandy — tak długo rewizjonistów na Zachodzie oglądać nie będziemy.

Jakie jest wyjście z tej sytuacji?

Po pierwsze planiści „wojny psychologicznej” winni zdać sobie sprawę z faktu, że jeden rewizjonista na Zachodzie więcej jest wart niż stu maccarthystów wschodnioeuropejskiego pochodzenia. Ankieta przeprowadzona ostatnio przez zawodowych socjologów wśród młodzieży Uniwersytetu Warszawskiego, wykazała, że niemal 80% studentów deklaruje się jako zwolennicy socjalizmu. Sądzę, że sytuacja na innych uniwersytetach krajowych kształtuje się podobnie. W świetle wypowiedzi ankietowych jest bezsporne i oczywiste, że przez socjalizm młodzi ludzie w Polsce nie rozumieją komunizmu.

Czy stratedzy „wojny psychologicznej” wyobrażają sobie, że polska młodzież uniwersytecka, w przytłaczającym procencie o poglądzie lewicowym, orientować się będzie na polityków spod znaku „białego konia”, czy też na emigracyjnych antykomunistycznych propagandzistów, których jedynym celem jest zdobycie obywatelstwa amerykańskiego i utrzymanie posady do końca życia? Wpływ na tę młodzież mogliby mieć tylko młodzi rewizjoniści, którzy na Zachodzie mieliby możliwość rozpracowania swojego programu.

Na tym odcinku popełniono na Zachodzie tyle błędów, że bynajmniej nie jest pewne, czy jest jeszcze możliwe błędy te naprawić. Sprawa jest jednak tak wielkiej wagi, że należałoby podjąć próbę.

Są dwa zasadnicze punkty w tym zagadnieniu. Rewizjoniści w Europie wschodniej musieliby wiedzieć, że, na żądanie, każdemu z nich zostanie przyznany azyl na warunkach specjalnych. Ktoś zauważy może w tym miejscu, że oznaczałoby to otwarcie bramy dla szpiegów, agitatorów, wtyczek itd. Oczywiście niebezpieczeństwa tego rodzaju nie można wyłączyć. Ale niebezpieczeństwo istnieje stale, bo każdy człowiek stamtąd proszący o azyl także może okazać się szpiegiem, wtyczką itd. Nie ma akcji politycznej wolnej od ryzyka. Chodzi tylko o to, czy ewentualne korzyści są większe od niebezpieczeństwa. W tym wypadku korzyści wielokrotnie przewyższają ryzyko.

I punkt drugi, niemniej istotny. Rewizjonista — jeżeli w ogóle ma brać pod uwagę pobyt na Zachodzie — musi mieć zapewnioną całkowitą materialną niezależność. Rewizjonizm nie może mieć charakteru agenturalnego, tzn. nie może być przez nikogo finansowany. Ruch rewizjonistyczny bezpośrednio finansowany przez Amerykanów nie byłby rewizjonizmem tylko jedną z gałęzi antykomunistycznej propagandy.

Materialną niezależność i punkt oparcia w początkowym okresie mogłaby zapewnić rewizjoniście pragnącemu pozostać na Zachodzie jedynie polska, emigracyjna, niezależna instytucja. Są na emigracji nieliczne niezależne instytucje, które gdyby powiodło się je rozbudować i finansowo wzmocnić — odpowiadałyby w pełni sprecyzowanym powyżej warunkom.

Nawet gdybyśmy stworzyli warunki dla emigracji rewizjonistycznej — nie jest oczywiście pewne czy ktokolwiek z tych możliwości skorzysta. Pewne jest jednak, że dopóki tych możliwości nie będzie, żaden rewizjonista na Zachodzie nie wylądzuje.

*Juliusz MIEROSZEWSKI*

## Kronika angielska

### LIST (I) DO LUDMIŁY

„Kazimierz po swym urlopie w Kraju wylądował szczęśliwie na Chiswick'u. Po rozmowie z nim postanowiłem opracować poradnik dla dziennikarzy emigracyjnych. Kazimierz opowiadał mi, że jego przyjaciel prof. X. wrócił do swojej naukowej specjalności i wydał w Kraju pierwszy tom swojej pracy. Praca reprezentuje doskonały naukowy poziom, choć nie zawsze jest zgodna z „linią”. Ale jak wiesz z własnych doświadczeń cenzorzy dzielą się na takich, którzy utrudniają i na takich, którzy nie utrudniają. Prof. X. wytłumaczył swojemu cenzorowi, że chodzi o pracę naukową o niewielkim nakładzie i cenzor to zrozumiał. Kazimierz opowiada, że jego przyjaciel prof. X. ma teraz tylko jedno zmartwienie. Umiera ze strachu, by świeżo wydany tom nie dostał się do rąk jakiegoś emigracyjnego pisarza czy publicysty. Albowiem jedna pochwalna recenzja w prasie emigracyjnej położyłaby całą pracę i przekreśliła nadzieje opublikowania zamierzonych dwóch następnych tomów.

Prof. X. powiedział Kazimierzowi na pożegnanie: „Najlepiej pominięcie moją książkę milczeniem. Jeżeli jednak chcecie koniecznie coś napisać to broń Boże nie chwalcie. Idealna recenzja w prasie emigracyjnej winna stwierdzać, że praca ma wprawdzie pretensje do zachodniości ale w grun-

cie rzeczy stanowi subtelną propagandę marksizmu i podmurowuje pozycję partii”.

Kazimierz jest zdania, że powyższa zasada winna obowiązywać na emigracji w stosunku do wszystkich prac z zakresu socjologii, psychologii i filozofii. Im dana książka jest obiektywnie lepsza, tym w prasie emigracyjnej winna mieć bardziej druzgocące recenzje. To jest jedyna przysługa jaką możemy wyświadczyć autorowi i książce.

W Londynie roi się od ludzi, którzy powrócili z wakacji spędzonych w Polsce. Nie brak również Krajowców, którzy odwiedzają tutaj swe rodziny. W jednym towarzystwie natknąłem się na starszego młodziana, z którym przemierzaliśmy niegdyś w Brygadzie Karpackiej Zachodnią Pustynię. Jest to dziś pan dobrze osadzony w siodle — mówi gęsto o „osiągnięciach” — mówi zawsze „my w Polsce” — jednym słowem typ „pozytywny”. Otóż od niego dowiedziałem się, że Gomułka i jego ludzie z ulgą odetchnęli, gdy na emigracji skończył się Październik. Podobno Natolińscy skrzętnie wycinali z prasy emigracyjnej wszystkie pochlebne wzmianki o towarzyszu Wiesławie i zebrali w ten sposób okazałe dossier. Cóż może bardziej obciążać komunistę jak pochwały emigracyjnych landlordów? Czy biała emigracja chwali kiedy uczciwych Natolińczyków? Pochwały emigracji zastrzeżone są tylko dla odchyleńców, rewizjonistów i heretyków. Jeżeli chwali emigracyjna burżuazja musi być coś z nim niedobrze.

Trzeba jednak uczciwie powiedzieć, że i na emigracji dużo pism rozumiało swój patriotyczny obowiązek i udzieliło murowanego poparcia Gomułce tytułując go niezmiennie i od samego początku agentem sowieckim. moskiewskim wielkorządcą i bezkompromisowym komunistą.

Mój krajowy rozmówca — człowiek bywały i dobrze poinformowany — dodał jeszcze, że pozycja Gomułki w Moskwie jest obecnie bardzo mocna. Fakt, że prasa emigracyjna skończyła wreszcie z żenującymi pochwałami pod jego adresem niewątpliwie ułatwił stabilizację pozycji towarzysza Wiesława.

I tak oto — Kochana Ludmiłko — wydaje mi się, że dla nas Polaków nie ma wolności. Jak długo chcesz być Polakiem, tak długo polskie więzienie wozisz ze sobą. Choćbyś mieszkał w Londynie czy w Nowym Jorku — musisz pisać grypsy — otwierać usta w przypowieściach — operować alegoriami — zatajać nazwiska — jednym słowem musisz przestrzegać zasad i przepisów ogólnonarodowej konspiracji.

Jako polonistce proponuję Ci znakomity temat do studium z zakresu współczesnego literaturoznawstwa. Za sto lat nasze prawniki w pracach magisterskich i doktorskich będą pletły nieprawdopodobnie brednie o dzisiejszym okresie. Bo de facto to jest wszystko literatura konspiracyjna i bez klucza niezrozumiała. W jednym z angielskich periodyków ukazał się krótki ale doskonały szkic Marii Danilewicz pt. „The Polish Literary Scene”. W eseju tym Danilewiczowa stara się wyjaśnić obcemu czytelnikowi polityczną technikę operowania metaforą, alegorią, przypowieścią — ilustrując swoją tezę świetnie dobranymi przykładami. Trudno nie przyznać jej również racji, gdy mówi o wielkim wpływie socrealizmu nawet na tych, którzy podnieśli bunt przeciw wszystkiemu. Weź „Cmentarze” — zastąp wszystkie minusy plusami a otrzymasz dzieło socrealistyczne.

Spotkałem tutaj również Zeta na jednym z wieczorów autorskich. Mówił, że widział się z Tobą w Krakowie przed wyjazdem. Starał się sześć

miesiący o paszport ale w końcu go dostał. Odprowadził mnie do stacji South Kensington i gwarzyliśmy po drodze o tym i o owym. Zet zastrzeżił mnie uwagą, że emigracja choruje na kompleks niższości wobec Kraju. Nie spotkałem do tej pory Polaka z Kraju, który by w ten sposób stawiał sprawę. Odpowiedziałem, że „Kulturę” chyba o to posadzić nie można. Zet był jednak innego zdania. W jego opinii już sam fakt, że dyskutowaliśmy na łamach „Kultury” możliwość „wybierania wolności” przez pisarzy krajowych jest dowodem kompleksu niższości.

Zet powiedział dosłownie: „Jeżeli wyłączyć pisarzy starszych, uformowanych przed 1939 rokiem — jak Dąbrowska, Parandowski czy Slonimski, którzy nie są ani „ludowi” ani „emigracyjni” tylko ogólnopolscy i historyczni jak Żeromski czy Sienkiewicz — jeżeli, powtarzam, tych magów wyłączyć to kogo wy nam zazdroście? Macie najwybitniejszego współczesnego poetę polskiego Czesława Miłosza. Ze starszych mieliście Lechonia a Bogu chwala macie Wierzyńskiego. Macie najciekawszego współczesnego prozaika polskiego Witolda Gombrowicza. W Kraju Gombrowicz jest na wagę złota. Za tom jego „Dziennika” można dostać tonę książek autorów krajowych. Macie Czapskiego, Hostowca, Herlinga Grudzińskiego, Bobkowskiego i nawet Hłaskę. Doprawdy — kogo wy nam zazdroście?”

W drodze do domu rozmyślając nad słowami Zeta doszedłem do wniosku, że mimo pewnego odczytania w prasie i literaturze krajowej — byłoby mi trudno sporządzić w przeciągu kilku minut listę dziesięciu pisarzy krajowych, których chciałbym widzieć wśród nas, na emigracji. Nasunęły mi się natychmiast trzy nazwiska. Ale z ustaleniem dalszych nazwisk szło mi bardzo opornie.

Nie wiem czy wiesz, że wspólna nasza znajoma Janka P. opracowuje polszczyznę, jaką mówią dzieci polskie w Wielkiej Brytanii. Nagrywa na taśmy lekcje w szkołach sobotnich i studiuje zeszyty z polskimi wypracowaniami. Będzie to jedyne w swoim rodzaju studium językoznawcze i analiza polszczyzny drugiego pokolenia emigracyjnego. Dzieci piszą przeważnie fonetycznie — to znaczy piszą dane polskie słowo tak jakby napisał je Anglik. Na przykład słowo „raj” piszą „ry”.

To jest smętny problem. Wydać się to może paradoksem, lecz dzieci politycznych emigrantów najtrudniej jest obronić przed wynarodowieniem. Obok nas mieszka niezmiernie liczna rodzina włoskiego sprzedawcy jarzyn. Są pracownicy i zamożni (samochód, telewizja, lodówka itp.). Dzieci są dwujęzyczne. Z rodzicami mówią po włosku. Przez otwarte okna ich domu płynie jak dzień długi piękna włoska mowa. Radio, płyty, piosenki. Ale między nimi a starym krajem nie ma żadnego „sporu”. Jeżdżą co roku do Włoch, stale mają u siebie jakiegoś krewnego z kraju, czytają prasę włoską i opychają się spaghetti. Nikt z nich nie ma poczucia, że jest odcięty „kurtyną” od starego kraju. Moja Droga — można całe życie mieszkać zagranicą — można kraju nie odwiedzać, ale świadomość, że każdej chwili można wsiąść w samolot i w kilkanaście godzin wylądować w Warszawie — decyduje o wszystkim. Podróż do Kraju — pomijając koszt i komplikacje paszportowe — w umyśle przeciętnego Polaka brytyjskiego jest jeszcze ciągle bardzo złożonym zagadnieniem. Na dnie duszy każdego pielgrzyma chyboce się lekki pytanie: jechać — zajadę, ale czy wrócę? Ten kompleks ugruntowany był uporczywie przez 15 lat i nie łatwo byłoby go odrobić. Polacy mieszkający od lat na tej wyspie dzielą z Brytyjczykami instynktowną nieuf-

ność do ustrojów totalnych. Przywykliśmy do poczucia bezpieczeństwa, które zapewnia ustabilizowany, uporządkowany ustrój. Brytyjczycy owo bezpieczeństwo uważają za rzecz oczywistą i zwyczajną jak zmiany pór roku — ale my do końca życia uważać to będziemy za... wielki komfort.

Przepraszam za ten nawias. Mówiliśmy o literaturze a nie o ustrojach politycznych. Fakt, że współczesna polska literatura wymaga klucza, pociągą za sobą pewne socjologiczne konsekwencje. Dam Ci przykład. Mój pokój jest załadowany niemal pod powałę polską prasą i polskimi książkami. Obserwując krąg moich znajomych doszedłem do wniosku, że literaturą i prasą krajową interesują się na emigracji tylko dwie grupy społeczne — a mianowicie zawodowcy (pisarze, dziennikarze, poloniści) oraz ludzie starzy, po sześćdziesiątce.

Moi kuzynostwo, mieszkający w tym samym domu na parterze, nie wydając grosza mogliby czytać wszystkie czołowe pisma i periodyki krajowe i niemal wszystkie książki wydawane w Kraju. Myślisz, że czytają? To jest przeciętne polskie inteligentne małżeństwo. On jest inżynierem a ona „housewife” i matką trojga dzieci. Prasa krajowa ich nie interesuje. W zeszłym roku udało mi się ich namówić i przeczytali „Złego”. I na tym koniec. Nie myśl, że to są ludzie którzy w ogóle nie czytają. Moja kuzynka korzysta z dwóch wielkich publicznych bibliotek w naszej dzielnicy i w ich mieszkaniu jest stale pięć, sześć książek w ruchu. Co to są za książki? Kryminały — „suspence novels”, książki podróżnicze, i „science fiction”. Trafiają się w tej salce książki na dużym poziomie. Moi kuzynostwo, jak większość ludzi pracy bez szczególniejszych literackich inklinacji — w lekturnie szukają przede wszystkim rozrywki. Polskich książek tego typu nie ma.

Moi znajomi spoza literacko dziennikarskiego kręgu — są śmiertelnie znużeni tematyką wojenną a krajowa literatura „problemowa” jest dla nich mało zrozumiała. Przeciętny inteligent — inżynier, lekarz czy architekt — wyniósł ze szkoły średniej dostateczny zasób wiedzy historycznej by mógł czytać i rozumieć fabułę „Popiołów”. Ale polska „październikowa” literatura jest wręcz niezrozumiała dla kogoś, kto okresu październikowego nie przeżył w Kraju lub nie przeszedł bardzo dokładnie w prasie krajowej zagranicą. Dla inteligenta, który wyjechał z Polski dwadzieścia lat temu i który prasę krajową czytuje tylko sporadycznie — „Matka Królów” czy nawet „Złoty Lis” są całkowicie nie do odcyfrowania. Na to by rozumieć angielską literaturę nie potrzeba być Anglikiem; wystarczy umieć po angielsku. Lecz na to by rozumieć polską literaturę nie wystarczy umieć po polsku.

Chodzi o jeszcze jedno specyficznie emigracyjne zagadnienie. Polak, który emigrował przed 1939 rokiem zagranicę — to nawet jeżeli przyjął obce obywatelstwo identyfikował istniejące wówczas państwo polskie z Polską. Bez względu na polityczne sympatie czy antypatie nikt nie kwestionował legalności rządu i nikt nie poddawał w wątpliwość naszej suwerenności. Do Października 1956 Polacy na emigracji uważali, że Kraj jest pod okupacją. Po Październiku sprawy się mocno skomplikowały. Można przyjąć, że 70 a może 80 procent emigrantów nie posiada jednolitego i wykrystalizowanego poglądu na Polskę Ludową. Tysiące emigrantów, którzy nie uważają Gomułki za agenta czy „narzędzie” Moskwy — równocześnie odmawiają uznania Cyrankiewicza za legalnego premiera legalnego rządu polskiego. Nawet najwytrwalsi na emigracji entuzjaści Października nigdy nie powiedzą, że



rząd warszawski jest naszym rządem. Emigracja nie utrzymuje żadnych stosunków z Ambasadą PRL. Grupka Polaków, która bywa na oficjalnych i nieoficjalnych przyjęciach w Ambasadzie PRL — to są wszyscy obywatele brytyjscy. Paradoksalność sytuacji polega na tym, że emigrant, który zdecydowany jest uznać de jure obecny rząd polski — jeżeli pragnie równocześnie pozostać zagranicą — musi przyjąć obywatelstwo brytyjskie. Tylko obywatel brytyjski może spokojnie bywać u p. Miłnickiela i bez kłopotu jeździć na urlopy do Kraju.

Emigracja jest tak niejednorodnym zjawiskiem, że wszelkie generalizowanie jest zawsze nonsensowne. Kilka dni temu był u nas na kolacji major S. Jest to starszy pan, który do tej pory nie nauczył się właściwie po angielsku. Mówi melodyjną, lwowską, niepokalaną polszczyzną. Gdy kończyliśmy kolację wpadła do nas niespodziewanie Mary K. z córeczką. Mary jest Angielką wdową po Polaku, który zginął w wypadku samochodowym przed kilku laty. Jej córeczka Kasia — śliczna jedenastoletnia dziewczynka mówi po polsku tylko kilka słów.

W pewnym momencie, gdy moja żona wniosła sakramentalną herbatę — Kasia spojrzała w otwarte drzwi kuchni i zawołała po angielsku „co tak u was ślicznie pachnie?” Ślicznie pachniał sagan z bigosem ugotowanym i przyrządzonym tradycyjnie tak jak u nas w domu, na Podhalu, przed pół wiekiem. Kasia nie dała za wygraną i pobiegła do kuchni. Poszedłem za nią i uniósłszy pokrywę zaprezentowałem jej całą okazałą zawartość czarnego kociołka. Dziewczyna uparła się, że musi skosztować tej dziwnej egzotycznej potrawy, której nigdy w życiu ani nie widziała ani nie jadła.

I oto rozegrała się powieściowa scena. Ku osłupieniu swojej matki, Kasia spałaszowała trzy talerze bigosu.

„Wie pan” — odezwała się wreszcie Mary — „to jest pierwszy wypadek w moim życiu, kiedy Kasia zrobiła coś, co jest dla mnie nie do pojęcia”.

Biedna Mary patrzyła na swoją córkę jak na kogoś obcego. Kasia nie mówiąca po polsku nagle i bez wahania przyłączyła się do grupy emigrantów, którzy tu w Londynie podtrzymują swe dziwaczne kulinarne tradycje. I to jeszcze... kapusta — symbol wschodu i biedy”.

## NIE WIEDZĄ CO ROBIĆ Z DOLARAMI

Głośna książka Dżilasa, wydana przez „Kulturę”, jest przykładem z przekładu. Ponieważ przez termin przekład rozumie się zawsze tłumaczenie z oryginału — zazaczyłem na stronie tytułowej „Nowej Klasy”, że jest to „spolszczenie”. Przekład angielski Dżilasa — robiony najwidoczniej w wielkim pośpiechu — pozostawia bardzo wiele do życzenia. Niemniej, jest całkowicie czytelny i zrozumiały. Nie wszyscy jednak tak myślą, bo oto ukazał się drugi z kolei przekład książki Dżilasa — tym razem z oryginału serbskiego. Przekładu dokonał Aleksander Lisowski, a książkę (przy pomocy Free Europe) wydał Związek Dziennikarzy R.P. Syndykat w Ameryce Północnej.

Być może przekład p. Lisowskiego — jako przekład wprost z oryginału jest wierniejszy i dokładniejszy niż spolszczony tekst wydany przez „Kulturę”. Ale na miły Bóg w tym wypadku nie chodziło przecież o tekst Biblii

ani o nieznanie dzieło Dantego, tylko o pamflet polityczny. Po co więc wyrzucać pieniądze na wydawanie książki, którą już wydano w języku polskim i obszernie omówiono tak w prasie krajowej jak i emigracyjnej. Tyle jest niezmiernie wartościowych książek w języku angielskim, które należałoby przetłumaczyć i wydać po polsku, że inicjatywa amerykańskiego Syndykatu jest całkowicie niezrozumiała. Albo ci panowie dostają od Free Europe tyle dolarów, że nie wiedzą co z nimi robić — albo wchodziły tu w grę względy prestiżowe.

„Kultura” posiada copyright na polskie wydanie książki Dżilasa. Jak wiadomo, Stany Zjednoczone podobnie jak Związek Sowiecki nie należą do Konwencji Berneńskiej. Syndykat Dziennikarzy R.P. skorzystał z tego osobliwego amerykańskiego „przywileju” i wydał swą książkę bez porozumienia się z „Kulturą”. Wszystko jest w idealnym porządku, tylko, jeżeli polscy dziennikarze w Stanach Zjednoczonych zamierzają w stosunkach z polskimi emigracyjnymi instytucjami opierać się na przepisach i zwyczajach amerykańskich — to może byłoby lepiej by skreślili litery R.P. z nazwy swego Związku, by uniknąć nieporozumień i nie wprowadzać ludzi w błąd.

LONDYŃCZYK

## Uwagi o Europie Wschodniej

### I

Okres Dwudziestolecia Niepodległości zakończył się katastrofą, zupełnym zdrzutotaniem Państwa Polskiego i innych państw Europy Środkowo-Wschodniej. Rok 1918 był rokiem wielkiego wyzwolenia. Nigdy — dosłownie nigdy — w historii nowoczesnej nie było tylu niezależnych państw w pasie Środkowo-Wschodniej Europy co w roku 1918.

Dwadzieścia lat wielkiego eksperymentu skończyło się niepowodzeniem i katastrofą. Poza nielicznymi wyjątkami żadne z tych państw nie było w stanie zabezpieczyć swych obywateli przed samowolą polityczną własnych dyktatur czy półdyktatur, przed nędzą i bezrobociem, prześladowaniem mniejszości narodowych i religijnych i przed najazdem potężnych sąsiadów. Jedyne Czechosłowacja utrzymała demokrację i stosunkowo wysoki poziom życia ludności robotniczej i chłopskiej. Ale na to częściowe powodzenie doświadczenia czeskiego złożyły się wyjątko-

we warunki geograficzne, historyczne i gospodarcze. Wysiłki stworzenia ustroju demokratycznego — trzeba to uczciwie przyznać — napotykały na wielkie trudności. W sejmach i parlamentach brakło często myśli a nawet obyczaju politycznego. Ludność, nie zawsze politycznie dojrzała, wybierała zbyt często ludzi nieprzygotowanych i nieobeznanych z funkcjami i rolą instytucyj demokratycznych. Trzeba było więcej czasu, więcej spokoju i bezpieczeństwa — by ludność i rządy mogły politycznie dojrzeć, maszynę państwową usprawnić. Okres był za krótki, by narody mogły w pełni rozwinąć swe skrzydła. Nie zapominajmy jednak, że w ramach tych dwudziestu lat niepowodzeń były także posunięcia dodatnie. W dziedzinie kultury, oświaty, ubezpieczeń społecznych, na pewnych odosobnionych odcinkach gospodarczych dokonano wielkich rzeczy. Nie zapominajmy przy tym, że katastrofa wschodnio-europejska była tylko częścią katastrofy europejskiej, co świadczy, że cały system europejski był przestarzały. Rozwiązanie zagadnień europejskich i wschodnio-europejskich wymaga wielkiej, nowej wizji.

Rządy państw Środkowo-Wschodniej Europy, gospodarczo i politycznie słabe, nie umiały stworzyć systemu bezpieczeństwa, który zapewniłby im głos w sprawach wielkiej polityki światowej. Wszystkie wystawione były na podobne — najczęściej te same — niebezpieczeństwa. Druga wojna światowa jest tego najlepszym dowodem. Nie było między nimi trwałego i mocnego porozumienia, nie umiały sprostać zagadnieniom polityki zagranicznej.

Dla Warszawy czy Krakowa — zarówno w sferach uniwersyteckich jak i wśród opinii publicznej — Bałkany, Serbia czy Bułgaria były państwami mniej znanymi niż dla Londynu. W Stanach Zjednoczonych i w Anglii było pewne, nie duże zresztą, zainteresowanie dla całej Środkowo-Wschodniej Europy. Byli pisarze jak Seton Watson, Wickman Steed, Shotwell czy Harrison-Thomson, którzy zajmowali się całym tym obszarem. Kto zaś studiował czy pisał na temat Europy Środkowo-Wschodniej w Polsce przedwojennej? Chociaż wspólne interesy narodów tego obszaru były ogromne — współpracy nie było prawie żadnej. Ciasny nacjonalizm, pogarda dla ludzi innego języka czy religii były powszechnie podtrzymywane przez instytucje publiczne. Poza słabymi załączkami Małej Ententy czy Konferencji Bałkańskiej, zamiast współpracy, były tylko spory, tarcia i ambicje. Nacjonalistyczne komitety słowackie, wespół z węgierskim i polskim rządem przyłożyły rękę do rozbioru Czechosłowacji. Klerkalny i napół faszystowski rząd słowacki czy faszystowski rząd kroacki był bazą dla niemieckiej polityki eksterminacyjnej. Węgierscy faszyci i kroaccy ustaszi, hlinkowscy — niesławną mają kartę w historii tej wojny. A w okresie międzywojennym dyktatury tych obszarów popierały irrydenty — od Macedonii aż po Litwę. Rządy owych dyktatur szukały łatwych sukcesów w podboju czy penetracji krajów słabszych, lub bardziej zagrożonych przez wielkich i potężnych sąsiadów.

Tak więc pierwszy powojenny okres niepodległości skończył się niepowodzeniem i katastrofą, co gorsza cierpieniem i biologicznym wyniszczeniem narodów. Po pierwszym okresie pasa małych, słabszych i niepodległych państw, nastąpił okres drugi — podziału Europy Środkowo-Wschodniej na sfery wpływów: — niemiecką i rosyjską. W okresie trzecim — obszar ten staje się rejonem wpływów niemieckich, w okresie czwartym — sowieckich. Tak więc, od roku 1918, Europa Środkowo-Wschodnia przeszła przez 4 okresy: 1. Pas państw niepodległych, 2. Sfera wpływów niemieckich i sowieckich, 3. Sfera wpływów niemieckich, 4. Sfera wpływów sowieckich. Obecnie nacisk sowiecki w Polsce jest lżejszy — ale nie zmienia to sytuacji.

W sumie przeszłość jest pełna niepowodzeń i tragedii. Nie należy w niej szukać wizji do naśladowania, dla wielkich rozwiązań międzynarodowych tego obszaru — chyba w jednym, ważnym sensie: — można się wiele nauczyć z błędów i tragedii przeszłości.

## II

Nie łatwo było utrzymać niepodległość na tym wielkim wydmuchowisku historii, przez które wojny przechodzą. Niektóre narody stawiały czoła wichrom, inne lgnęły do ziemi. Ale ani ostrożność, ani odwaga nie pomogły w wielkiej katastrofie. Zalew i potop były za wielkie. W tej katastrofie, by utrzymać swą odrębność, narody tworzyły legendy wielkości. Rodziły się przesadne koncepcje światowego znaczenia Słowacji, czy Rumunii, wielkości i dorobku kulturalnego Litwy, potęgi politycznej Polski.

W rzeczywistości zaś dwa wielkie systemy decydowały o przyszłości Polski czy Czechosłowacji: Rosja i Niemcy. W momencie słabości czy klęski wojennej Niemiec i Rosji, w czasie ich słabości militarnej i w okresie wzrostu nastrojów i wpływów radykalnych, demokratycznych i pacyfistycznych, jak grzyby po deszczu rosły i rozwijały się państwa Europy Środkowo-Wschodniej. Ze wzrostem potęgi militarnej i nastrojów nacjonalistycznych i imperialistycznych owych wielkich sąsiadów, ginęły niezależne państwa tego obszaru, wchłonięte przez oba imperia.

A zatem polityka Polski czy Czechosłowacji była funkcją polityki rosyjskiej czy niemieckiej. Innymi słowy — los państw tego obszaru zależał od zmian w Rosji i Niemczech, od zmian w wielkiej polityce światowej. Nie ma sprawy polskiej czy czeskiej — była i jest sprawa europejska czy wschodnio-europejska, są sprawy wielkiej polityki światowej i w nich dopiero decyduje się los poszczególnych narodów. Czynnym udział w polityce światowej całego współpracującego zespołu narodów tego obszaru mógł i może zapewnić ludności pokój i dobrobyt. Ale ciasna na-

rodowa polityka, zapatrzona w drobne sprawy terytorialne i graniczne, kierowana ambicjami nacjonalizmu prowadziła w przeszłości, i prowadzić będzie w przyszłości do katastrofy. Wybór był i pozostał — między polityką ciasną, prowincjonalną lub szeroką i światową, między polityką kierowaną przez ludzi o wąskim horyzoncie politycznym a wielkiej nienawiści do innych narodów, czy też przez ludzi o spojrzeniu szerokim, wolnych od nienawiści narodowych i historycznych, wolnych od małych ambicji. Tylko ta druga droga zapewnić może w przyszłości narodom Europy Środkowo-Wschodniej udział w budowaniu wielkiej cywilizacji i ustroju międzynarodowego świata.

### III

Obszar Europy Środkowo-Wschodniej, mimo swej słabości, ma kluczowe znaczenie w polityce światowej, ale tylko w pewnych warunkach: zespół wszystkich lub kilku narodów — tak; odosobnione narody — nie. Los poszczególnych narodów tego obszaru zależy na szali polityki światowej o tyle tylko — o ile los danego narodu zagraża także i wielkim mocarstwom. Za to cały ten obszar miał w historii świata pierwszorzędne znaczenie strategiczne, zarówno dla utrzymania pokoju jak i dla podboju reszty. Dzisiaj znaczenie to zmniejszyło się znacznie, niemniej geografia tego rejonu jest nadal kluczowa w światowej polityce pokoju i wojny. Teorię geopolityczną Wschodniej Europy sformułował geograf angielski Halford MacKinder w 1904, a wyraźniej jeszcze w 1920 roku.

U schyłku dwudziestego wieku. Amerykanin Alfred Thayer Mahan wysunął tzw. „nawalistyczną” teorię polityczną. Kontrola wód morskich — twierdził Mahan — decyduje o potęgę i o bezpieczeństwie państw współczesnych. Wielka Brytania osiągnęła swą światową pozycję przez kontrolę oceanów.

Mahan wywarł potężny wpływ na niemiecką politykę morską. Cesarz Wilhelm był jego wielkim zwolennikiem i czytelnikiem jego dzieł. Anglik MacKinder wystąpił niemalże z odwrotną teorią. MacKinder uczył, że kontrola baz lądowych decyduje o panowaniu nad oceanami. Najpotężniejszą bazą wedle niego jest kombinacja przemysłu europejskiego, oraz surowców i mas ludności Azji. Kto zapanuje nad „sercem” kontynentu — *Heartland* (Środkową Rosją) i Wschodnią Europą zapanuje także nad wyspą świata *World Island* (Azją i Europą) oraz nad światem. W roku 1920 wydał on swe klasyczne dzieło pt. „Ideały Demokratyczne i Rzeczywistość”, w którym wyluszczył w pełni swą teorię. Gdzie jest klucz do panowania nad ową wyspą świata i nad starym kontynentem, nad ową wielką przemysłową bazą gospodarczą? Kluczem tym — twierdził dalej MacKinder — jest Europa Środkowo-Wschodnia, międzymorze Bałtyku, Adriatyku i Morza Czarnego. Kto zapanuje nad tym

obszarem, ogarnie resztę Europy. Cóż bowiem pozostanie z Europy? Słaby, niewielki półwysep. Jeśli międzymorze zagarną Niemcy — wówczas otwarta będzie droga do zagarnięcia „kraju serca” *heartland'u* — politycznego serca ziemi, na Wschód od Polski i na zachód od Chin — a więc ośrodka rosyjskiego. Jeśli zaś odwrotnie, — pisał MacKinder wcześniej jeszcze, bo w 1904 roku — Rosja opanuje w przyszłości cały ten obszar, to wówczas Europa stanie się ofiarą rosyjskiej penetracji. Powstanie takiej potęgi — zapowiadał podówczas MacKinder — to koniec Wielkiej Brytanii. Tak wielka baza przemysłowa stworzy siłę militarną, której W. Brytania nie będzie mogła zrównoważyć.

Teoria angielskiego geografa jest co najwyżej hipotezą. Nie da się jej udowodnić naukowo. A jednak przyznać trzeba, że MacKinder miał niezwykle talent przewidywania. W wykładzie swym, w Royal Geographical Society, w roku 1904, przewidywał, że jeżeli jedno z tych mocarstw, Rosja albo Niemcy, opanują Europę Środkowo-Wschodnią — to wówczas armie zamorskie wylądują we Francji a potem w Indiach i na Korei. W obu wojnach światowych, gdy Niemcy opanowały Europę Środkowo-Wschodnią, armie amerykańskie wylądowały we Francji, a gdy Sowiety podbiły tę część Europy, armia amerykańska lądowała na Korei. Nie doceniał jednak MacKinder ani potęgi, ani też dynamizmu Stanów Zjednoczonych. W tym czasie w polityce międzynarodowej rolę niemal wyłączną odgrywał stary kontynent. Idee angielskiego geografa ograniczały się więc do tego obszaru.

Ideologicznie i naukowo rzecz biorąc, teoria MacKindera jest ryzykowna. Geografia nie jest przyczyną wojen i sama wojen nie rodzi. Imperializm polityczny i gospodarczy, sprzeczne interesy gospodarcze, skrajne, nacjonalistyczne ideologie składają się na warunki, które czynią z geografii obszary strategiczne. Dzięki tym czynnikom niewinne skały, role i lasy, zamieszkałe często przez ludzi spokojnych, stają się obszarem politycznie wybuchowym. Gdyby Niemcy po roku 1933, były tak pacyfistycznie nastrojone jak Kanadyjczycy, a Sowiety, partia komunistyczna i Stalin, tak pacyficzne jak rząd Meksyku, to wówczas Europa Środkowo-Wschodnia nie miałaby znaczenia strategicznego nakreślonego przez MacKindera.

W tym determinizmie geograficznym leży słabość teorii MacKindera. A jednak w danym okresie historycznym, przy określonych warunkach gospodarczych i politycznych, przy panującej ideologii imperializmu — czy to Niemiec cesarskich i hitlerowskich, czy też Rosji carskiej a potem komunistycznej — rady jego były trafne. Zachowanie niezależności tego pasa środkowego, między Rosją a Niemcami, to sprawa wojny i pokoju uczył MacKinder. MacKinder ostrzegał przed imperializmem rosyjskim i niemieckim, a jednak wywarł nań wpływ. Haushoffer, doradca Hitlera, przyjął jako podstawę niemieckich wojskowych teorii geopolitycznych teorię MacKindera, i przełożył ją na prak-

tyczną technikę i strategię, dla użytku niemieckiego sztabu Podbój tego pasa uznano za klucz do podboju świata i taka też była strategia niemiecka.

Czy dzisiaj znaczenie strategiczne tego obszaru pozostało w dalszym ciągu niezmienione? W pewnym sensie tak, w innym — nie.

Zacznijmy od przewrotu technicznego. Wynalazki, rozwój lotnictwa i pocisków międzykontynentalnych zmniejszył strategiczne znaczenie Europy Środkowo-Wschodniej. Samoloty międzykontynentalne wprowadziły w strategii nowy element — element polarny. Samoloty nowoczesne przelatują obecnie bez trudu kopułę polarną. Tak więc niezamieszkała pustynia lodowa stała się jednym, choć nie jedynym, obszarem kluczowym. I tym razem ani geografia i nieliczni mieszkańcy, ani też trzody karibu czy niedźwiedzie nie zdecydowały o strategicznym znaczeniu Arktyku, ale rozwój światowej polityki i rewolucyjne zmiany w technice.

Ale i drugą rewolucję w strategii spowodowały pociski balistyczne międzykontynentalne, czy też dalekosiężne — tzw. *missiles*. Pociski odrzutowe przekreśliły granice państw. Moskwę czy Nowy Jork obrzucić można pociskami atomowymi czy wodorowymi z bazy bardzo odległej, przedzielonej nawet oceanem.

W takich warunkach już nie tylko kopuła arktyczna, ale świat stały staję się obszarem strategicznym.

Tak więc rozwój techniki wojennej zmienił geografę polityczną świata.

Od czasów MacKindera przybyły także i inne elementy. Otóż Azja odgrywa dzisiaj rolę znaczną, pierwszorzędną w polityce światowej. Rola ta jest czynna — nie zaś bierna, jak w wieku ubiegłym. Ciężar polityki światowej przesunął się też do Azji. Na terenie azjatyckim powstają nowe, niezależne państwa. Chiny, Indie, Japonia, kraje południowo-wschodniej Azji obejmują co najmniej połowę ludności świata. Demokracje światowe stanęły dzisiaj przed zagadnieniem Chin. Jeśli Chiny kiedyś, w przyszłości, staną się krajem pokoju, jeśli zwycięży kierunek umiarkowania czy też polityki bardziej humanistycznej, pokojowej — to wówczas nie trudno będzie o współpracę. Jednakowoż obecnie, tendencje imperialistyczne wującego komunizmu otwierają zagadnienie nowe — powstrzymanie ekspansji narodu kierowanego totalistycznie, a obejmującego niemalże piątą część ludzkości — 500 milionów — Niemców było tylko 80 milionów. Chiny zagrażają dzisiaj Indiom, stając się konkurentem Sowietów w Azji.

W dalszej perspektywie, są jeszcze dwa fundamentalne elementy w rozwoju polityki międzynarodowej: masy ludzkie Azji i rewolucyjny, epokowy rozwój techniki na Zachodzie, szczególnie w Stanach. Gdzież miejsce Wschodniej Europy w takiej właśnie konfiguracji?

## IV

Zagadnienie geopolityczne zmieniło się — to prawda. Niemniej jednak pas środkowo-europejski ma nadal znaczenie pierwszorzędnej wagi. Bez państw tego obszaru Europa jest niebezpiecznie słaba. Po zajęciu Europy Środkowo-Wschodniej przez Sowiety Europa ma granicę otwartą, przy czym odrzucona została do wybrzeży morskich i zmniejszyła się do wielkości półwyspu. Federacja Europejska w takich warunkach, jest koniecznością — ale Unia Europejska, bez Europy Środkowo-Wschodniej nie może stworzyć zdrowych warunków rozwoju gospodarczego i jest już dzisiaj za małym „obiektem” wobec rewolucyjnych przemian w Azji i w Sowietach.

Ale rozwój — ogólnie tylko nakreślony — wskazuje także na konieczność integracji Europy Środkowo-Wschodniej. Dziś oczywiście — w warunkach dyktatur totalnych w tym pasie — połączenie tego obszaru nie jest możliwe. W polityce jednak dalekiej, konieczna jest regionalizacja całego tego obszaru, a więc ścisła współpraca narodów.

Formę tej współpracy trudno dzisiaj w pełni przewidzieć. W okresie wojennym idea federacyjna była popularna — a na przyszłość, w pewnym sensie, nie straciła możliwości, ale jedynie jako konfederacja w ramach związku szerszego — europejskiego. Europa Środkowo-Wschodnia, jako zespół regionalny, może konfederacyjny — w ramach Unii Europejskiej — jest rozwiązaniem przyszłości, przyszłości federalistycznej i demokratycznej. Dziś, rozwiązanie takie wydaje się jeszcze bardzo odległe. Europa Wschodnia jest częścią kultury europejskiej i oddzielić od Zachodu jej niesposób. Europa Środkowo-Wschodnia jako człon Unii Europejskiej, stworzyłaby równowagę sił — balansując wraz z Francją i Anglią na Zachodzie, siłę Niemiec, które znajdują się w pozycji centralnej. W związku z Europą Zachodnią — Europa Wschodnia może osiągnąć poziom gospodarczy, który wreszcie położy kres ubóstwu mas pracujących. Taka Europa Zjednoczona — jako część większego związku demokracji, Związku Atlantyckiego — Ameryki i Europy miałaby szanse pełnego rozwoju.

Takiego rozwiązania wymaga też nowa konfiguracja geografii politycznej.

W warunkach międzynarodowego napięcia, rozważyć należy geografę tej części Europy, także i w sensie ekonomiczno-strategicznym. Węgiel europejski rozrzucony jest w czterech wielkich basenach: 1. Wyspiarski czyli angielski; 2. Reński czyli Zachodni: Francusko-Niemiecki; 3. Śląski czyli Centralny: Niemiecko-Polsko-Czeski; 4. Wschodni czyli Dońsko-Sowiecki. Historia uczy nas, że w pewnej fazie historycznej, w fazie państwa militarne, zjednoczenie dwu takich basenów w rękach jednego mocarstwa — prowadziło do wojen i konfliktów międzynarodowych.

Mimo rozwoju techniki, przynajmniej na razie węgiel pozostał podstawą ciężkiego przemysłu. Ośrodki tego przemysłu ulokowane są w zagłębieniach węglowych — łatwo je też można obrócić w ośrodki przemysłu wojennego. Skupienie dwu lub, co gorsza, trzech basenów w rękach jednej potęgi o tendencjach imperialistycznych, jest posunięciem groźnym dla pokoju i demokracji. Państwa dzisiaj pokojowe — przemienić się mogą w potęgę ekspansjonistyczne. Przykład Niemiec wejmarskich może tu służyć za ostrzeżenie. W interesie pokoju leży więc, by żadne z pojedynczych, na pół suwerennych państw europejskich nie zapanowało nad dwoma, a tym bardziej trzema basenami.

Hipoteza czterech basenów prowadzi do prostego wniosku: utrzymanie pokoju europejskiego wymaga, by baseny te znalazły się pod administracją demokratyczną i międzynarodową, zbliżoną do federacji — a więc pod kontrolą Unii Europejskiej czy też Wspólnoty Węgla i Stali. To jest pierwsze i najtrwalsze rozwiązanie. W takich warunkach, przedstawiciele narodów pasa Środkowo-Wschodniego, uczestniczyliby w kontroli całego węgla i przemysłu stalowego Europy. Kontrola demokratyczna i federacyjna zapewniłaby zaś pokojowe użytkowanie przemysłu i górnictwa. Druga możliwość, to niezależność całego łączonego centralnego ośrodka węglowego. Ośrodek wolny i niezależny — stanowiłby element równowagi.

Europa Środkowo-Wschodnia ma więc nadal pierwszorzędne znaczenie w polityce międzynarodowej, w polityce trwałego pokoju.

Sam przez się pas ten nie może stworzyć wielkiej potęgi militarnej, natomiast jego opanowanie jest uderzeniem w Europę, redukuje ją do słabego półwyspu.

Długie i otwarte granice, potężni sąsiedzi, różnorodność narodowa, językowa i religijna tego obszaru — oto garść czynników — które czynią z tego pasa, raczej pas penetracji sąsiadów, niż pas ekspansji zewnętrznej. Powtarzamy, nie brakło wśród narodów tego obszaru, w pewnych okresach historycznych, tendencji imperialistycznych. Ale prawdziwych sił ekspansji, sił realnych, sił przemysłowo-militarnych nie ma. Jak dotychczas wielkie wojny światowe, w pierwszym rzędzie niszczyły państwa tego obszaru.

## V

Przejdźmy teraz do zagadnienia granic. Wymaga ono nowego spojrzenia. Wiele wydano dzieł naukowych, by udowodnić historyczność takich czy innych granic. Tymczasem faktem jest, że poza nielicznymi wyjątkami — takimi jak granica polsko-czechosłowacka — granice w Europie Środkowo-Wschodniej były płynne, często w ciągu wieków zmienne. Taką była granica polsko-niemiecka, polsko-rosyjska, polsko-ukraińska, czy też litew-

sko-rosyjska. Inna jest granica polsko-niemiecka w wieku IX, inna w wieku XV. W okresach wcześniejszych Słowianie posuwali się na Zachód i Południe. Wyparli na południu, na półwyspie bałkańskim, Greków. W późniejszym okresie, Niemcy wyparli Słowian. Wiele krwi przelano w walce o te granice. Restytucja, przewrócenie granic historycznych jest zupełnie niemożliwa.

Zagadnienie granic to sprawa dnia dzisiejszego i jutra, a nie dnia wczorajszego. Granice służyć muszą ludziom żywym i pokoleniom nowym, a nie, choćby najpiękniejszej, historii. Z całym szacunkiem dla niej — ale miejsce historii jest w uczuciach i umysłach ludzkich, w dokumentach, bibliotekach. Przeszłość nie może stać się łańcuchem, kajdanami wolnego człowieka. Nowoczesną funkcją granic jest ułatwianie współżycia ludzi i narodów, a nie wojna. Trzeba stworzyć nową koncepcję granic, koncepcję współżycia, nie zaś koncepcję konfliktu.

W opinii amerykańskiej ustala się przekonanie, że w sprawach granic europejskich zachować należy raczej obojętność i milczenie. Wszystkie wysiłki ustalenia granic europejskich prowadziły do komplikacji, sporów i wojen. Ani granice 1918 roku, ani też granice 1945 nie zadowolili wszystkich narodów. Dlatego wielu ekspertów amerykańskich sądzi, że granic lepiej nie ruszać. Nie ma też w Stanach Zjednoczonych, Anglii czy Francji takiego stronnictwa politycznego, które by poparło polskie granice wschodnie na granicy ryskiej, a zachodnie na poczdamskiej. W Europie jest ciasno i trudno doszukać się racji takich granic dla narodu dwudziestokilkumilionowego. Oczywiście — wielu zawoła — to granice historyczne. Ale eksperci wiedzą dobrze, że w Europie wschodniej granice były płynne. Wiadomo też, że rządy polskie, a powiedzmy sobie szczerze także i znaczna większość społeczeństwa, nie miała talentu współżycia z mniejszościami narodowościowymi czy religijnymi. Obecne granice uzasadnione są koniecznościami życia — każdy naród musi mieć teren, na którym może żyć i rozwijać się w pokoju. Teren taki winien odpowiadać potrzebom ludności w przeciętnej — w tym wypadku europejskiej — mierze. W tym sensie obecne granice polskie odpowiadają tym potrzebom. Mimo największych sentymentów — które doskonale rozumiemy — większego obszaru nie da się usprawiedliwić koniecznością stworzenia normalnych warunków życia dla 25 milionów ludzi. Obecne granice nie są historyczne — ale są granicami socjologicznymi.

Warunkiem wysokiego standardu życiowego jest gospodarka wielkich rynków gospodarczych. Małe rynki wymiany nie pozwalają na stosowanie nowych środków produkcyjnych, a więc produkcji masowej, automatyzacji, nie pozwalają wreszcie na budowę wielkich stacji energetycznych, wodnych czy atomowych. Produkcja masowa i automatyzacja prowadzi do produkcji towarów w wielkich ilościach i tanio, a może być kontynuowana tylko w warunkach ciągłego i szerokiego zbytu. Takı zbyty

zapewnić mogą rynki wielkie, które obejmują nie państwa a kontynenty. Granice państwa narodowego są sprzeczne z nowoczesną produkcją i z wymaganiami gospodarki i dobrobytu mas pracujących. Państwo narodowe może się ostać tylko za cenę wojny i nędzy społeczeństwa. Wyobraźmy sobie zautomatyzowane fabryki tkackie Łodzi — gdzież można taką masę towaru zbywać! Polska na pewno jest za mała — nawet rynek wschodnio-europejski nie wystarczy. A teraz wyobraźmy sobie, zautomatyzowane fabryki samochodowe Francji, tkackie i sprzętu kolejowego w Polsce, itd. Produkcja taka może zapewnić wysoki standard życiowy i wysokie płace, ale pod jednym warunkiem, że towar będzie sprzedany. A zbyt wymaga współpracy szerszej nie ciasnych granic państw narodowych, wymaga współpracy kontynentalnej, na wzór Europejskiej Wspólnoty Węgla i Żelaza. Innymi słowy, wyłaniają się już dzisiaj zarysy konieczności wielkich, kontynentalnych czy nawet międzykontynentalnych zespołów polityczno-gospodarczych, ponad państwowych. Dla nowoczesnej gospodarki opartej o dobrobyt ludzi pracujących państwo narodowe jest za ciasne. Funkcja granic politycznych zmienia się w takich warunkach. Powstają luźne granice rejonów gospodarczych, które przebiegają inaczej niż granice administracyjne i polityczne. Wyłania się więc i nowa koncepcja granic, która odpowiada nowym warunkom życia i nowym potrzebom.

Na tym obszarze państwo narodowe — jest więc przestarzałą formą polityczną i społeczną. Państwo narodowe nie umiało obronić narodu, a więc ludzi, przed biologiczną zagładą i nie może w przyszłości stworzyć warunków rozwoju gospodarczego, dostatku i pełnego rozwoju. Jeśli zachować pragniemy naród, jako związek ludzi o tej samej kulturze i podobnych wartościach życiowych, to trzeba stworzyć formy polityczne, wyższe, mocniejsze niż państwo narodowe, takie formy, które uchronią naród przed zniszczeniem. Państwo dawnego typu, które istniało na tym obszarze, jest dzisiaj historycznym przeżytkiem, niczym dyliżans. Państwo takie w naszych czasach przestało należycie funkcjonować. — Państwo przestało funkcjonować we Francji, doprowadziło Europę do kryzysu gospodarczego, a Niemcy do wynaturzeń duchowych. Formy polityczne przeżyły się nie po raz pierwszy w historii. Państwo oparte na wspólnocie krwi. Nowoczesne związki polityczne opierają się na wspólnocie wyższych wartości i na konieczności gospodarczo-społecznej. Wartościami takimi jest wolność, są prawa obywatelskie, demokracja. Szwajcaria składa się z różnych grup szwajcarskich czy narodowych, a wszyscy są Szwajcarami — nie poprzez związek krwi — ale przez wspólność wartości politycznych i moralnych. Brytyjski Commonwealth nie opiera się na wspólnocie krwi, ale na wspólnocie zasad i wartości. Stany Zjednoczone składają się z różnych grup narodowościowych — wiązadłem są prawa polityczne, wspólne wartości moralno-polityczne i zagadnienia gospodarczego bytu.

Naród, jako związek ludzi o podobnej kulturze, historii, tradycji i obyczajach, jako wspólnota losu odgrywał i odgrywać będzie w przyszłości wielką rolę w dziejach Europy i świata. Zachowanie narodu wymaga jednak oddzielenia narodu jako wspólnoty kulturalnej od politycznej struktury państwa. Innymi słowy — państwo dawnego typu przekazać może pewne funkcje związkowi politycznym wyższego rzędu, o charakterze ponadpaństwowym. Powstają w ten sposób związki polityczne i gospodarcze ponadpaństwowe o nowym, uniwersalnym typie więzi społecznej i politycznej. Ukazują się już dzisiaj zarysy owych związków — a więc zarysy Unii Europejskiej, Euratom, Związek Atlantycki. Te nowe formy i wiązadła polityczne są już dzisiaj drogowskazem przyszłości.

## VI

Gdzież więc szukać należy rozwiązań międzynarodowych i politycznych dla Europy Środkowo-Wschodniej. Rozpocznijmy od polityki dalekoplanowej.

Wydaje się, że rozwój wielkiej polityki światowej, wzrost tendencji federacyjnych, rewolucja techniczna, przebudzenie się narodów azjatyckich nie pozostaje bez wpływu na zagadnienia Europy Środkowo-Wschodniej. Wielkie te zagadnienia stwarzają warunki, do których polityka narodów pasa środkowego musi się jednak dostosować. Odosobnione narody tego pasa nie są elementem polityki — odosobnione państwa narodowe nie będą też mogły w przyszłości rozwiązać zasadniczych zagadnień tego obszaru. W warunkach systemu demokratycznego i wolności narodowej, właściwym kierunkiem politycznym jest integracja polityczna tego obszaru, a więc regionalizacja w odpowiedniej formie, dostosowanej do warunków. Taki odosobniony region w obecnych czasach wielkiej, międzykontynentalnej współpracy ostać się nie może jako jednostka izolowana. Regionalizacja jest więc tylko etapem koniecznym, w pewnych warunkach historycznych może i czasowym, w budowie Unii Europejskiej. Miejscem dla silnego, połączonego regionu wschodnio-europejskiego jest Unia Europejska, w której wraz z demokracjami Zachodu zbalansuje Niemcy, i stworzy warunki pokojowej współpracy wewnętrznej i zewnętrznej. Na daleką metę taki obszar, będzie pomostem między demokratyczną Rosją, a resztą Europy. Związana poprzez Unię Europejską z systemem Atlantyckim, Europa Wschodnia tworzyć będzie wiązadło współpracy między Wschodem i Zachodem. Rozwój bowiem techniki, przemiany w wielkiej polityce światowej są tak rewolucyjne, że nawet federacja europejska dawnego typu, podobnie jak i inne odosobnione federacje, nie jest już rozwiązaniem wystarczającym. Tworzą się organizacje wyższe ponad-kontynentalne — wyrazem takiego rozwoju jest Związek Północno-Atlantycki.

Nowe formy organizacyjne odbiegają od dawnych, federacyjnych typów jednoczenia. Nawet tworzenie się systemu europejskiego, przechodzi przez procesy swoiste, dalekie od dawnych, ustalonych form federalizmu.

W polityce dalekoplanowej, polityce pokojowej, zagadnienie współpracy z demokratyczną czy zliberalizowaną Rosją jest zagadnieniem zasadniczym. W żadnym wypadku rozwój ten i plany, nie mogą się opierać na jakimkolwiek programie ekspansji czy też nienawiści narodowej. Naród rosyjski — podobnie jak inne narody Związku Sowieckiego — był współtwórcą naszej cywilizacji, przyczynił się w wielkiej mierze do rozwoju kultury zachodniej. Problemem przyszłości będą zagadnienia polityki pokoju i współpracy. Bliska współpraca Europy ze Stanami Zjednoczonymi w Związku Atlantyckim jest koniecznością gospodarczą i polityczną. Dzisiejsza ścisła współpraca między Anglią a Stanami na polu nauki i badań naukowych jest także wskazówką przeszłej, najbliższej współpracy, bo jest ona warunkiem pokoju i dobrobytu mas. Ale współpraca ta, dzisiaj obronna, nie ma charakteru ekspansji. Tylko zasadnicza zmiana polityki rosyjskiej, liberalizacja i demokratyzacja systemu, stworzyć może warunki nowego rozwoju stosunków międzynarodowych między Wschodem a Zachodem.

Feliks GROSS

## AMERYKA-ECHO

*Niezależne Pismo Tygodniowe  
Pod Nowym Zarządem i Kierownictwem*

Daje poważne i wnikliwe artykuły o Polsce i o pracy dla Polski zagranicą. Dział dla Kobiet, Pogadanki z Czytelnikami, Kącik dla Wszystkich, informacje naukowe, powieści, poezje, humor. Czternaście stron doskonałej lektury. Roczna prenumerata w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie \$7.00, w Europie \$7.50, w Ameryce Południowej \$6.50, w Australii \$7.50.

Wysyłamy bezpłatnie egzemplarze okazowe.

*Największa Księgarnia polska w Stanach Zjednoczonych  
— Na składzie ponad 270 tysięcy tomów książek.  
Posiadamy także przedstawicielstwo książek „Kultury”.*

Po informacje pisz:  
AMERYKA-ECHO, INC.

1154 Nebraska Avenue  
Toledo 7, Ohio  
U. S. A.

## Sprawy i troski

### Polacy w Szkocji (2)

OKOLICE PODKRAKOWSKIE — GALASHIELS

SPK w Edynburgu, choć dość dawno już utraciło status macierzystego, okręgowego koła, wciąż jeszcze wykazuje opiekuńcze instynkty w stosunku do niektórych małych okolicznych ośrodków. Takie Galashiels to oczko w głowie dr. Mgleja. Na czas naszego pobytu w Edyburgu przypadło zakończenie roku w Szkole Sobotniej w Galashiels. Pojechaliśmy więc tam zabierając ze sobą dr. Mgleja i płk. Morbitzera, z magnetofonem potężnych rozmiarów i wagi. Z magnetofonem, własnością SPK, wieźliśmy nagrane na taśmie rozrywkowe audycje Free Europe. Płk. Morbitzer, trzeba tu dodać, stał się już swego rodzaju instytucją w Szkocji: nie ma w Szkocji prawie ośrodka, gdzie by nieznanne były jego „wieczorki przy magnetofonie”.

W Galashiels wystąpić miał z rewią Hemara, ponieważ jednak taśma przysłała tuż przed odjazdem, poza tytułem, nie znałszy jej zawartości.

Galashiels to zapadła miejscina, leżąca z dala od uczęszczanych szlaków, choć w prostej linii odległa od Edynburga nie więcej niż 30 mil. Szosa wijąca się wśród falistego, mokro-zielonego krajobrazu, doprowadziła nas do celu w przeciągu półtorej godziny.

Wjechaliśmy w miasto brzydkie w sposób prawie sympatyczny, murowane, proste, pozbawione wszelkiej kokieterii. Odnaleźliśmy miejscową szkołę, gdzie odbyć się miała impreza. W murowanym budynku drewniane schody zawiodły nas na drewnianą podłogę długiej i gołej sali, zakończonej dość dużą sceną. Jest już trochę ludzi. Poznajemy kierownika Szkółki, p. Ochojno, i nauczycielkę, 18-letnią pannę Bzowską, która rok temu przyjechała z Polski. Szkółka w Galashiels istnieje dopiero od trzech miesięcy. Powstała w dużym stopniu dzięki inicjatywie

i poparciu dr. Mgleja. SPK w Edynburgu zakupiło elementarze i wspiera Szkółkę finansowo. Na lekcje uczęszcza 20 dzieci, prawie wszystko z małżeństw mieszanych, — i rzecz ciekawa: trzy mamy-Szkotki. Eksperyment z matkami, można już dziś powiedzieć, udał się całkowicie. Obecność na ławkach osób starszych pomaga utrzymać w klasie dyscyplinę i nadaje Szkółce w oczach dzieci autorytet, którego brak jest częstą bolączką innych polskich Szkół. Większość dzieci przyszła do Szkółki bez znajomości języka polskiego.

Część formalną otworzył kierownik Szkółki krótkim, do-rzecznym przemówieniem po angielsku, w którym podkreślił, że przyszłość Szkółki zależna jest przede wszystkim od poparcia jej przez rodziców. Na tle podnieconych głosów zza kurtyny, po polsku i równie krótko, przemówiła panna Bzowska. Rozsunęła się kurtyna — ukazując ustawioną w rzędy grupę dzieci od lat 3 do mniej więcej 12.

Przedstawienie zaczęło się od deklamacji. Renata, dziewczynka na wakacjach z Polski, recytuje „Pozdrowienie z Tatr” Tetmajera ze swobodą urodzonej primadonny. W porównaniu z tą wirtuozerią, skupiona, pełna wysiłku recytacja dzieci miejscowych wywarzała kontrast aż bolesny. Chuda, długonoga Katarzyna, o szkockiej urodzie i szkockim „r”, deklamuje „W środku ogródka”. Następnym punktem programu jest odśpiewany chórem Krakowiak. Za kulisami p. Ochojno wydobywa symboliczne dźwięki ze skrzypiec, które, jak się potem przyznał, trzymał w ręku po raz pierwszy od lat 18.

Na scenie najmłodsza z aktorek, kędzierzawa, trzyletnia może dziewczynka, klaszcze do taktu w dłonie. Na widowni mamy się cieszą. Dalej, szczerbata Frieda mówi wiersz o „Czarnym Baranie”, który w jej wykonaniu brzmi jak nieznanne jakieś egzotyczne zwierzę. W czasie tej deklamacji, brat Friedy, stworzenie może półtoraroczne, w długich, wełnianych „getrach”, wybiegł na środek sali i poznając siostrę, z wielką uciechą wrzasnął: „Frieda”! Siostra, zamiast odpowiedzieć, dalej wydawała niezrozumiałe dźwięki. Starsi się roześmieli. Chłopak powtórzył okrzyk, tym razem rozbrzmiewający zdziwieniem. Kiedy wciąż nie było pożądanej reakcji, zawołał znowu. Aż do końca przedstawienia rozlegały się raz po razie głośne „Frieda” — coraz bardziej gniewne i agresywne. Ponowna przekładanka recytacji i śpiewu zakończyła przedstawienie. Płk. Morbitzer, ku wielkiej uciechu dzieci i rodziców, odegrał wszystko raz jeszcze z magnetofonu, a my zasiedliśmy do zastawionych stołów. Przy stole, po zaspokojeniu pierwszego głodu, rozmowa potoczyła się łatwo.

W samym Galashiels mieszka nie więcej niż 50 Polaków, ale w okolicy w każdej wiosce natrafić można na parę polskich rodzin. Wszyscy miejscowi Polacy pracują w przemyśle tkackim. Galashiels to miasto, w którym jeśli się nie jest właścicielem fabryki, jest się robotnikiem. Z Polaków na tym terenie tylko jeden, p. Włastowski, obywatel ziemski z Polski, dorobił się

własnego warsztatu. P. Ochojno, który w St. Andrew's ukończył ekonomię, pracuje obecnie jako specjalista od porównywania grubości nitki. Ci dwaj, i panna Bzowska, to bodajże całość miejscowej inteligencji.

Jedyną polską organizacją w Galashiels jest Koło SPK, grupujące zresztą tylko część miejscowej Polonii. Wielu na namowy wstąpienia do Koła, odpowiada odwiecznym: „a co mi to da?” Być może już wkrótce Szkółka dostarczy na to pytanie odpowiedzi.

Co roku SPK urządza tu obchody 3 Maja, 15 sierpnia i 11 listopada; jedną zabawę, opłatek i święcone. Klub SPK afiliowany jest do miejscowego Arts Club'u dzięki czemu wynajmuje, skromny wprawdzie, pokój za sumę £5.0.0. rocznie.

Nim wstaliśmy od stołu, zjawił się na sali miejscowy szkocki proboszcz. Przywitał się, w rozmowie z nami wyraził przekonanie, że miejscowi Polacy powoli zatracają swoją odrębność, że już wkrótce staną się Szkotami, potem znikną. Na zakończenie części formalnej, prezes SPK, młody robotnik, p. Paliczka, podziękował parze nauczycielskiej za pracę, mówiąc — na złość proboszczowi — dobrą polszczyzną, logicznie i jasno budując zdania. Część zebranych wyszła, reszta obsiadła magnetofon, na który właśnie płk. Morbitzer kładł taśmę z Hemarem. Program okazał się wielkanocną rewią. W lipcowej zadumie wysłuchaliśmy kolejno: Hemara, Toli Korian, Jadzi Czerwińskiej i Władzy Majewskiej życzących nam „Wesołego Jajka” — „Wesołych Świąt”! Po czym zabraliśmy magnetofon z Hemarem, pożegnaliśmy gospodarzy, składając im życzenia bardziej — miejmy nadzieję stosowne — i załadowaliśmy się do samochodu.

Z powrotem do emigracyjnego Krakowa.

## OKOLICE PODKRAKOWSKIE — FALKIRK

Na drugi dzień po wypadzie do Galashiels, wyjechaliśmy znów w teren; tym razem w kierunku północno-zachodnim, do Falkirk. Za przewodnika służył nam znowu uczynny dr Mglej. W Falkirk zresztą mieliśmy już znajomego. W Edynburgu odbyliśmy długą rozmowę z proboszczem Falkirku, ks. Drobina. Wiedzieliśmy już od księdza o sporze Parafia — SPK, o dwóch konkurencyjnych domach; mieliśmy już jego niezbyt pochlebną opinię o Klubie Kombatanta.

Obliczenia ilości Polaków zamieszkałych w Falkirk z okolicami wahają się od 500 do 800 osób. Co najmniej 200 z nich, to górnicy. Reszta pracuje w stalowniach, przemyśle średnim lub rzemieśle. Zarabiają wszyscy nieźle, górnicy najlepiej. Zarobki w kopalniach „na fejsie” sięgają £ 25.0.0. tygodniowo. Przez pracodawców robotnicy polscy są cenieni wysoko. Absen-



cja wśród Polaków jest rzadkością, a pracują wydajniej od tubylców.

Falkirk to środowisko czysto proletariackie. Polaków na stanowiskach inteligentnych (urzędnicy, inżynierowie) policzyć można na palcach. Zdawałoby się, że w tego rodzaju ośrodku spory polityczne nie powinny odgrywać żadnej roli. Tymczasem, przynajmniej w okresie Rozłamu, rzecz się miała inaczej. Ks. Drobiną sympatyzował z Zamkiem, SPK formalnie stało po stronie Zjednoczenia. Wydaje się zresztą, że w Falkirk podziały polityczne były tylko wygodnymi czapkami dla konfliktów całkiem innej natury. Od Ks. Drobiny słyszeliśmy, że w Klubie SPK skupiają się małżeństwa dzikie, zawarte w zborach protestanckich, lub w urzędach stanu cywilnego. Kombatanci znów narzekali, że ksiądz całe życie społeczne uzależnić chce od parafii. Przez lata toczyła się podjazdowa, ukryta wojna. Oficjalne stosunki między SPK i Parafią były mniej więcej poprawne. W roku 1954 miały nawet miejsce rozmowy na temat kupna wspólnego domu, którego brak odczuwano. Patrząc z zewnątrz trudno się dziś zorientować, kto ponosi odpowiedzialność za stan obecny. W każdym razie, zamiast jednego, kupiono dwa domy. Jeden mieści Klub SPK, drugi administrowany jest przez ks. Drobinę. Obydwa mają bar i restaurację, obydwaj przyciągają klientów tymi samymi metodami.

Odwiedziliśmy najpierw Dom SPK. Dom stoi na uboczu, w środku utrzymany jest czysto i porządnie, ma natomiast jedną wielką wadę — brak dużej sali. W korytarzu na tablicy ogłoszeń w oczy rzuca się zawiadomienie: „Wycieczkę autobusem nad morze urządza Koło SPK Nr 36 w Falkirk, dnia 27 lipca 1958, godz. 13. Dużo niespodzianek dla dzieci i starszych. Przygrywać będzie orkiestra kol. Kordy. Lista zgłoszeń u kol. Szygały”.

Ściana pokoju sąsiadującego z barem ozdobiona jest „freskiem”, przedstawiającym, jak nas przekonywano, Morskie Oko. Na nas robi to wrażenie raczej szkockiego „Loch'u”. U dołu widniał podpis: Kondzella. P. Kądziała, mieszkający w pobliżu Falkirk, ma jako malarz spore wzięcie także u Szkotów. Dekorował on m.in. „Blue-Bell” — jeden z większych miejscowych barów.

Poczęstowano nas obiadem. Mała restauracyjna salka pomalowała się zapelniała. Schodzili się, rzecz uderzająca, sami mężczyźni w wieku lat 35 — 40. Zjawił się też miejscowy dowcipniś, przedstawiając się nam jako kawaler od urodzenia. Kobiet nie było. Częstują nas trudną do uwierzenia informacją, że w Falkirk 75 procent Polaków żyje w kawalerskim stanie. Polek nie ma, a ze Szkotkami na tym terenie małżeństwa jakoś nie kojarzą się łatwo. Być może gra tu rolę fakt, że wielu miejscowych Polaków to Ślązacy, którzy na Zachód dostali się poprzez armię niemiecką, organizację Tod'a lub roboty przymusowe, i do Szkocji przybyli już po okresie bratania się z tubylcami. Tymczasem,

lata mijają. Przed kilku jeszcze laty istniała tu polska drużyna piłki nożnej, ale uganiecie się za piłką dla kawalerów pod czterdziestkę jest już zajęciem zbyt męczącym i nie licuje z powagą tysięcących głów. Istnieje polska orkiestra, dwa razy do roku odbywają się w wynajętej sali huczne zabawy, gromadzące go do 120 osób, w tym niestety niewiele panien na wydaniu.

Dom SPK przynosi spory dochód. W roku 1957-58 czysty zysk wyniósł £ 625, z czego 2/3, zgodnie z umową, odprowadzono do Londynu, a resztę otrzymało miejscowe Koło. Jak już z tych cyfr widać, konkurencja Domu Parafialnego w płaszczyźnie handlowej nie przedstawia problemu. „Lepiej nawet”, mówi ktoś z zebranych, „że są dwa domy. Niech tam chodzą łobuzy, niech się nimi policja interesuje, to tu będzie przyjemniej”. Zresztą sporo ludzi chodzi i tu i tam. Sam prezes Koła, p. Grzanka, wytrawny widać dyplomata, jest jednocześnie prezesem Komisji Rewizyjnej Domu Parafialnego. SPK wspomaga finansowo istniejącą przy Parafii Szkołę, a w roku ubiegłym wpłaciło £ 25.0.0. na utrzymanie duszpasterza. Otwarta wojna pomiędzy Domami już się chyba kończy, znów przybiera formę złośliwych wycieczek raczej, niż głośnych awantur.

Dom SPK w Falkirk, mówią zebrani, dobrze wypełnia swoją rolę. Sprawnie też funkcjonuje Koło. Być może obfitość kawalerów w dojrzałym wieku sprawia, że chętnych do pracy społecznej jest sporo. Czy od SPK jako organizacji chcieliby czegoś więcej? „Tak” — mówi p. Grzanka. „Należałoby rozbudować fundusz samopomocy, można by wtedy pomagać ludziom materialnie. Niech każdy z Domów SPK wpłaci po £ 100. Z uzyskanego funduszu można wypłacać pożyczki na 5 procent na pokrycie hipoteczne”. P. Grzanka, miejscowy górnik, mówi o tym, jak ktoś kto gruntownie już całą sprawę przemysłał.

W podobnej formie wypowiada się i na inne tematy. Powinno być na emigracji ogólna, czysto społeczna organizacja. (Głos z sali: „Czyś ty zwariował? Jedna organizacja dla wszystkich Polaków!”). Partyjność w SPK jest szkodliwa. Słuchał tego dr Mglej, wybitny członek Stronnictwa Narodowego, słuchałszy my, i chyba wszystkim nam zaimponowała spokojna pewnością siebie, z jaką się ci ludzie wypowiadali.

Pytamy się ilu by wróciło do Polski, gdyby zmieniły się stosunki polityczne, a warunki materialne się poprawiły? Ktoś odpowiada, że zostanie tu co najmniej 80 procent. P. Grzanka twierdzi, że powróciłoby w każdym razie mniej, niż 50 procent. „Komu by się chciało w tym wieku zaczynać życie w Polsce od początku?” „Pojechać na wakacje, to co innego”.

Chęć wyjazdu na urlop stopniowo przełamuje opory wobec przyjmowania obywatelstwa brytyjskiego.

Przy deserze nastrój już jest na tyle intymny, że zostajemy obarczeni misją namówienia władz centralnych SPK w Londynie do otworzenia Biura matrymonialnego. Czas, aby centrale londyńskie zajęły się w końcu rzetelną społeczną pracą.

Nawet najdłuższy i najciekawszy obiad musi się kiedyś skończyć, a do tego czeka na nas Ks. Drobina. Podziękowaliśmy więc, pożegnaliśmy się, i pojechaliśmy do konkurencji.



Ks. Drobina przywitał nas serdecznie, oprowadził po swojej restauracji i barze, po czym zabrał nas na pierwsze piętro do kancelarii. Kancelaria elegancka, ale w nieładzie typowym dla ludzi czynnych, odbijała osobowość człowieka, który jednoczy w sobie funkcje duszpasterza i kierownika Domu. Stół, fotele, na ścianach krucyfiks, wizerunki Serca Jezusowego, Madonny i Świętych, pod ścianą oszklone półki z bogato oprawnymi książkami na tematy religijne, a na biblioteczce lalka w zielonej sukni i na stercie papierów płyta z modnym szlagierem: „I am in the mood for love”.

Sam ksiądz, niski blondyn, na przemian spokojny i nieoczekiwanie żywy, ruszał się po domu jak udzielny książę po swym zamku, złączony z nim sentymentem, zasiedziały od pokoleń, pewien swych praw. Trudno się zresztą dziwić. Ks. Drobina na teren Falkirk przybył w 1948 roku, sam zorganizował parafię, i sam ją od tego czasu prowadzi. Kiedy po raz pierwszy w miejscowej sali parafialnej odprawiał mszę, zjawilo się Polaków może z tuzin, choć według gazet szkockich było ich wtedy w Falkirk półtora tysiąca. Odzwyczailli się, mówi ksiądz, od duszpasterza i religii. Już kilka miesięcy potem przychodziło od 60 do 70 osób. W pierwszych latach pracę ułatwiał zyczliwy stosunek miejscowego szkockiego proboszcza, ks. kanonika Welsha, ale po jego śmierci, w 1954 nastąpił kryzys. Nowy proboszcz nieomal że wymówił ks. Drobinnie gościnę. Zaistniała wtedy konieczność kupna domu, w którym znaleźliby pomieszczenie duszpasterz, mała kaplica i polska szkołka. Zebrano na ten cel £ 500, zaciągnięto dotychczas jeszcze nie spłaconą pożyczkę, i jest dom. Prawnym właścicielem Domu jest Polska Misja Katolicka w Falkirk. Nikt inny nie ma do niego żadnych praw.

Rozmowa schodzi na tematy ogólne. Ksiądz Drobina twierdzi że duszpasterz na emigracji wykonywać musi także funkcję społeczną, i stąd podwójna ciężar na nim odpowiedzialność. Nie widzi natomiast konfliktu w wypadku kiedy nie-katolicy znajdują się na terenie parafii. Dzieci nie-katolików w Szkółce katolickiej nie muszą przecież uczęszczać na lekcje religii. Zresztą, mówi ksiądz, kto zerwał z wiarą katolicką, ten zerwał i z polskością.

Mieszka w Falkirk przedwojenny dziennikarz z redakcji IKC'a, który ożenił się tutaj ze Szkotką, przeszedł na protestantyzm, i teraz chodzi „z wielkim protestanckim bookiem pod pachą”. Polaków oczywiście unika. Stanowisko Kościoła w takich wypadkach jest jasne: Polak, który bierze ślub w kościele niekatolickim, automatycznie podlega ekskomunice, a więc przestaje być katolikiem.

Zdaniem Księdza, tylko parafia ma szanse utrzymania polskości na emigracji. Dowodem jest tu dla Księdza Polonia Amerykańska.

Zrobił się brzydki, szkocki, błotnisty zmierzch. Wypiliśmy pośpiesznie herbatę, wskoczyliśmy do samochodu, zostawiliśmy za sobą Falkirk, a w nim dwa Domy Polskie, własne — dwa zamki.

Jechaliśmy do Kircaldy.

## OKOLICE PODKRAKOWSKIE — KIRCALDY

Kircaldy, spore przemysłowe miasto i port, rozciąga się na północnym brzegu zatoki Firth-of-Forth, naprzeciw Edynburga. Polaków jest w Kircaldy około 350, skupiła się tu mniej więcej połowa Polonii z całego hrabstwa Fife. Część z nich to górniczy; wielu pracuje w zakładach linoleum, niektórzy w stoczniach. Jest także, jak wszędzie, garść sklepikarzy i rzemieślników. Swego czasu najchętniej szli do świetnie płatnej pracy w stoczniach, ale niestety, duże wpływy komunistów w miejscowych Związkach zawodowych dały się na tym terenie we znaki. W stoczniach obowiązuje zasada „closed shop”, każdy robotnik musi być członkiem związku. Jednocześnie istnieje dyskryminacja wewnątrz samego związku. Lokalne komórki wymogły na zarządzie General and Municipal Workers Union zasadę, że w razie spadku produkcji, zwalniani są w pierwszej kolejności cudzoziemcy, a więc Polacy. Znalazło to odbicie w praktyce. Zwalniano Polaków parokrotnie, a w 1952 roku, kiedy Kircaldy przeżywało ekonomiczny kryzys, większość Polaków znalazła się bez pracy. Fakt, że robotnik polski ceniony jest przez pracodawców, nic tu nie pomógł.

W niektórych wypadkach jedynie przyjęcie obywatelstwa umożliwiłoby pracodawcom zatrzymanie tak dobrego robotnika. Ostatnio sami Polacy rzucają pracę w stoczni, szukając pracy może gorzej płatnej ale pewniejszej. Tak na przykład w fabrykach linoleum obowiązuje zasada zwalniania proporcjonalnego do liczby robotników danej narodowości, i Polacy cieszą się tam na ogół zyczliwością i pracodawców i szkockich kolegów.

Niepozabawionym pikanterii jest fakt, że hrabstwo Fife, twierdza brytyjskiego komunizmu, jest jednocześnie szkocką twierdzą emigracyjnego Stronnictwa Narodowego. W miejscowym Kole SPK prym dźwierzą endecy (choć obecnie prezesem Koła jest Zamkowiec, który zdołał pozyskać sobie poparcie Narodowców). W kolportażu prasy „Myśl Polska” zajmuje drugie miejsce po „Dzienniku”. W rozmowie członkowie SN na ogół się zgadzają, że idee Stronnictwa nie mają już szans przyciągania na emigracji świeżych ludzi, ale, twierdzi p. Polański, głowa

tutejszych narodowców, stronnictwa odgrywają na uchodźstwie pozytywną rolę dzięki temu, że nie mogąc wyżyć się politycznie w sposób naturalny, cały swój dynamizm wkładają w pracę społeczną. Na przykładzie miejscowego Domu Kombatanta mieliśmy okazję sprawdzić, że przynajmniej w jednym wypadku słowa p. Polańskiego nie są czystą teorią. Nie spotkaliśmy nigdzie w Szkocji tak wzorowo, tak pedantycznie prowadzonej administracji. Podziwialiśmy kompletną kartotekę, listę składek, wykazującą 100 procent płatności członków, porządek panujący we wszystkich kątach Domu. Na innych polach ten endecki ład okazał się dla nas mniej interesujący. Na pytania natury bardziej zasadniczej otrzymywaliśmy tyrady brzmiące jak przygotowane dla prasy wypowiedzi osób oficjalnych. Kiedyśmy powtórzyli pytanie, postawione uprzednio w Falkirk, ilu Polaków wróciłoby stąd do Kraju przy zmienionej sytuacji, odpowiedź brzmiała: „Wszyscy!”

Miejscowe Koło ma 180 członków, Klub 223. Ta dziwna różnica tłumaczy się faktem, że do Klubu przyjmowani są Szkoci. Statutowo liczba nie-Polaków w Klubie nie może przekroczyć 1/3. Regularność w płaceniu składek zapewniona jest przez wyznaczenie kolektorów we wszystkich fabrykach, gdzie pracują Polacy.

Jako ciekawostkę można dodać, że polskich tańców narodowych uczy przy Klubie Szkotka. Natomiast frekwencja dzieci w tutejszej Szkole Sobotniej jest raczej słaba.

Sam Dom SPK to już nie Dom, a rezydencja! Wjeżdża się do niego jak do pałacu, przez szeroką bramę, przecina się zapuszczony stary ogród, by w końcu ujrzeć spory, szary budynek. Pod dachem wyczytać można koślawą datę — 1689. Rzecz nie do uwierzenia — na oko można by ocenić wiek budowli na lat 100 — 120.

Do wiarygodności daty przekonuje nas informacja, że w czasie odnawiania jednego z pokojów, zdarto ze ściany 34 tapety! Wnętrze Domu zostało odnowione całkiem nowocześnie. Dom mieści 2 bary, restaurację, dość dużą salkę taneczną, kancelarię administracji i bibliotekę (czytelnictwo słabe) i pokój dla grających w karty — kobietom wstęp wzbroniony. Krzyżują się tu dosadne ciężkie słowa, ludzie wyraźnie przychodzą po to, żeby sobie ulżyć. W Kircaldy nawet nieparlamentarne słownictwo ujęte jest w ramy organizacyjne.

Dom zakupiony w 1954 roku, nie jest jeszcze kompletnie urządzony. Obszerny ogród wymaga szczególnie dużego wkładu pracy. W tej chwili wpływy i rozchody się równoważą. Uniknięcie tymczasowego deficytu jest zasługą miejscowych członków, którzy bezpłatnie wykonali wiele prac związanych z remontem.

Zrobiło się późno. Musieliśmy się żegnać, żeby zdążyć na ostatni nocny prom przez zatokę. Idąc przez ogród do samochodu oglądamy przez szerokie okna Domu polsko-szkockie pary tańczące przy dźwiękach rock-an'-rolla. Symbol wynarodowie-

nia? — może. Choć pamiętać warto, że tak samo tańczą teraz w Polsce.

Wracamy do Edynburga. Jutro jedziemy dalej na północ.

## PERTH I OLD SCONE

Wyjechaliśmy z Edynburga wczesnym popołudniem, akurat w momencie gdy po czterodniowej niepogodzie zrobił się ciepły, słoneczny dzień. Tym razem nie był to jednodniowy, zaaranżowany uprzednio wypad. Pożegnaliśmy emigracyjny Kraków na dobre. Jechaliśmy uzbrojeni jedynie w parę adresów. Nie było już z nami czynnego dr Mgleja. Opuszczaliśmy względnie utarte, podkrakowskie szlaki. Zdawaliśmy się w większym niż dotychczas stopniu na szczęśliwy traf i własny węch.

Bezpośrednim celem podróży był dla nas New Scone, wieś o parę mil odległa od Perth. Szczęście nam dopisało. Panią Jarmulską, o której jeszcze w Londynie słyszeliśmy, że jest głównym działaczem na tym terenie, zastaliśmy wraz z mężem w domu. Okazało się poza tym, że p. Jarmulski w Polsce przed wojną znał dobrze rodzinę jednego z piszących te słowa. Trafiliśmy też na dom ogromnie gościnny. Minał wieczór, noc i rano dnia następnego, zanim wyruszyliśmy dalej. Ta gościnność rodaków przestawała zresztą już nas dziwić, spotykaliśmy się z nią na każdym kroku.

W pobliżu domu Państwa Jarmulskich stoi okazały budynek, miejscowej szkoły, którego fronton zdobi rzucająca się w oczy i dobrze widoczna z biegnącej obok drogi, płaskorzeźba orla — pamiątka po stacjonowanych tu kiedyś oddziałach wojska polskiego. W samym budynku mieściło się kiedyś polskie gimnazjum, a miasto Perth było, obok Glasgow i Edynburga, jednym z centrów polskiej działalności wydawniczej w okresie wojny. Drukowano tu m.in. pismo „Co słyhać”, wzorowane na amerykańskim „Reader's Digest”, popularne swego czasu wśród żołnierzy.

Dziś w Perth z okolicami mieszka około 200 Polaków. Część z nich pracuje w rzemiośle, część jako robotnicy budowlani, inni w pralniach i farbiarniach. Jest także kilku właścicieli sklepów: trzech ma sklepy kolonialne, jeden — sklep wyrobów skórzaných, jeden — tytoniowy, a jeden sprzedaje turystom szkockie pamiątki. Całe życie społeczne i lwia część życia towarzyskiego skupia się w Klubie SPK. Wynajęty, skromny lokal, otwarty jest wieczorami w piątki, soboty i niedziele. Jest tam bar, zagrać można w bridge'a, odbywają się czasem zabawy i imprezy kulturalne. Raz na miesiąc zagląda tu ks. Drobina z Falkirk, by odprawić polską mszę, wysłuchać spowiedzi. Przed paru laty istniała w Perth Szkoła Sobotnia, niestety wyjazd jedynego nauczyciela

przerwał naukę. W tym roku jednak odbyło się zebranie, z udziałem Inspektora Szkół Sobotnich, p. Maja z Edynburga, na którym dyskutowano możliwość ponownego otwarcia szkoły.

Pani Jarmulska jest prezesem tutejszego Koła Związku Rolników Polskich. W tej części Szkocji było kiedyś dużo polskich farmerów, dziś pozostała ich zaledwie garstka. Większość wyemigrowała do krajów zamorskich, część przeniosła się do miast. Koło Związku Rolników to instytucja przede wszystkim towarzyska. Zjazdy odbywają się kolejno w domach rozrzuconych w terenie członków; wymiana doświadczeń i poglądów następuje w trybie nieformalnej towarzyskiej rozmowy.

Z jakieś dwie mile od New Scone leży Old Scone, niegdyś miejsce koronacyjne szkockich królów, obecnie siedziba Lorda Mansfield. Tutaj, wewnątrz wysokich murów, w ogromnym, starym parku, na 6-ciu akrach ziemi dzierzawionej od Lorda Mansfield, trzech Polaków prowadzi „ogród handlowy”, to znaczy hodowlę jarzyn i kwiatów. Jednym ze współników jest p. Jarmulski.

Sześć akrów — to brzmi ubogo, ale jak na ogród handlowy, jest to powierzchnia imponująco duża. Wystarcza jej w każdym razie aby wyżywić jarzynami cały Perth, miasto przeszło czterdziestotysięczne. Spółka z Old Scone ma dziś monopol na dostawy do Perth: oznacza to, że od Polaków biorą jarzyny cztery hurtownie i dwadzieścia sklepów detalicznych. Ewentualna nadwyżka wysyłana jest do Dundee. Poza tym współnicy sprzedają co roku kilka tysięcy skrzynek rozsady kwiatowej. Przedsiębiorstwo mocno dziś stoi na nogach, a różnorodność produktów redukuje ryzyko.

Początki były oczywiście trudne. Trzej współnicy ukończyli zorganizowany w Szkocji w ramach PKPR'u kurs rolniczy. Wśród dzierzawionych przez Szkołę Rolniczą gruntów był też ogród w Old Scone. W roku 1948 kurs zamknięto, choć nie wygasł jeszcze kontrakt na dzierżawę. Wspólnicy przejęli kontrakt, przedłużyli go, zakupili narzędzia od SPK, nabyli na licytacji za £ 30.0.0. konia z wozem i rozpoczęli uprawę. Doświadczenia rolników z Polski na nic się tu nie przydawały. Inny klimat wymaga zupełnie innej techniki uprawy; co — nawiasem mówiąc — było jednym z powodów ucieczki polskich farmerów do miast. Organizacja zbytu też, oczywiście, w niczym nie przypomina polskich stosunków. Glasgow, największy rynek jarzyn i kwiatów w Szkocji, jest dla małego producenta praktycznie niedostępny. Kupcy z Glasgow tworzą siwę z londyńskim rynkiem na Covent Garden i nadmiar jarzyn z tego ostatniego nocnymi pociągami przewożony jest do Glasgow.

Rano ten nieświeży produkt sprzedawany jest w Glasgow po cenach dumpingowych. Wynikają z tego nieraz smutne konsekwencje dla małego producenta. W pierwszych latach gospodarki zdarzyło się, że ogród z Old Scone wysłał do Glasgow transport selerów, wartości, wg ówczesnych cen rynkowych, oko-

ło £ 150.0.0. Nie wiadomo jaką sumę selery zrealizowały, ale współnicy otrzymali ostatecznie £ 3.0.0.

Tego rodzaju „transakcji” niesposób było uniknąć. Doświadczenia takie mają jednak swoją wartość, każdy uczy się na swoich błędach.

Inteligentne wyciąganie wniosków z własnych błędów i duży wkład pracy zaczęły z bogiem czasu przynosić dywidendy. Wspólnicy podzielili się funkcjami: p. Jarmulski odpowiedzialny jest za handel, pozostali dwaj kierują planowaniem i uprawą. Rynek w Perth zdobyty został jakością jarzyn i kwiatów, solidnością i punktualnością dostaw, oraz czystością produktów (wbrew zwyczajom rolników szkockich, jarzyny z polskiego ogrodu czyszczone są z ziemi). Przed paru laty przedsiębiorstwem polskim zainteresowała się edynburska szkoła rolnicza. Wspólnicy zgodzili się chętnie, by na terenie ich ogrodu szkoła przeprowadzała własne doświadczenia. Współpraca trwa nadal i przynosi korzyści obu stronom.

Stary koń z wozem dawno został sprzedany. Jarzyny i kwiaty jeżdżą do Perth tak zwanym „vanem”, a pod Klub SPK współnicy zajeżdżają własnymi samochodami. Tylko pracy wciąż jest tyle samo. Wprawdzie spółka zatrudnia jedną kobietę-Niemkę, a w sezonie najmuje dorywczych pracowników (przeważnie Polaków), płacąc im po cztery szylingi za godzinę, ale gros pracy wykonują sami współnicy. Stąd też nie ma przesady, gdy mówią, że żyją z pracy własnych rąk.

Po obejściu dwu dużych szklarni, w których na zmianę hodowane są pomidory i kwiaty, przechodzimy wzdłuż rzędów rzepy, kalafiorów i sałaty, i przez wąską furtkę w murze wchodzimy w świat całkiem inny. Old Scone to miejsce o tysiącletniej przeszłości historii. Przed A. D. 1000 była tu stolica Piktawii (królestwa północnych Piktów), a od początku XII wieku siedziba słynnego opactwa i miejsce koronacyjne szkockich królów. Tutaj przechowywany był „Stone of Destiny” — symboliczny głaz, na którym odbywały się koronacje królów szkockich — obecnie znajdujący się pod koronacyjnym krzesłem w Westminster Abbey. W czasach reformacji, w roku 1559 katolickie opactwo Scone zostało całkowicie zburzone. Jedyny ślad tamtych czasów to leżący w parku potrzaskany, kamienny sarkofag, podobno miejsce spoczynku ostatniego opata. Dzisiaj sarkofag jest otwarty. Na wzgórzu obok, z widokiem na rzekę Tay, stoi pałac, zbudowany w roku 1803. Jest to poważna, małoefektowna budowla: surowa kompozycja z prostych brył.

W pałacu mieszka tylko rodzina administratora. Rozległy, bezludny, stary park wspaniale zdziczał. Bujne zielska, splecione podszycie, dawno zarosły ślady ludzkiej pielęgnacji. Zdumiewa przepych roślinności. Fantastyczne „małpie drzewa” rosną obok jodeł, cedry tuż obok ogromnych buków. Chyba każde drzewo, które potrafi sobie dać radę ze szkockim klimatem, jest tu reprezentowane.

P. Jarmulski, wychowany na wsi, w majątku ojca nad Horyniem, poruszał się wśród drzew tak jakby się wśród nich urodził i z nimi wyrósł. Wypatrując ptaków i zwierząt prowadził nas, zdawałoby się, na węd. Kucając, by w zapadającym mroku lepiej widzieć, czy się co na ziemi nie rusza, mówił do nas: „Pamiętacie, tak się na Polesiu, w czasie rannej mgły, wypatrywało koni. Mgła nie sięgała nigdy samej ziemi”. Patrząc na tego, młodego jeszcze mężczyznę, o szlachetnych, rzeźbionych rysach twarzy, jak skradał się przez polanę do młodego zająca, trudno było uwierzyć, że to ten sam człowiek, który w obcym społeczeństwie, w nowych, ciężkich warunkach, niezmiernym wysiłkiem potrafił dorobić się własnego, skromnego, „miejsca w słońcu”.

Takie to rzeczy dzieją się dziś w Old Scone. Na ziemi używanej prochami szkockich królów Polacy hodują kalafiory, a wieczorem, w dzikim, lordowskim parku, panicz z Polesia zając tropi.

#### DUNDEE

W Dundee z pewnym trudem odszukaliśmy Dom Kombatanta, na końcu wąskiej, stromej i ciemnej uliczki, zwanej Magdalen Place. Otoczenie i wyboisty dojazd oczekiwać każą jakiejś ponurej, zbójeckiej meliny, ale rozczarowanie jest raczej przyjemne: murowany, solidny dom oddzielony jest od ulicy zielonym ogródkiem; przy bramie szczeniak-jamnik wesoło obszczekuje przechodniów.

W dniu powszednie Klub jest nieczynny. W kuchni zastałmy gospodynią domu, kobietę przeraźliwie wychudłą, o pergaminowo żółtej, ściągniętej twarzy. Mąż jej, kierownik domu, spał po powrocie z nocnej pracy w fabryce. Dom wewnątrz wygląda ubogo, a w dzień powszedni pusty, ciemny i milczący ma jakąś obsesyjnie ciężką, duszną atmosferę. Ludzie, których spotykamy, wydają się nam jacyś spłoszeni, niepewni co przynioszą ci niezapowiedziani przybysze z Londynu. Na brak uprzejmości i gościnności i tutaj nie możemy narzekać, ale jest to przychylność automatyczna i martwa, pozbawiona humoru i temperamentu. W Dundee nikt nam nie opowiadał kawałów, nie zauważyliśmy żadnych śladów polskiego animuszu, nikt nawet, w rozmowie z nami, nie podniósł głosu. Tylko „Prince” — jamnik, uganiał po pokojach i swój wyborny humor wyrażał piskliwym, szczenięcym ujadaniem.

Być może Dundee miało swój zły dzień, być może przyjechalibyśmy nie w porę. Wydaje nam się jednak, że dzień powszedni w Dundee tak właśnie wygląda. Panują tu nastroje wyraźnie

kryzysowe. Większość miejscowych Polaków pracuje w fabrykach juty (czy, dokładniej, w fabrykach przeróbki juty), a w przemyśle jutowym panuje obecnie dość ostry kryzys. Produkcja spada, fabryki masowo zwalniają robotników, zaczynając oczywiście od cudzoziemców. W ten sposób straciło pracę kilku Polaków mieszkających w Domu SPK, z którymi rozmawialiśmy. Kryzys w fabrykach juty, stanowiących główny przemysł Dundee, pośrednio dotknął też ludzi zatrudnionych gdzie indziej, nawet właścicieli własnych przedsiębiorstw. Nie brak bowiem w Dundee Polaków zamierzających. Jak wszędzie, jest trochę polskich sklepów, kilku inżynierów-elektrotechników (którzy studia ukończyli na tutejszym uniwersytecie), jest nawet polski garaż. Miejscową Polonię oblicza się w Dundee na ok. 300 rodzin, w tym wiele małżeństw polsko-szkockich. Inteligencja, która stanowi niecałe 10 procent ogółu, od tak zwanych „dołów”, skupiających się w SPK raczej stroni. Najbardziej popularnym zawodem wśród inteligentów jest nauczanie. Paru Polaków wykładają na uniwersytecie, paru innych w szkołach na poziomie gimnazjalnym. Kilku, przeważnie mężczyźni około czterdziestki, studiuje jeszcze na tak zwanym „Training College” — który daje dwuletni kurs pedagogiczny. Są to przeważnie ludzie startujący w życiu już po raz drugi, a nawet trzeci: po zakończeniu wojny odpadł im zawód oficera, fach zdobyty w PKPR okazał się albo nieprzydatny, albo nieodpowiedni, wybrali więc zawód nauczycielski, korzystając z lokalnych stypendiów, chętnie udzielanych, gdyż w szkołach brytyjskich jest ciągły brak nauczycieli.

Nasi rozmówcy z tej właśnie grupy mówili nam, że nie chcą zrywać kontaktów ze społecznością polską, ale w pracę społeczną angażować się nie zamierzają. Jest przykrym paradoksem, że przy takiej obfitości zawodowych pedagogów miejscowa Szkoła Sobotnia (a raczej niedzielna, bo lekcje odbywają się tutaj w niedziele), ma tylko jednego wykwalifikowanego nauczyciela.

Do Szkoły Sobotniej w ostatnim roku zapisanych było 40 dzieci. Przeciętnie na lekcje uczęszczało nie więcej niż 25. Jest to liczba bardzo mała, jeśli się weźmie pod uwagę, że na Św. Mikołaja w roku ubiegłym przyszło ich aż 170. W tym roku jednak kiedy urządzono Św. Mikołaja tylko dla dzieci zapisanych do Szkoły Sobotniej i dzieci członków organizacji, cyfra spadła do około 60. Łatwo obliczyć, że co najmniej 75 procent dzieci nie jest nawet zapisanych do Szkoły Sobotniej. Powody tego są różne. Przede wszystkim duża ilość małżeństw mieszanych. Jak nas informowano, wiele Szkotek — żon Polaków — nie chce by ich dzieci były wychowywane na Polaków, lub uczone po polsku. Na tym tle powstają nieraz konflikty małżeńskie. Jedynie inteligentniejsze Szkotki potrafią zrozumieć problem dwujęzycznego wychowania dziecka. Inny powód, to obawa rodziców, by dodatkowa praca w Szkole Sobotniej nie wpłynęła ujemnie na postępy dzieci w szkole angielskiej. Rodzice bardzo często zabierają dzieci ze Szkoły Sobotniej gdy zbliżają się egzaminy konkurencyjne w wieku lat 11 (tzw. Eleven-Plus). Zdarza się też,

że ciężkie warunki materialne i mieszkalne utrudniają posyłanie dziecka do polskiej szkoły. W ogóle wychowanie dzieci w wielu rodzinach polskich nie przedstawia się najlepiej. Pogoń za pieniędzmi, ciężka harówka nie pozostawiają czasu ani chęci na staranne zajęcie się dzieckiem. W małżeństwach polsko-szkockich zapracowany mąż zostawia wychowanie dzieci całkowicie w rękach swej szkockiej żony.

Określenie przynależności klasowej u niektórych Polaków jest czasami dosyć skomplikowane. Spotkaliśmy byłego oficera, nieukończonego prawnika, który ożeniwszy się ze Szkotką, pracuje obecnie jako tapicer. Praca, jak sam mówi, nie jest odpowiednią dla człowieka z jego przeszłością, ale nabyty banknotami portfel łagodzi poczucie zdeklasowania i upokorzenia. Zresztą pan ten co sobotę odrywa się od foteli, kanap i żony Szkotki, bierze strzelbę, jedzie do niezbyt daleko położonego Glamis Castle i tam w posiadłościach Earl'a Strathmore, kuzyna królowej, poluje na bażanty.

Życie społeczne w Dundee nie wygląda budująco. Ujemnie wpływa tu odizolowanie się inteligencji od reszty Polaków, ciąży też przeszłość. Z aluzji, lakonicznych odpowiedzi, dowiedzieliśmy się coś niecoś o dawnych kłótniach, nadużyciach, awanturach z policją. Rodaków łatwo spotkać w czasie „week-end'u” przy barze w Domu SPK. Prócz Polaków miejscowych przychodzą tam też rybacy z Kraju, których kutry często w Dundee zarzucają kotwicę. Rozmowy pomiędzy rybakami i emigrantami nawiązują się łatwo, — mieszkańcy Dundee dawno już wyzbyli się oporów psychicznych w stosunku do przybyszów. Miejscowi Polacy wpytują o rodzinne strony, rybacy o ceny na szkockich rynkach.

Brak jest zupełny polskich rozrywek kulturalnych. Londyn wydaje się być stąd odległy o światy całe, a Edynburg promieniuje zbyt słabo. Dociera stamtąd tylko płk. Morbitzer ze swoim magnetofonem. Ulubioną rozrywką miejscowych Polaków jest rybołówstwo, — zajęcie niewątpliwie pełne uroków, ale niezbyt uspołeczniające.

Byliśmy w Dundee na parę dni przed obchodem dziesięciolecia miejscowego Koła SPK. Zapowiedziano przyjazd delegata z Londynu. Duża sala na parterze, w której zaofiarowano nam nocleg, stroiła już sobie odświętną minę. Przez środek sali ciągnął się rząd zestawionych stołów, na ścianie ponad telewizorem wielkie godło SPK obramowane było trójkątem żarówek. Milczące ściany gotowe już były do przyjęcia podniosłych, patriotycznych słów, do wysłuchania nieodzownych życzeń „dalszej owocnej pracy”.

### TUNELARZE

Z „tunelarzami” spotkaliśmy się po raz pierwszy na łamach „Kultury” w noweli Czesława Dobka „Free Country”. Zainteresowani, dopytywaliśmy się o nich w Szkocji wszędzie.

Opowiadano nam o zupełnym zdzczeniu tych ludzi, o niezrozumiałym żargonie jakim się posługują. Nikt natomiast nie potrafił nam powiedzieć gdzie dokładnie mamy ich szukać. Otaczająca ich mglista legenda umocniła nas tylko w postanowieniu dotarcia do któregoś z wysoko w szkockich „Highland'ach” położonych obozów tunelarzy. Pomógł nam znowu przypadek. W Dundee, w Domu SPK, spotkaliśmy Ukraińca, który właśnie rzucił pracę w tunelach; pokłócił się, mówił nam, o pobory. Opowiadanie jego roilo się rzeczywiście od dziwnych, niezrozumiałych słów; mówił nam o „lokach” i „Imkach”, o „szyftbosach” i „tanel-bosach”, o „mokowaniu” skarżył się, że nie chcieli mu dać „sabsystens”. Brzmiało to egzotycznie i zachęcająco. Co więcej, dowiedzieliśmy się, gdzie mamy jechać.

Szkockie „Highland'y” roją się od bystrych, górskich strumieni i rzek. Już w roku 1948 rozpoczęto prace nad realizacją gigantycznego planu wyzyskania tej wodnej energii. Drażone w skałach tunele zbierają samopas dotychczas płynącą wodę a rurociągi sprowadzają ją do turbin. Uzyskana stąd elektryczność tak jest tania, że w przeciągu kilku miesięcy zwracają się milionowe koszty konstrukcji. Po ukończeniu jednego projektu, obozy przenoszą się do innej części Szkocji i robota zaczyna się od nowa.

Nasz rozmówca skierował nas w okolice Killin, w zachodniej części Perthshire, gdzie w obozie zwanym Mitchell's Camp pracuje, jak mówił, spora ilość Polaków.

Jechaliśmy przez „Highland'y” mokre i mgliste; intensywnie zielone, gdzieniegdzie rude od wrzosowisk. Minęliśmy lustrzane jezioro „Loch Tay” i w Killin skieraliśmy w boczną, wyraźnie nową drogę, biegnącą w górę doliny „Glen Lochay”, tuż obok hałaśliwego górskiego potoku. Droga była tak wąska, że minąć się można było tylko w specjalnie w tym celu zrobionych mijankach, odległych od siebie o jakieś 100 metrów. Napotkaliśmy pierwsze ślady prowadzonych prac. Minęliśmy spuszczone stromo z gór, ceglastej barwy, pękaty rurociąg o średnicy około 2 metrów, spotykaliśmy wielkie, z fantazją prowadzone ciężarówki. Obok nas potok coraz bardziej dziczał; gwałtownie zlatywał wodospadami z kamiennych progów, to znów w rozpadlinach skalnych rozlewał się w czarne, ciche bajora. Góry, dotychczas zalesione, wyłysiały. Zobaczyliśmy oboz.

Poszliśmy najpierw do „labour manager'a”. Dowiedzieliśmy się od niego, że na ponad 300 zatrudnionych tu robotników jest 80 Polaków. Pierwszy rodak, jakiego spotkaliśmy, wyróżniał się przede wszystkim uźębieniem, stanowiącym chyba kres możliwości ludzkich w tym kierunku. Kilka takich szerokich, biało-żółtych kafli, zapełniłoby bez reszty normalną jamę ustną. Polaków, powiedział nam, możemy spotkać w jadalni w czasie kolacji, lub, jeśli wolimy, przy tunelu, o tysiąc stóp wyżej. Poszliśmy do tunelu.

Trzy zygzaki błotnistej serpentyny, doprowadziły nas do rozkopu, stanowiącego przedpole tunelu. Z tej wysokości, po-

malowane na zielono „beczki śmiechu” z karbowanej blachy wyglądały jak martwe, pokrajane gaśienice. W baraku, u wejścia do rozkopu, huczały jakieś maszyny. Zagadnięty przez nas mechanik w zasmarowanym kombinezonie okazał się, zgodnie z prawami gry, Polakiem. Maszyny, przy których pracuje, sprężają powietrze do hydraulicznych świdrow. Inni Polacy znajdowali się jeszcze „przy twarzy” (czyli „na fejsie”) odległej od wylotu tunelu o dwa kilometry. Z zewnątrz widzieliśmy tylko zalaną wodą czarną jamę, okapującą z pułapu, i ginący w dali rząd jarzących się światełek. Obok otworu stało kilka wagoników; na jednym z nich rzucano się w oczy wielkimi kulasami wypisane kredą nieprzyzwoite angielskie słowo. Znaleźliśmy drugiego Polaka, zwanego tutaj ze względu na spełnianą funkcję „Powder Monkey” — czyli „Prochowa Małpa”. Do „Powder Monkey” należy kontrola, uzbrajania i wydawania „jelly” — materiału wybuchowego. P. Maluty, jak się w innym świecie nazywa „Powder Monkey”, przez szereg lat pracował „na fejsie”, aż kiedyś, nałykawszy się gazu, poważnie zachorował. Po przyjsciu do zdrowia, dostał swą obecną, o wiele już lżejszą pracę.

Gaz i kamienny pył stanowią główne niebezpieczeństwo roboty w tunelu. W momencie wybuchu, przy samej „twarzy”, powietrze jest czyste, ale nieco dalej tworzy się ściana pyłu i gazu. Jadąc przez nią na „loco”, trzeba sobie zatkać nos i usta. Pewną ilość kamiennego pyłu trzeba też połknąć przy wierceniu dziur na naboje dynamitowe. Niektórym wydaje się to służące, spotykaliśmy Polaków — okazy kwitającego zdrowia, ale widzieliśmy także ludzi o szarych twarzach i wygasłych oczach. Dodatkowe niebezpieczeństwa, to obrywające się ze stropu głązy i słabo chronione przewody wysokiego napięcia. Uważać trzeba tym bardziej, że tunelarze nie mają własnego związku zawodowego, który użerałby się z pracodawcą o odszkodowanie. Przy akordowej, pośpiesznej pracy wypadków jest sporo. Na przetrzeni ostatniego roku dwóch Polaków poważnie pokaleczonych odwieziono do szpitala, a niedawno jeden z niezbyt licznych tu zresztą robotników szkockich został śmiertelnie porażony prądem.

Doczekaliśmy się powrotu całej szyfty, w której większość stanowią Polacy. Ubrudzeni i zmęczeni, w hełmach i ogromnych buciorach, pełni byli jednak rubasznego humoru, a naszą wizytę przyjęli z wyraźnym zadowoleniem. Całą grupą zeszliśmy do obozu.

Prawie wszyscy nasi nowi znajomi to weterani niejednego już tunelu. Większość rozpoczęła pracę 10 lat temu. Na początku o wiele łatwiej było zapracować na bonus. Polacy imali się oczywiście najlepiej płatnej, a więc i najcięższej pracy. Na fejsie zarobić można dobrze dzięki temu, że bonus wzrasta progresywnie z każdą stopą tunelu wybitą ponad tygodniową normę. W roku 1948 norma ta wynosiła 45 stóp, obecnie wzrosła do 120, a w rozpoczętych właśnie robotach w Walii ustalona została na

190. Podobno za podwyższenie normy odpowiedzialni są Polacy, którzy potrafili wyrabiać bonusy nieprawdopodobnie wprost wysokości. Nawet teraz, pracując w wyłącznie polskiej szychcie, wyrabiającej zamiast 120 — 180 stóp tunelu na tydzień, dostać można od £ 25 do £ 30 na rączkę, na czysto. Są dwie zmiany, dzienna i nocna, pracujące po 12 godzin każda. Dziwny choć może zrozumiały paradoks, że to właśnie tutejszy kapitalistyczny system wytworzył wręcz klasyczny typ polskiego stachanowca, podczas gdy w Kraju wydajność robotnika jest tak zastraszająco niska. Wysokie zarobki są oczywiście główną atrakcją pracy w tunelach. Dla niektórych ważne jest także i to, że tunelarzom nikt do duszy nie zagląda. Jeden z Polaków, z podziwu godną szczerością opowiedział nam jak będąc jeszcze w wojsku, po pijanemu zgwałcił młodą Angielkę. Odsiedział za to parę lat, a mając trudności ze znalezieniem pracy po wyjściu z więzienia, poszedł na tunelarza. Tutaj panuje całkowita anonimowość.

Jedyny polski „tunel-boss” to Henry (wymawiany 'enry), człowiek bez nazwiska. Inni nie mają nawet imion — znani są z nadanych im przez kolegów przydomków. Dowcipny i gadatliwy McGregor — to w rzeczywistości p. Skorupa, przed wojną reporter sportowy „Ekspressu Krakowskiego”. Ku swemu zdumieniu znajdujemy tu także „Partyzanta” i „Warszawiaka” — ludzi, którzy o Hłasce i „Następnym do rajsu” nigdy nie słyszeli.

Polscy tunelarze to przeważnie dawni żołnierze, z różnych oddziałów i różnych stopni, od strzelca po majora. Różnice pochodzenia, rangi i wykształcenia wydają się tu zacierać. Tunelarze tworzą społeczność prawie bezklasową. Istnieją natomiast pewne antagonizmy pomiędzy grupami narodowościowymi. Irlandczycy mają pretensję do Polaków, że pracują zbyt intensywnie, przyczyniając się do podwyższenia norm. Polacy uważają Irlandczyków za leniwych i brudnych. Mieszkanie na wspólnych salach po dwadzieścia do trzydziestu osób stwarza najróżnorodniejszą tarcia. Jako przykład lenistwa, opowiadano nam, że niektórzy Irlandczycy powycinali sobie w blaszanej ścianie na wysokości łóżka otworki opatrzone kłapkami, żeby móc się wysuszać, nie wstając z bartogu. W rzadkie dni kiedy przygrzewa w Szkocji słońce, smród irlandzkiego moczu wędruje pomiędzy barakami, drażniąc, delikatniejsze widocznie, polskie nozdrza.

Formeni i szyft-bosi mieszkają w tak zwanych „kubikach”, i może dlatego Henry, ogólnie tu szanowany, ma poprawne stosunki z szkockimi i irlandzkimi kolegami. Na kolację zaproszeni zostaliśmy do stołówki formenów. Przysiadł się do nas Irlandczyk, chłop-olbrzym, szczerbaty, obślinitony, i dobrze już podпиты — był to akurat dzień wypłaty. Dowiedziawszy się kim jesteśmy przedstawił się szarmancko, ręką szeroką jak patelnia poklepał nas po plecach i zaprosił do baru. Polacy — mówił — są mimo wszystko „all-right”, szczególnie Henry.

Grupy Polaków pracują i w innych obozach. Wśród robotników wierzących tunel z przeciwnego stoku góry są dwie szczyty czysto polskie. Tak więc z dwóch stron góry — dwie partie Polaków przekopują się ku sobie. Spotkanie nastąpić ma za 4 miesiące. Potem tunelarze zatrą za sobą ślady, zasieją rozorane zbocza trawą — bo kontrakt zastrzega że góra pozostać ma taka jaką ją zastali — i zapewne przeniosą się dalej, dziurawić inne szkockie góry. Nie martwią się o przyszłość. Mówią nam, że praca w tunelach nigdy się nie skończy.

Pisząc, czy choćby myśląc o tunelarzach, wystrzegać się należy gotowych, fikcyjnych wzorów. Łatwo jest spojrzeć na nich oczyma Hłaski, lub Clouzot'a z filmu „Cena strachu”, czy wyobrazić ich sobie jako typowych amerykańskich „tough-guy'ów”. Faktem jest, że niebezpieczna praca i odcięcie od „cywilizacji” wytwarza specyficzną atmosferę, pełną brawury, krzepy i rubasznego humoru. Pamiętać jednak trzeba, że trwa to pięć i pół dnia na tydzień. W sobotę po południu tunelarze wsiadają do swoich, eleganckich często samochodów, i rozjeżdżają się do miast, nieraz do własnych domów i rodzin. W parę dni później, w niedzielę, odwiedziliśmy w Glasgow p. Glezmana, mechanika z „Mitchell's Camp”. Państwo Glezmanowie urządzają sobie właśnie niedawno kupiony dom. Dużo czasu spędzają przed swoim telewizorem, częstym gościem jest u nich miejscowy proboszcz, ks. Gruszka. Co najmniej przez półtora dnia na tydzień p. Glezman prowadzi życie typowego mieszczanina. Nie jest to na pewno wypadek sporadyczny. Większość tunelarzy, to nie wyrzutki społeczeństwa, lecz ludzie, którzy dla własnych, indywidualnych celów, wybrali ten ciężki ale dobrze płatny zawód.

Bogdan CZAYKOWSKI i Bolesław SULIK

#### NOTATKA OD AUTORÓW

Reportaże o życiu Polaków w Szkocji obejmują tylko część materiałów zebranych przez autorów do ich książki: *Emigracja Polska w Wielkiej Brytanii — Fikcja i Rzeczywistość* (patrz Nr 9/131 „Kultury”).

Autorzy zdają sobie sprawę, że w tego rodzaju pracy nie można uniknąć pomyłek i krzywdzących pominięć. Jednak osobiste dotarcie do wszystkich i poznanie wszystkiego bez reszty — jest rzeczą fizycznie niemożliwą. Większych skupisk Polaków w Wielkiej Brytanii jest ponad 150!

Dlatego też autorzy gorąco apelują o nadsyłanie wszelkiego rodzaju uwag, uzupełnień, materiałów, druków itp. na adres:

Bogdan Czaykowski, 14, Lilyville Rd., London S.W.6 lub na adres „Kultury”.

## Najnowsza historia Polski

### Kartki z notatnika

21 kwietnia 1942 roku. Hotel Rubens. Londyn

Dzień bardzo bogaty we wrażenia. Przyjechali, a raczej przylecieli, do Londynu generałowie Władysław Anders i Stanisław Kopański. Obaj są po raz pierwszy w Londynie, naszej tymczasowej stolicy Rzeczypospolitej Polskiej „na wygnaniu”. Byłem obecny przy spotkaniu ich obu z generałem Sikorskim. Generał Sikorski chciał najwidoczniej sposobem przywitania wyróżnić specjalnie generała Kopańskiego, bo witał go bardzo serdecznie. Z generałem Andersem generał Sikorski przywitał się najpierw bardzo sztywno i oficjalnie, mówiąc cierpko: „No, nabałaganil Pan Generał niepotrzebnie ze sprawami organizacyjnymi wojska i z ewakuacją (z Rosji)!, a dopiero po dobrej chwili dodał: „no, a teraz przywitamy się p r y w a t n i e ”. — i ucałował Andersa w oba policzki.

Wieczorem generał Sikorski będzie przyjmował obiadem w Hotelu Dorchester generałów Andersa i Kopańskiego. Na ich cześć przewidziana jest cała seria przyjęć oficjalnych z udziałem zaproszonych Anglików i Rosjan oraz innych naszych Aliantów. War Office (generał Davidson) prosił mnie dziś specjalnie o dłuższą rozmowę z generałem Andersem o położeniu na froncie rosyjsko-niemieckim.

Wieczorem, obiad w Hotelu Dorchester dla generałów Andersa i Kopańskiego odbywał się w nieszczególnie atmosferze, może z racji zmęczenia podróżą ich obu. Generał Władysław Anders, którego nie widziałem od roku 1935, kiedy byłem na kursie oficerów sztabowych kawalerii w Grudziądzu, mało co

Na marginesie książki: *Listy z Rosji do Generała Sikorskiego* profesora Stanisława Kota. (Londyn. 1956).

Materiały zamieszczone w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.



się zmienił. Ogolił tylko całą głowę i jakby trochę przytył; zresztą jest to ten sam Anders, co i dawniej, przed wojną. Rozmowa przy stole ma charakter zanadto ogólny, aby coś ciekawszego można było usłyszeć. Generał Anders opowiada głównie o swoich przeżyciach w Rosji od roku 1939. Są one bardzo ciężkie i niezwykle przykre. Jednak w słowach jego wyczuwa się nutę, że uważa nas wszystkich, będących w Anglii, a przedtem we Francji, za bezwarunkowo mniej „zasłużonych”, niż on sam i jego żołnierze z Rosji. Wyraża się to w prawie pobłażliwym słuchaniu relacji o kampanii we Francji (1940), o dużych postępach w motoryzacji i mechanizacji naszego wojska w Szkocji i nawet o prawdziwie bohaterских wyczynach naszego lotnictwa w bitwie o Anglię w 1940 roku. Generał Stanisław Kopański, którego nie znałem przedtem, przeważnie milczy i słucha nadzwyczaj uważnie; jest bardzo powściągliwy, prawie skąpy w słowach, odpowiada tylko krótko na zadawane mu pytania; czyni to niesłychanie zwięźle, ale z wyszukaną uprzejmością. Niesamowite wrażenie robią oczy generała Kopańskiego: ma on jedno oko sztuczne, a i drugie mało się porusza.

22 kwietnia 1942 roku

W południe Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, Władysław Raczkiewicz, podejmuje śniadaniem generałów Andersa i Kopańskiego; zaproszonych jest zaledwie 20 osób: Generał Sikorski i Rząd Rzeczypospolitej, ze Sztabu — tylko najwyżsi oficerowie. Generał Anders wypowiada swoje poglądy, co do zagadnień organizacyjnych i ewakuacji z Rosji. Generał Anders domaga się dowództwa nad całością naszych wojsk w Rosji i na Bliskim Wschodzie z tym, że jego Kwatera Główna powinna być w *T e h e r a n i e* (!) — Generał Anders sprzeciwia się projektowi Sztabu (generała Sikorskiego) ewakuacji 15.000 ludzi z Rosji do Wielkiej Brytanii, mówi, że może oddać najwyżej 8.000 ludzi. Jednocześnie wypowiada stanowczy pogląd, że całość naszego wojska lądowego należy zebrać w jednym obszarze, *n a B l i s k i m W s c h o d z i e* — domyśleć się przy tym można, że pod jego dowództwem. Publiczne wystąpienie generała Andersa z kontrprojektami względem projektów generała Sikorskiego, w obecności Prezydenta R.P. Raczkiewicza, uważam za zapowiedź bardzo ciężkiej i trudnej odprawy najwyższych dowódców, którą rozpoczynamy jutro, aby nareszcie ustalić z generałem Andersem plany naszego Sztabu i zarządzenia, dotyczące wojsk naszych w Rosji i na Bliskim Wschodzie.

Tegoż dnia o godzinie 17-ej, w Hotelu Dorchester, zebrano się paręset osób na przyjęciu wydanym przez Generała Sikorskiego na cześć generałów Andersa i Kopańskiego. Obecni byli wszyscy nasi Aljanci z dyplomacji i z wojska, bardzo wiele osób z angielskiego War i Foreign Office oraz liczni członkowie Parlamentu Brytyjskiego. Byli również obecni przedstawiciele

Rosji Sowieckiej, a między nimi pułkownik Sizow, attaché wojskowy Sowieców przy nas. Był prawie cały nasz Sztab od majora w górę, całe Ministerstwo Spraw Zagranicznych, członkowie Rządu i członkowie Rady Narodowej. Generał Anders był dosłownie oblegany przez wszystkich, przeważnie przez Anglików — jest on prawdziwą atrakcją Londynu.

27 kwietnia 1942 roku

Przyjazd generała Andersa spowodował ogromny ruch w naszym, „polskim” Londynie. Generał Anders wielce imponuje ludziom swoją piękną postawą wojskową i aureolą niezwykłych przeżyć w czasie wojny 1939 roku w Polsce i w Rosji Sowieckiej, a również, w niemieckim stopniu, zajmowanym stanowiskiem dowódcy największej i najsilniejszej, liczbowo, polskiej jednostki wojska. Wokoło postaci generała Andersa zaczyna tworzyć się *l e g e n d a*, podsycona przez licznych jego przyjaciół, a w szczególności przez przybyłego razem z nim do Londynu jego osobistego adiutanta, rotmistrza Klimkowskiego. Generał Anders zdaje sobie sprawę ze swej *w y g o d n e j* pozycji między Polakami na obczyźnie. Rozumie dobrze, że w Anglii istnieją między nami, Polakami, duże niechęci w stosunku do generała Sikorskiego. W konsekwencji zachowuje się w stosunku do generała Sikorskiego zupełnie niezależnie, jakby trochę do równego sobie, a w stosunku do generała Klimeckiego i całego Sztabu Naczelnego Wodza odnosi się z pokrywającym pobłażliwą tolerancją lekceważeniem. Z pierwszych kroków generała Andersa można wywnioskować, że zamierza *n a r z u - c i ć* swoje plany generałowi Sikorskiemu. Przypuszczam, że zasadniczym celem przyjazdu generała Andersa do Londynu jest przede wszystkim zorientowanie się w położeniu wewnątrzpolitycznym polskim w Londynie i odnowienie kontaktów politycznych przedwojennych z Polski. Następnie, zależnie od okoliczności, wymuszenie na generale Sikorskim skoncentrowania sił lądowych polskich na Bliskim Wschodzie i uzyskanie dla siebie dowództwa. W zasadzie, prawdę mówiąc, generał Sikorski, gdy był w Washingtonie w tym roku, zapytywany przez Churchilla, zgodził się na koncepcję ewakuowania wszystkich wojsk polskich z Rosji na Bliski Wschód. Nie sądzę jednak, aby generał Sikorski chciał oddać *g r o s* naszych sił zbrojnych w ręce generała Andersa.

23 kwietnia 1942 roku o godz. 10-ej jest początek odprawy.

Obecni: Naczelny Wódz Generał broni Władysław Sikorski; Szef Sztabu Naczelnego Wodza generał-brygady T. Klimecki, wiceminister Spraw Wojskowych generał-brygady Modelski, Zastępca Szefa Sztabu N.W. płk. dypl. L. Mitkiewicz, Szef Oddziału I Sztabu N.W. płk. dypl. K. Głabisz, Szef Sądowni-

ctwa Wojskowego płk. Szurlej i Szef Gabinetu Naczelnego Wodza i Ministra Spraw Wojskowych ppłk. dypl. Z. Borkowski, ponadto, jako dowodzący wojskiem lądowym, marynarką wojenną i lotnictwem w Anglii, w Rosji i na Bliskim Wschodzie są obecni: generał-dywizji M. Kukiel, dowódca I korpusu polskiego w Szkocji; generał-dywizji W. Anders, dowódca wojsk polskich w Rosji Sowieckiej; generał-brygady S. Kopański, dowódca brygady strzelców polskich w Afryce; kontr-admirał W. Świrski i generał-brygady S. Ujejski, inspektor polskiego lotnictwa. Jest to pierwsza tego rodzaju odprawa, a raczej konferencja najwyższych dowódców, od czasów Paryża i organizacji wojska polskiego przed kampanią francuską 1940 roku. Protokołują przebieg odprawy jednocześnie płk. Głabisz i ppłk. Borkowski.

Pierwszym aktem odprawy jest uroczystość dekorowania generała Andersa orderem *Virtuti Militari* IV-ej klasy. Generał Sikorski przypina Złoty Krzyż *Virtuti Militari* generałowi Andersowi ze słowami: „W drodze wyjątku, w uznaniu zasług Pana Generała w bojach w czasie kampanii wrześniowej 1939 roku w Polsce pod Modlinem, Płockiem, Mińskiem Mazowieckim i za dowodzenie grupą kawalerii nadaje Panu Generałowi order wojenny *Virtuti Militari*, oficerski krzyż złoty IV klasy”. Generał Anders — bez wzruszenia — dziękuje krótko słowami: „Jestem zaszczycony — to dowód uznania Pana Generała Naczelnego Wodza dla moich kolegów z walk w Polsce”.

Odprawę prowadził osobiście Generał Sikorski. Rozpoczyna on od oceny pracy w Kraju (w Polsce) i dokonanych tam osiągnięć przez Armię Krajową pod względem organizacyjnym i w zakresie prowadzenia walki przeciwko Niemcom. Jest to odpowiedź generała Sikorskiego na pismo generała sowieckiego Żukowa, szefa wydziału współpracy wojskowej z ruchami podziemnymi w Europie, które to pismo przywiózł ze sobą generał Anders. Sowiecki generał Żukow w liście osobistym do generała Sikorskiego narzeka bardzo na brak aktywnej pracy w Polsce, na brak współdziałania z Sowietami, i apeluje o wzmoczenie działań dywersyjno-sabotażowych na terenie Polski... W swojej ocenie położenia wojennego Generał Sikorski wypowiada pogląd, że począwszy od lipca 1942 roku na Zachodzie Europy da się już odczuć przewagę lotniczą Aliantów — Anglików i zwłaszcza Amerykanów — nad Niemcami. Nadzieje jednak na utworzenie drugiego frontu w tym roku są bardzo małe. Rosja Sowiecka — mówi generał Sikorski — musi wytrzymać sama w walce obronnej jeszcze przynajmniej przez cały rok.

Po generale Sikorskim zabiera głos generał Anders i oświadcza, że jest rzeczą wysoce wątpliwą, czy Rosja Sowiecka będzie zdolna do stawiania oporu tegorocznej (1942) ofensywie niemieckiej. „Należy brać pod rozwagę ewentualność rozgromienia Rosji Sowieckiej przez Niemcy” — mówi z dużym naciskiem i przekonaniem generał Anders. Zapytywany przez generała Sikorskiego, czy przewiduje odrębny pokój pomiędzy

Rosją a Niemcami, generał Anders odpowiada, że w y k l u c z a t ę m o ż l i w o ś ć. Generał Sikorski, kontynuując swoją ocenę położenia, wyraża pogląd, że Niemcy nie są już w stanie uderzyć na Rosję tak silnie, jak w zeszłym roku i że Rosja z pomocą materialną Zachodnich Aliantów, głównie Ameryki, i przez wprowadzenie do walki własnych nowych sił — odtworzonych na obszarach na wschód od Wołgi — będzie mogła przetrzymać pomyślnie zbliżający się nowy kryzys wojny. Na to generał Anders ponownie prosi o głos i mówi: O b e c n i e wystarczy do pokonania Rosji Sowieckiej 75% s i ł n i e m i e c k i c h w porównaniu do ofensywy z e s z ł o r o c z n e j”.

Następnym punktem odprawy są zagadnienia organizacyjne. W związku z tym rozpoczyna się dyskusja nad sytuacją naszej armii w Rosji Sowieckiej. Generał Anders ma głos i oświadcza, że rekrutacja do wojska polskiego w Rosji Sowieckiej została przez władze wstrzymana. Bardzo wielu Polaków, względnie obywateli polskich, spośród naszych mniejszości narodowych z wschodnich obszarów Polski, znajduje się nadal w sowieckich oddziałach ręboczych; ludzie ci nie są zwalniani i nie są przekazywani do oddziałów polskich. Ogólną, hipotetyczną, liczbę mężczyzn w wieku wojskowym, obywateli polskich, znajdujących się w Rosji Sowieckiej, podaje generał Anders na 600.000. Stan armii polskiej w Rosji Sowieckiej wynosi obecnie 70.000 ludzi. Generał Anders w związku z tym powtarza bardzo mocno swoją wczorajszą tezę, wypowiedzianą przy Prezydencie R.P. Raczkiewicz, że niezbędnie konieczne jest wycofanie wojska polskiego z Rosji Sowieckiej na Bliski Wschód i skoncentrowanie tam c a ł o ś c i i sił lądowych wojska polskiego na obczyźnie. Generał Sikorski decyzji nie pobiera, wypowiada jedynie przypuszczenie, iż możliwe jest, że w miarę rozwoju wydarzeń w Rosji Sowieckiej, zwłaszcza jeśli zaistnieją hiobowe przypuszczenia generała Andersa, wypadnie jemu przesunąć armię naszą z Rosji (Turkistan) na Bliski Wschód, do Persji, Iraku lub do Palestyny.

Generał Sikorski przechodzi do szczegółowego omawiania opracowanego przez Sztab Naczelnego Wodza (Oddział I-szy) planu rozdziału uzupełnień z Rosji i realizacji całości zamierzeń organizacyjnych. W związku z tym generał Anders otrzymuje polecenie oddania 15.000 ludzi dla Wielkiej Brytanii, głównie dla uzupełnienia I korpusu. Uzupełnienia z Rosji dla Bliskiego Wschodu, dla rozwinięcia brygady generała Kopańskiego, nastąpią ewentualnie po wznowieniu przez władze sowieckie dalszej rekrutacji. W tej sprawie zostaje doręczony generałowi Andersowi memoriał, przygotowany zawczasu przez Sztab N.W. (Oddział I), celem przekazania go po powrocie do Rosji Sztabowi Sowieckiemu; jednocześnie zostaje wysłane odpowiednie polecenie do naszej ambasady w Kujbyszewie.

Jednocześnie generał Sikorski wydaje generałowi Andersowi wyraźne polecenie, że do dalszych rozkazów Naczelnego Wodza

armia generała Andersa ma pozostać w Turkiestanie (rejon Alma-Ata) w Rosji Sowieckiej.

Przechodząc następnie do omówienia spraw organizacyjnych generał Sikorski mówi, że generał Anders ma wolną rękę w wyborze typu wielkich jednostek, jakie ma formować; mogą to być trzy dywizje piechoty, typu przyjętego już w Rosji Sowieckiej (11.000 ludzi w dywizji piechoty — lekkie d.p.). Decyzja generała Sikorskiego wywołuje zastrzeżenia Szefa Sztabu N.W. generała Klimeckiego i wywiązuje się dość ożywiona wymiana poglądów pomiędzy Andersem a Klimeckim co do typu wielkich jednostek w naszej armii w Rosji Sowieckiej. Klimecki jest za dwiema dywizjami typu angielskiego, a Anders za trzema lub czterema dywizjami o typie rosyjskim. Właściwie nie można tego nazwać dyskusją: ton generała Andersa jest w stosunku do Klimeckiego wyraźnie protekcyjny.

Następnie zabiera głos generał Marian Kukiel i przedstawia szczegółowo potrzeby I Korpusu Polskiego w Szkocji pod względem uzupełnień, ażeby Korpus mógł uzyskać zdolność i pełną gotowość bojową. Generał Kukiel reprezentuje całkowicie odmienny pogląd na ogólną naszą sytuację, niż generał Anders. Najbardziej korzystnym obszarem koncentracji całości, lub większej części, polskich sił zbrojnych w przewidywaniu ich przyszłego użycia w wojnie, widzi generał Kukiel w Wielkiej Brytanii. Myślą generała Kukiela jest użycie tych sił polskich w ramach przyszłej, decydującej ofensywy Zachodnich Aliantów (Amerykanów i Anglików) w Europie. Generał Kukiel twierdzi, że najkrótsza droga do Polski prowadzi z Zachodu Europy, wspólnie z Amerykanami i Brytyjczykami. Generał Kukiel używa jako argumentu, przemawiającego na korzyść jego poglądów, możliwości wcielenia w przyszłości do szeregów wojska polskiego, rozbudowywanego na Zachodzie Europy, Polaków z Francji i Polaków, jeńców alianckich, z wojska niemieckiego. Generałowie Kukiel i Anders są absolutnie przeciwnych poglądów w tej kwestii; wywiązuje się pomiędzy nimi co najmniej ostrzejsza wymiana zdań, w czasie której generał Kukiel używa, jako kontr-argumentów, słów generała Andersa dotyczących oceny położenia wojennego Rosji Sowieckiej. Generał Kukiel mówi: „Armię generała Andersa, czy z Rosji Sowieckiej, czy z Bliskiego Wschodu, będzie oddzielała od Polski cała potęga niemiecka, której siłę generał Anders tak wysoko ocenia; przy tym, według zdania generała Andersa, Rosja może być w tym roku pobita”.

Generał Sikorski przerywa tę dyskusję obu generałów. Powtarza swoje rozkazy dla generała Andersa w sprawach organizacyjnych i uzupełnień. We trzech — generał Klimecki, pułkownik Glabisz i ja — zapisujemy zarządzenia generała Sikorskiego, ażeby natychmiast wydać je w formie pisemnych wytycznych. W skrócie rozkazy te przedstawiają się następująco: I-szy Korpus Pancerno-Motorowy w Szkocji: 2 dywizje: pan-

cerna i lekka, poza tym Brygada Czołgów i Brygada Spadochronowa — mają otrzymać z Rosji 10.500 ludzi uzupełnień; II-gi Korpus na Bliskim Wschodzie pod dowództwem generała Zająca lub generała Kopańskiego: 2 dywizje piechoty typu brytyjskiego i III-ci Korpus w Rosji Sowieckiej pod dowództwem generała W. Andersa: 3 dywizje piechoty à 11.000 każda, typu rosyjskiego; korpus generała Andersa z c z a s e m, ewentualnie, zależnie od położenia, może być przeniesiony do Persji.

Zwracam uwagę generałowi Klimeckiemu, że rozkazy te nie zgadzają się z tym, co podaliśmy poprzednio na życzenie Churchill'a Sztabowi Brytyjskiemu. Sztab Brytyjski został zawiadomiony, że w Szkocji zobowiązujemy się sformować tylko jedną pancerną dywizję i brygadę spadochronową, reszta zaś sił lądowych polskich będzie formowana albo w Rosji Sowieckiej, albo na Bliskim Wschodzie; to ostatnie — Bliski Wschód — najbardziej by odpowiadało Sztabowi Brytyjskiemu. Generał Klimecki odpowiada, że Sztab Brytyjski będzie zawiadomiony i przypuszcza, że się zgodzi na powiększenie sił naszych w Wielkiej Brytanii.

Po przerwie obiadowej, w czasie której mamy (Oddział II) spotkanie kolejne z pułkownikiem Morawiec, podpułkownikiem Lukas i innymi oficerami Czechosłowackiej Armii na temat położenia na froncie niemieckim, ma być dalszy ciąg odprawy.

Od godziny 15.30 jest wznowienie obrad odprawy, jest to dla mnie najbardziej ciekawa jej część, ponieważ generał Anders ma dać nam szczegółową ocenę położenia w Rosji Sowieckiej i na froncie wschodnim przeciwko Niemcom.

Generał Anders rozpoczyna swą ocenę położenia Rosji Sowieckiej od stwierdzenia, że jeżeli niemiecka ofensywa tego roku (1942) będzie w nosiła 75% siły niemieckiego uderzenia zeszłego, 1941 roku, to Rosja Sowiecka nie wytrzyma i będzie rozbita.

Przechodząc do szczegółowej analizy położenia Rosji, generał Anders podkreśla, że jesienna, niemiecka ofensywa 1941 roku na Moskwę była powstrzymana w pierwszym rządzie warunkami atmosferycznymi i terenowymi — deszcze i roztopy, błotniste drogi i teren, a w listopadzie 1941 roku niezwykle wczesna i bardzo ostra zima — i dopiero w drugim rządzie oporem wojsk sowieckich, a w szczególności działaniami, przybyłych na czas pod Moskwę korpusów syberyjskich, które zatrzymały i odrzuciły Niemców spod samej Moskwy. Generał Anders twierdzi, że przyczyny niepowodzeń niemieckich leżały w błędach działania zagonami pancernymi na określonych kierunkach, jak Leningrad, Moskwa, Charków, Rostów, zamiast prowadzenia natarcia na całym froncie. Generał Anders jest zdania, że Niemiecki Sztab przeliczył się w ocenie „in minus” sił rosyjskich.

Co do położenia samej Rosji Sowieckiej, to obecnie są trzy zagadnienia najbardziej zasadnicze: sprawa żywności, całość zaopatrzenia i problemy transportowe. Sytuacja żywnościowa w

Rosji Sowieckiej jest krytyczna; żywności wystarcza zaledwie dla wojska na froncie; tyłowe jednostki otrzymują rację znacznie mniejszą niż jednostki bojowe; ludność cywilna w Rosji dosłownie głoduje. Sowiecka racja dzienna dla żołnierza rosyjskiego na tyłach jest czterokrotnie mniejsza aniżeli racja żywnościowa brytyjska. Pod względem zaopatrzenia materiałowego w Rosji Sowieckiej widoczny jest brak broni. Sowieckie jednostki tyłowe nie posiadają zupełnie broni, a w szczególności na froncie brak jest broni nowoczesnej w pojęciu zachodnim. Transport kolejowy w Sowietach jest zdeorganizowany; panują tu duże nieporządki na całym tyłach frontu sowieckiego. Generał Anders mówi, że morale wojska rosyjskiego jest o g ó l n i e w y s o k i e , słabsze w oddziałach tyłowych. Generał Anders twierdzi, że, jak dotąd, wojnę obronną przeciwko Niemcom wygrywają w Rosji Sowieckiej k o m i s a r z e p o l i t y c z n i z pomocą wojsk NKWD, stosując niezwykle ostre środki zapobiegawcze przeciwko dezorganizacji. Dotychczas nie było żadnych fermentów wśród ludności lub wojska sowieckiego na tyłach Rosji. Generał Anders podaje, że 1/8 całej ludności Rosji Sowieckiej — około 20.000.000 osób — znajduje się w obozach przymusowej pracy, lub w miejscach zesłania na Syberii i w Turkiestanie. Rząd Sowiecki, stwierdza jednakże generał Anders, robi wszystko, co jest tylko w jego mocy, dla utrzymania w dobrym stanie wojska sowieckiego na froncie i dla skutecznego prowadzenia wojny przeciwko Niemcom. Generał Anders bardzo silnie podnosi i podkreśla, że wojsko rosyjskie, oddziały NKWD i Rosyjska Partia Komunistyczna będą się biły niesłychanie zacięcie z Niemcami. O powstaniach, czy ruchach kontrrewolucyjnych, w Rosji Sowieckiej n i e m a m o w y ; kontr-rewolucja mogłaby wybuchnąć tylko w j e d n y m w y p a d k u , a mianowicie w s z e r e g a c h m a s r o z b i t e g o , przez Niemców na froncie wojska r o s y j s k i e g o , powracającego z bronią do swoich domów, tak jak to było w latach 1917-18 za czasów rewolucji. Nienawiść R o s j a n do Niemców jest wielka; Niemcy zachowują się na zajętych obszarach Rosji po barbarzyńsku: palą domostwa, gwałcą kobiety, mordują ludzi, przymusowo zabierają ludność rosyjską, białoruską i ukraińską na roboty do Rzeczy Niemieckiej. Zachowanie się Niemców, wojsk niemieckich, w Rosji — według generała Andersa — wpłynęło w dużym stopniu na u t r z y m a n i e m o r a l e i c h ę c i w a l k i Rosjan, pomimo niepowodzeń i trudności życia. Generał Anders powtórza jeszcze raz, że o kompromisowym pokoju między Rosją Sowiecką a Niemcami nie może być mowy.

Położenie wojska niemieckiego, patrząc od strony Rosji, mówi generał Anders, wskazywałoby, że Niemcy byli po prostu zaskoczeni koniecznością prowadzenia kampanii zimowej 1941 roku i przygotowywania letniej na rok 1942. Niemcy w Rosji nie posiadają ekwipunku zimowego; wyglądają, sądząc na podstawie wziętych przez Rosjan jeńców, jak armia napoleońska w

czasie odwrotu z Moskwy w 1812 roku, są w łachmanach i w nieprawdopodobnych ubiorach. Zima tego roku w Rosji była wyjątkowo wczesna i surowa; mrozy, dochodzące do — 52 stopni Celsjusza, rozpoczęły się już w początkach listopada 1941 roku. Jeńców niemieckich w Sowieckiej Rosji jest bardzo mało, podobno zaledwie 20.000. Morale niemieckiego żołnierza jest bardzo wysokie. Przewidywania generała Andersa, co do działań niemieckich w 1942 roku są następująco: Niemcy uderzą na odcinku południowym frontu, na południe i północ od Orła, gdzie znajduje się armia pancerna generała Guderiana (kierunek uderzenia — na Moskwę). Niemcy, zdaniem generała Andersa, zastosują w tej ofensywie (w roku 1942) masowo gazy, miotacze płomieni i super-tanki. Początek ofensywy niemieckiej generał Anders widzi w drugiej połowie maja br. (1942) i p r z y p u s z c z a , że niemiecka armia szybko dojdzie do Wołgi i opakuje Moskwę.

Generał Anders wypowiedział tę ocenę z pamięci, bez posługiwania się notatkami lub dokumentami. Mówił on bez przerwy co najmniej 20 minut i, trzeba przyznać, robiło to d u ż e w r a ż e n i e , jako przemówienie, wypowiedziane z dużą siłą, logicznie i... bardzo prawdziwie. Zastanowiło mnie bardzo wstępne twierdzenie generała Andersa, że nawet słabsze, niż zeszloroczne, uderzenie niemieckie m o g ł o b y w tym roku (1942) p o k o n a ć Rosję Sowiecką, przy jednoczesnym o b i e k t y w n y m i zgodnym z nami, ze Sztabem Naczelnego Wodza w Londynie, ocenianiu siły ustroju Sowieckiej Rosji i podnoszeniu wysokiego morale i woli walki z Niemcami ze strony Rządu Sowieckiego, Partii Komunistycznej i wojska r o s y j s k i e g o , a również i Narodu Rosyjskiego.

Po daniu oceny położenia w Rosji Sowieckiej generał Anders przeszedł do charakterystyki sytuacji swoich jednostek wojska i warunków, w jakich w Sowietach znajduje się polska ludność cywilna, wywieziona przymusem i gwałtem przez władze sowieckie z naszych wschodnich województw.

Dalsze formowanie wojska naszego w Sowietach zostało wstrzymane zarządzeniem Stalina o obciążeniu racji żywnościowych dla wojska polskiego do 30.000, podczas, gdy o s t a t n i o stan wyżywienia wojska naszego wynosił już 70.000. Po osobistej rozmowie Stalina z generałem Andersem — podaje gen. Anders — tuż przed jego wyjazdem do Londynu, zostało ustalone, że w Rosji Sowieckiej m o ż e pozostać w składzie wojska polskiego i otrzyma żywność według norm tyłowych tylko 44.000 ludzi, zaś reszta m a o d e j ś ć do Persji i przejść na zaopatrzenie Brytyjskie. Generał Sikorski, mocno tym poruszony, przypomina gen. Andersowi, że umowa z 4 grudnia 1941 roku (Sikorski — Stalin w Moskwie) zawierała i n n e p o s t a n o w i e n i a , c o d o c y f r l i c z e b n y c h wojska polskiego w Rosji Sowieckiej. Generał Anders odpowiada — tonem ostrym i podrażnionym — że obowiązuje o s t a t n i a j e g o r o z m o -

w a ze Stalinem w Moskwie, a poprzednia umowa Generała Sikorskiego nie wchodzi już w rachubę. Generał Anders mówi dalej: nastroje w naszym wojsku w Rosji Sowieckiej są dobre; wojsko jest dobrze zaopatrzone i wyekwipowane, dzięki transportom zaopatrzenia brytyjskiego; wojsko nie posiada tylko broni. Generał Anders poddaje surowej krytyce oficerów i podchorążych polskich, przysłanych do Rosji z Wielkiej Brytanii, mówi, że przyszli oni jak na ścięcie, że są oni bardzo niechętni i, jakkolwiek czarnymi barwami malowali stosunki w polskim wojsku w Anglii i w Szkocji, chętnie by tu powrócili. Polska ludność cywilna jest w sytuacji niesłychanie ciężkiej, znacznie gorszej, aniżeli miejscowa ludność rosyjska, gdyż nie umie dostosować się do warunków lokalnych. Śmiertelność wśród dzieci i starych wynosi około 60%. Wojsko polskie w Rosji dzieli się swoimi racjami żywnościowymi z ludnością cywilną, która o ile możności, stara się trzymać jak najbliższym obozów wojska polskiego i masowo przywędrowała za wojskiem do Turkiestanu. Dla zobrazowania trudności życia ludności cywilnej, generał Anders podaje ceny wolnego rynku w Rosji Sowieckiej, które znacznie przekraczają możliwości utrzymania się nawet przy posiadaniu pracy zarobkowej.

Na zakończenie swojego referatu, wysłuchanego przez obecnych z ogromnym zaciekawieniem, generał Anders przedstawia swój plan organizacyjny, powtarza on to, co mówił przy Prezydencie R.P. Raczkiewicz, a mianowicie, o koniecznej potrzebie zebrania całości sił lądowych polskich na jednym obozowisku, na Bliskim Wschodzie. Powinna tam być zgromadzona, zdaniem generała Andersa, całość sił zbrojnych polskich na obczyźnie, z wyjątkiem Lotnictwa i Marynarki Wojennej. Generał Anders uzasadnia swoje plany następującymi argumentami: 1. z Bliskiego Wschodu wojskom polskim będzie najdogodniej wkroczyć do Kraju (do Polski) jednocześnie i wspólnie z wojskami rosyjskimi, wchodzącymi od Wschodu, 2. otwarcie dalszej rekrutacji i ewakuacji z Rosji Sowieckiej uzależnione jest przez Stalina od przeniesienia większości wojska polskiego z Rosji na Bliski Wschód, ponieważ w ten sposób ułatwi się Rosjanom sprawę wyżywienia.

Argumenty generała Andersa w widoczny sposób nie odpowiadają, nie przemawiają do przekonania, generałowi Sikorskiemu. Generał Kukiel aż zżyma się na swoim miejscu. Generał Sikorski przerywa i zadaje gen. Andersowi szereg pytań. W dodatku, dla mnie, argumentacja generała Andersa nie jest całkiem jasna; wydaje się, że sam sobie przeczy, mówiąc o wspólnym wkroczeniu do Rosjanami do Polski, bo przecież bliższej drogi, niż kierunek Moskwa — Warszawa, gdy myślimy, my Polacy, prawdziwie o współpracy i wspólnym, zgodnym wkroczeniu do Warszawy — nie ma. Podobnie i drugi argument generała Andersa jest nie jasny.

Chyba, że generał Anders nie domawia swoich planów i przewidyje rozbięcie Rosji Sowieckiej przez Niemcy.

Generał Sikorski usiłuje wydobyc od generała Andersa, o co mu chodzi. Jednak niczego nie osiąga. Generał Anders w sposób zdecydowany, stanowczy i natarczywy domaga się decyzji Naczelnego Wodza przeniesienia całej swej armii z Rosji Sowieckiej na Bliski Wschód, a jednocześnie gwałtownie protestuje przeciwko oddaniu większych uzupełnień z Rosji, dla innych formowań.

Generał Sikorski, zamykając pierwszy dzień odprawy, raz jeszcze potwierdza wydane poprzednio zarządzenia: Armia generała Andersa pozostaje w Rosji Sowieckiej (Turkiestan) w sile 44.000 ludzi, ma sformować 3 — 4 dywizje piechoty, typu, jaki generał Anders uzna sam, w porozumieniu ze Sztabem Sowieckim, za odpowiedni i zgodny z umową (z Rosją); generał Anders ma oddać 29.000 ludzi, jako uzupełnienie dla I i II Korpusów polskich; dalsze nadwyżki ze wznowionej ewentualnie rekrutacji w Sowietach — o co generał Sikorski zwrócił się natychmiast do Rządu Sowieckiego i bezpośrednio do Stalina — mają być kierowane na Bliski Wschód. Generał Sikorski oznajmia zebranym, że chce tam zorganizować większe siły polskie, odpowiadając życzeniom Sztabu Brytyjskiego i naszym własnym polskim potrzebom, ale nie przez „dziką” ewakuację z Rosji Sowieckiej i nie dla zaspokojenia czyichkolwiek osobistych ambicji (pitem to było niewątpliwie do generała Andersa!).

Na tych zarządzeniach generała Sikorskiego odprawa zostaje późnym wieczorem odroczone aż do dnia 27 kwietnia 1942 roku.

W międzyczasie, generał Anders i generał Kopański mają pojechać z wizytami do oddziałów 1-go Korpusu, do Szkocji. Generał Anders przyjmuje bez zbytniego entuzjazmu zaproszenie generała Kukiela, najwidoczniej nie jest on specjalnie ciekawy oglądania „opasłych brytanów”, jak podobno nazywają polskich żołnierzy z Anglii w wojsku polskim w Rosji.

Po wygłoszeniu przez generała Andersa na odprawie wyższych dowódców oceny położenia Rosji, co wywołało niezwykle ożywione komentarze w naszym Sztabie Naczelnego Wodza i rozniósł się po całym naszym wojsku i naturalnie doszło do Brytyjczyków, zwrócił się do mnie Szef Brytyjskiej Intelligence Service, generał Davidson, po raz drugi z prośbą, aby generał Anders wziął udział w konferencji w War Office i ażeby dał naświetlenie położenia na froncie Wschodnim (rosyjsko-niemieckim) i wewnętrznego położenia w Rosji Sowieckiej. Po uzgodnieniu przeze mnie z generałami Andersem i Klimeckim, spotkanie zostało wyznaczone na 30 kwietnia br., po południu. Teżoż dnia Szef Imperialnego Sztabu Brytyjskiego generał Sir Alan Brooke ma podejmować generałów Andersa i Kopańskiego śniadaniem. Komunikując generałowi Andersowi o konferencji w War Office, mam z nim przygotowawcą — z mego stanowi-

ska — dłuższą rozmowę, w której przekonywuję i proszę go, aby w swoim naświetleniu w War Office mówił t y l k o o analizie sytuacji w Rosji Sowieckiej; powiedziałem generałowi Andersowi, że ocena jego jest najzupełniej słuszna jeśli idzie o analizę położenia Rosji Sowieckiej, natomiast jest n i e s ł u s z n a we wnioskach. W szczególności starałem się przekonać generała Andersa, że jego twierdzenie, iż 75% siły niemieckiego uderzenia z roku 1941 m o g ł o b y r o z b i ć Rosję Sowiecką w roku 1942, n i e w y d a j e s i ę nam tutaj, w Londynie, za uzasadnione i za słuszne. Powiedziałem generałowi Andersowi, że Sztab Polski od dwóch lat współpracuje w Londynie ze Sztabem Brytyjskim i ze Sztabami wszystkich naszych Aliantów nad rozpoznawaniem sił i możliwości Niemiec i że jesteśmy zdania, myśląc o Sztabach Alianckich w Londynie, że bezwzględny stosunek sił na froncie wschodnim poprawił się ostatnio na korzyść Rosji Sowieckiej. Proponuję generałowi Andersowi, aby na konferencji w War Office poprzestał na podaniu swojej d o s k o n a ł e j analizy położenia w Rosji Sowieckiej, nie posuwając się do ryzykownych wniosków i przepowiedni, że istnieje możliwość, w jego przekonaniu, że Niemcy mogłyby w tym roku rozbić Rosję Sowiecką. Generał Anders wysłuchał mnie bardzo uprzejmie, nie wyrażając jednak żadnych uwag odnośnie tego, co będzie mówił na konferencji w War Office.

Postanowienia Naczelnego Wodza z odprawy z dnia 23 kwietnia 1942 roku uległy wielkiej modyfikacji. Generał Sikorski zmienił gruntownie swój pierwotny plan. Koncepcja zorganizowania I Korpusu polskiego o dwóch dywizjach i dwóch brygadach w Szkocji całkowicie upadła. Zmienił również zostały cyfry uzupełnień z Rosji; do Wielkiej Brytanii ma przybyć nie 15.000, a tylko 8.000 ludzi, tak jak chciał generał Anders. Sprawa uzupełnień z armii generała Andersa dla Bliskiego Wschodu i zamierzone tam formowanie nowych dwóch dywizji zostało zawieszona. Powody tych zmian: rzekome trudności transportowe ze strony Anglików — zakomunikowane generałowi Sikorskiemu bezpośrednio po odprawie 23 kwietnia br. Jednocześnie mam pewność, na podstawie wiadomości, że generał Sikorski pod wpływem i pod naciskiem bardzo poważnych nalegań z różnych stron — polskich i angielskich — zmienił swą decyzję i, zdaje się, zgodzi się na przesunięcie całości wojsk polskich z Rosji Sowieckiej do Persji.

27 kwietnia 1942 roku nastąpiło zakończenie odprawy najwyższych dowódców Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie. W czasie konferencji w tym dniu wynikały bardzo trudne i mocno nieprzyjemne sytuacje, wskazujące wyraźnie na opozycyjny stosunek generała Andersa do planów politycznych i wojskowych generała Sikorskiego i ponadto wyraźnie ujawniające, że generał Anders z n a ł a z ł w Londynie, między Polakami i między Anglikami, pewne drogi, aby zyskać poparcie dla swoich zamierzeń i aby wymusić zgodę na to generała Sikorskiego.

Próbuję tu odtworzyć słowa generała Sikorskiego, wypowiedziane przy rozpoczęciu się odprawy 27 kwietnia br.: „W niedzielę miałem czterogodzinną rozmowę z Premierem Churchillem, z Edenem i Crippsem. Churchill, nie mówiąc już o Edenie, wywiera na mnie silną presję, aby zgodzić się na układ Brytyjsko-Rosyjski, oddający Rosji państwa Bałtyckie z Litwą, Besarabię i Bukowinę, z tym, że sprawy polskich granic wschodnich byłyby wyłączone z układu przez specjalne omówienie, umieszczone w jego tekście i odłożone do załatwienia na okres powojenny. Szczególniej ostro występował przeciwko nam (Polsee) Cripps, który naszą notę, domagającą się wyłączenia Litwy i Bukowiny ze sfery rosyjskiej, nazwał polską megalomanią. To też przypuszczam, że promotorem tej całej akcji jest właśnie Cripps, jako były ambasador Brytyjski w Rosji i właściwy twórca porozumienia Brytyjsko-Rosyjskiego w czasie tej wojny. W odpowiedzi tym wszystkim panom, nie zmieniłem naszego stanowiska, podanego w poprzednich notach Rządu Polskiego”. Zwracając się w tym miejscu do generała Andersa, generał Sikorski powiedział: „Cripps wspominał mi, że rozmawiał na ten temat z Panem Generałem i że Pan wypowiedział się za zawarciem tego rodzaju umowy pomiędzy Anglią a Sowiecami”. Generał Anders, nie wstając z krzesła, odpowiada: „Nic podobnego nigdy nie mówiłem Crippsowi!” Na to generał Sikorski: „Ale Cripps twierdzi, że z Panem by się dużo łatwiej porozumiał i dogadał w tej sprawie, niż z kimkolwiek innym!” Generał Anders odpowiada na to ostro, tonem podrażnionym, czerwony z gniewu: „W rozmowie z Crippsem na tematy p o l i t y c z n e powiedziałem, że przyznanie Państwa Litewskiego Rosji Sowieckiej będzie dużym wstrząsem dla Polaków w Kraju i wywoła bardzo złe wrażenie”.

Rozmowa ta między obydwojema generałami, z których jeden jest Naczelnym Wodzem obecnie, a był w 1920 roku Dowódcą 5-ej Armii Polskiej, generałem bardzo zasłużonym Ojczyźnie, podczas, gdy drugi był podówczas bardzo młodym dowódcą 15 pułku ułanów, podpułkownikiem, odbywa się w mocno podniesionym tonie z obu stron. Wrażenie z tej rozmowy jest arcy-nieprzyjemne dla mnie, i — sądzę — dla wszystkich obecnych.

Generał Sikorski przechodzi następnie do dalszego omawiania politycznych wydarzeń w związku z układem Brytyjsko-Sowieckim. Rząd Wielkiej Brytanii wyodrębniła wprawdzie s p r a w ę naszej wschodniej granicy ze Związkiem Sowieckim — mówi generał Sikorski — lecz zarazem z g a d z a s i ę n a s o w i e c k i e g r a n i c e z 1940 roku, akceptując aneksję przez Rosję Sowiecką Państw Bałtyckich (Litwy, Łotwy i Estonii) Besarabii i Bukowiny. Generał Sikorski n i e m ó w i n i c w y r a ż n i e o naszej granicy wschodniej z Rosją Sowiecką, ale jasne jest, że układ Brytyjsko-Rosyjski p r z e k r e ś l a naszą granicę wschodnią, według traktatu Ryskiego z 1921 roku.

Powracając następnie do spraw organizacyjnych naszego wojska, generał Sikorski oświadcza, że ze względu na trudności transportowe Sztab Brytyjski nie obiecuje szybkiego przewiezienia uzupełnień z Sowieckiej Rosji do Wielkiej Brytanii i dlatego generał Sikorski zdecydował się na zmniejszenie ilości uzupełnień dla I Korpusu w Szkocji do liczby 8.000 ludzi, reszta — 21.000, ma pójść na Średni i Bliski Wschód. Ta ostateczna decyzja generała Sikorskiego zmienia cały plan Sztabu Naczelnego Wodza — generałowie Kukiel i Klimecki są tym najwyraźniej dotknięci.

Generał Sikorski, który prowadzi konferencję dzisiejszą w sposób bardzo nerwowy i mocno podniecony, powraca raz jeszcze do zagadnień politycznych; padają z jego ust słowa, wypowiedziane z prawdziwą goryczą: „Polityka angielska w stosunku do nas, Polski, jest nieszczerą, podobnie, jak i sowiecka; jesteśmy w bardzo trudnym położeniu i jesteśmy zdani coraz bardziej na samych siebie”.

Po generale Sikorskim miał zabrać głos generał Kukiel, ale rezygnuje i oświadcza, że wobec podanych nam ostatecznych decyzji Naczelnego Wodza nie ma nic do zameldowania. Widać, że generał Kukiel jest mocno urażony. Z przebiegu tej odprawy z najwyższymi dowódcami naszych sił zbrojnych wynoszę złe wrażenia i jeszcze gorsze przecucia.

Wieczorem tegoż dnia, w parę godzin po zakończeniu odprawy, która spowodowała złożenie dymisji przez generałów Kukiela i Klimeckiego, zresztą nieprzyjętych przez Naczelnego Wodza, jestem wezwany do generała Sikorskiego, do prywatnego jego mieszkania, gdzie otrzymuję osobiście rozkaz natchmiasutowego depeszowania najściślej poufnie do naszego ambasadora, profesora Stanisława Kota, do Kujbyszewa, aby na specjalnej audyencji u Stalina — o co ma go w imieniu generała Sikorskiego prosić — dowiedział się, w jakim związku jest sprawa otwarcia dalszej rekrutacji i ewakuacji w Rosji Sowieckiej ze sprawą przeniesienia naszego wojska w całości z Sowietów do Persji. Generałowi Sikorskiemu zależy na tym bardzo, co mnie wyjaśnia, aby sprawdzić, czy istotnie Stalin i Rząd Sowiecki pragną odejścia wojsk polskich z Rosji Sowieckiej do Persji, tak, jak to w czasie odprawy twierdził generał Anders (1).

Depeszę tę napisałem i po podcyfrowaniu przez generała Sikorskiego po powrocie do Sztabu nadałem przez majora Witolda Jacewicza, szefa Biura Szyfrów Sztabu N.W.

Późnym wieczorem tegoż dnia czytałem wywiad generała Andersa udzielony przedstawicielowi Reutera i umieszczony w angielskich pismach. Generał Anders mówił dużo o siłach Niemiec, a mało o Rosji Sowieckiej; bardzo dużo o swoim wojsku w Sowietach, ale nie wspomniał ani jednym słowem o tym, któ-

remu zawdzięcza swoje uwolnienie z więzienia sowieckiego i który oddał mu dowództwo nad armią polską w Sowietach, z której obecnie jest tak dumny. Nie wspomniał generał Anders żadnym słowem o swoim Naczelnym Wodzu, o generale Władysławie Sikorskim.

30 kwietnia 1942 roku

Generał Sir Alan Brooke podejmował dziś śniadaniem generała Sikorskiego i wyższych przedstawicieli Sztabu Polskiego z generałami Andersem i Kopańskim na czele. Ze strony Brytyjskiej byli obecni: marszałek lotnictwa Portal, generałowie: Cory, Davidson, Kennedy, Wilson oraz jeszcze kilku innych. Rozmowa mieszana: częściowo po francusku, częściowo po angielsku, bo mało kto z nas, Polaków, mówi swobodnie po angielsku. Generał Anders był powściągliwy w swoich opiniach o Rosji Sowieckiej i o położeniu na froncie wschodnim. Generał Kopański, jak zwykle dotychczas milczał, odpowiadając jedynie na zadawane mu pytania, za to słuchał wszystkiego z nadzwyczajną uwagą. Generał Sikorski dużo rozmawiał z generałem Brooke i marszałkiem Portal o sprawach organizacyjnych naszego wojska lądowego (i dywizja pancerna generała Stanisława Maczka) i lotnictwa. Moje miejsce wypadło pomiędzy generałami Kennedy i Wilson; generał Kennedy naprawdę zachwycał się naszym Jędrusiem (pułkownik dypl. Andrzej Marecki, Szef Oddziału III (Op.) Sztabu Naczelnego Wodza, z którym generał Kennedy, jako Szef Operacyjnego Oddziału Sztabu Imperialnego Brytyjskiego miał ostatnio kilka spotkań służbowych i konferencji.

O godzinie 16,30 z pewną treścią pojechałem z generałem Andersem do War Office na zapowiedzianą konferencję. Obawiałem się tego, co generał Anders powie w ocenie położenia na froncie wschodnim i o sytuacji w Rosji Sowieckiej. Zdanie generała Andersa będzie miało duże znaczenie i wagę dla Brytyjskiego Sztabu. Ewentualnie popełnione przez nich w stosunku do Rosji Sowieckiej błędy będą, niestety, przez nas, Polskę, przede wszystkim zapłacone. Tym razem jednak nie nic mówiłem, ani nie proponowałem generałowi Andersowi.

Konferencja odbyła się w gabinecie służbowym generała Davidsona; było kilku starszych oficerów brytyjskich. Rozmowa była prowadzona po francusku — generał Anders doskonale włada tym językiem (ukończył Ecole de Guerre w Paryżu). Generał Anders powtórzył dosłownie — po francusku — to, co mówił na odprawie w Sztabie naszym, a szczególnie mocno podkreślił, że jeżeli Niemcy uderzą w tym roku (1942) tylko w 75% tak silnie, jak w roku zeszłym, to Związek Sowiecki, Rosja, będzie na pewno pobita. Generał Anders zakończył oświadczeniem, że mówił najzupełniej prywatnie i szczerze, prawdziwie, tak jak on sam

(1) Depesza ta nie podana jest w książce profesora S. Kota „Listy z Rosji do Gen. Sikorskiego”, ani też nie jest podana jego odpowiedź na nią.

myśli i w co mocno sam wierzy. (Uspokoilem się po tym powie-  
dzeniu !)

Angielski generał Davidson był formalnie zaskoczony opi-  
niami generała Andersa o Rosji i nawet zapomniał o swojej  
szkockiej flegmie, wdając się w kilkakrotnie mocno ożywione dy-  
skusje z generałem Andersem. Nawet francuski (bardzo nie tę-  
gi) szedł mu dobrze, gdy przeciwstawiał się ocenom generała  
Andersa i podnosił, że położenie Niemiec jest dużo trudniejsze,  
niż Rosjan, że Niemcy są osłabione stratami proporcjonalnie  
znacznie większymi, aniżeli straty rosyjskie, że wojsko niemie-  
ckie jest zmęczone walkami zimowymi. Generał Davidson z du-  
żym wigorem twierdził, że doświadczenia kampanii 1941 roku  
wskazują, iż Naczelne Dowództwo Rosyjskie i rosyjskie Sztaby  
wyższych związków operacyjnych wykazały się dobrą pracą i że  
ogólnie Rosjanie w zeszłym roku (1941) zdobyli duże doświad-  
czenia, jak przeciwstawiać się niemieckim operacjom i niemieckiej  
taktyce na polu walki. Generał Davidson w jednym zgadzał  
się z generałem Andersem: w ocenach, dotyczących trudności  
rosyjskich w dziedzinie transportowej i żywnościowej. Na zakoń-  
czenie konferencji generał Davidson powiedział z naciskiem, że  
liczy na to, że Rosja wytrzyma i odeprze tegoroczne uderzenie  
niemieckie, a zarazem nie sądzi, aby Niemcy byli zdolni zdobyć  
się na 75% wysiłek z roku 1941, o którym mówił generał Anders.

13 maja 1942 roku

Generał Anders zakończył swoje sprawy w Londynie i odla-  
tuje jutro do Rosji. Otrzymałem polecenie pożegnania go na  
lotnisku w imieniu generała Sikorskiego.

Obserwując, nawet gołym okiem, widać, że stosunki po-  
między generałem Sikorskim i generałem Andersem są co naj-  
mniej ogromnie naprężone, jeśli można to kryterium zastosować  
do dowódcy korpusu, czy nawet armii, względem swego Naczel-  
nego Wodza. Generał Sikorski najwidoczniej stracił do gene-  
rała Andersa, poprzednie zaufanie w kwestiach politycznych,  
które było oparte głównie na jego czynnym udziale przeciwko  
przewrotowi majowemu w roku 1926. Generał Sikorski widzi  
obecnie, że generał Anders znajduje się na zupełnie odmiennym  
płaszczyźnie poglądów politycznych, niż się tego po nim spo-  
dziewał. Między innymi, generał Sikorski widzi — niedawno  
mówił mi o tym — w generale Andersie nadmiar, przerost am-  
bicii osobistych i pewny brak lojalności w stosunku do siebie,  
jako Naczelnego Wodza. Tym niemniej generał Sikorski, co  
zawsze mocno podkreślał, n a d a l widzi w generale Ander-  
sie dobrego dowódcę wyższego szczebla, uzdolnionego wojskowo,  
z dużym poczuciem inicjatywy. Zachowanie się generała Ander-  
sa w Rosji Sowieckiej od czasu objęcia dowództwa nad polskim  
wojskiem, jak mi to mówili generał Sikorski i zwłaszcza generał  
Klimecki, było bez planu długodystansowego, a zatem mało prze-

myślane. Generał Anders rozpoczął w sierpniu 1941 roku, po  
objęciu dowództwa nad wojskiem polskim w Rosji Sowieckiej,  
od zbytecznej, mocno zakrapianej wylewności i przyjaźni, wzglę-  
dem Rosjan. Doszło też z początku do pozorów, przynajmniej,  
wielkiej i obustronnej „przyjaźni”, jakby na to wskazywały  
liczne prezenty od dygnitarzy sowieckich, między innymi i sa-  
meo Stalina, otrzymane przez generała Andersa. Trwało to  
jednak bardzo krótko. Już z początkiem 1942 roku wiadomości  
ze Sztabu generała Andersa, i od niego samego, przychodziły  
do Londynu, że wszystko zaczyna się psuć, że przyjęta taktyka  
szukania „przyjaźni” sowieckiej, albo i r o s y j s k i e j ,  
była zupełnie błędna.

Może też o b e c n i e generał Sikorski z a ł u j e, że  
nie usłuchał głosów ludzi bardzo poważnie przestrzegających Go,  
w sierpniu 1941 r., przed wyznaczeniem generała brygady Wła-  
dysława Andersa na dowódcę wojska polskiego w Rosji Sowiec-  
kiej (2).

Nie zamierzam winić tutaj nikogo, ani generała Andersa,  
ani jego najbliższego otoczenia, ani naszych żołnierzy w Rosji  
Sowieckiej, chodzi mi tylko o p o d k r e ś l e n i e, że pod-  
czas, gdy z jednej strony (sowieckiej) d o k ł a d n i e w i e d-  
ziano, czego się pragnie i do czego się zmierza, to z drugiej  
strony (polskiej) takiego planu i wykonania n i e b y ł o ani  
ślądu. Był jeden tylko plan, obecnie przez generała Andersa  
przeprowadzany: o p u ś c i ć S o w i e t y j a k n a j p r e d z e j  
i z a w s z e l k ą c e n ę. Zapewne niebawem tak się  
właśnie stanie, a l e c o b ę d z i e p ó ź n i e j ? zwłaszcza,  
jeżeli się nie sprawdzą horoskopy generała Andersa o pobiciu  
Rosji Sowieckiej przez hitlerowskie Niemcy. — Och ! — *après  
nous le déluge !*

14 maja 1942 roku. Hotel Rubens. Londyn.


O godzinie 14.45 zęgnąłem generała Andersa na lotnisku  
Hendon w Londynie w imieniu Naczelnego Wodza Generała  
Sikorskiego. Oprócz mnie przybyli pożegnać generała Andersa  
radca dr Retinger, nasz „Chargé d'affaires” w początkach na-  
wiązywania stosunków z Rosją Sowiecką w sierpniu 1941 roku,  
zresztą gorący wielbiciel generała Andersa, i porucznik Pusłowski,  
Adiutant Prezydenta R.P., aby pożegnać generała Andersa  
w imieniu Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Raczkiewicza.

Generał Anders jest w doskonałym, bajecznym humorze,  
niezwykle zadowolony z wyników swojej wizyty w Londynie.

Leon MITKIEWICZ

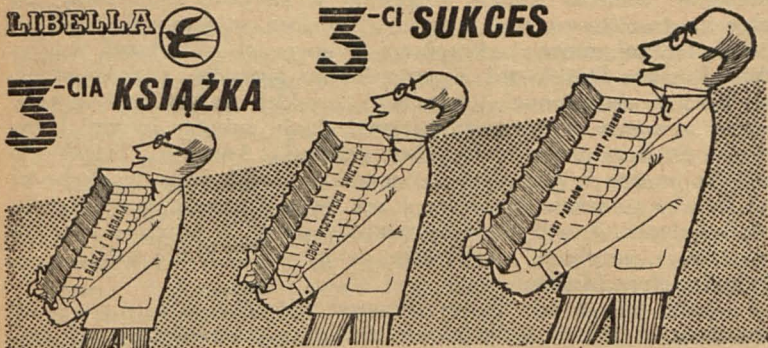
(2) W sierpniu 1941 roku generał Sikorski myślał o mianowaniu dowód-  
cą wojsk formowanych w Rosji Sowieckiej generała dywizji Stanisława Hal-  
lera albo generała broni — Szeptyckiego.



LIBELLA 

3-CIA KSIĄŻKA

3-CI SUKCES



*Nowe wydawnictwa "Libelli"*

FLORIAN CZARNYSZEWICZ

**LOSY PASIERBOW**

Z przedmową Józefa CZAPSKIEGO

Cena: franków 850. — sh. 17/.— — dolarów 2.50.

*Warunki sprzedaży:*

Jeżeli ktoś mieszka we: Francji, Belgii, Holandii, Szwajcarii, Szwecji, Austrii, Niemczech, Luksemburgu lub we Włoszech, książkę możemy wysłać za zaliczeniem pocztowym, płatną przy odbiorze listonoszowi.

Jeżeli ktoś mieszka w Stanach Zjednoczonych należność może nam przesłać czekiem swego banku wystawionym w dolarach na „Libella” lub też może przekazać bez trudu za pośrednictwem poczty „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w: Kanadzie, Australii lub Nowej Zelandii należność może nam przekazać za pośrednictwem poczty — „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w innych krajach jak: Brazylia, Venezuela, Congo belgijskie itp. należność może przekazać nam za pośrednictwem banku.

Jeżeli ktoś mieszka w Polsce, może poprosić swego krewnego lub znajomego mieszkającego zagranicą, aby książkę u nas zakupił i mu wysłał.

*Zamówienia wraz z należnością przesyłać do:*

**“LIBELLA”**

**12, rue St. Louis-en-l'Île, Paris IV<sup>e</sup>  
France**

Książki

## “Odczyty Filozoficzne”

Książka Tadeusza Czeżowskiego (1), profesora logiki na Uniwersytecie im. M. Kopernika w Toruniu, jest zbiorem prac, które częściowo ukazały się drukiem w różnych czasopismach, częściowo znane są ze streszczeń opublikowanych w Sprawozdaniach z posiedzeń Akademii Umiejętności i Towarzystwa Naukowego w Toruniu, częściowo zaś nie były dotąd drukowane. Wielka różnorodność tematów oraz metody wykładu sprawiają, iż zarówno wykształcony filozof jak i nieobeznany a interesujący się filozofią czytelnik znajdzie w „Odczytach Filozoficznych” rzeczy, które przeczyta z pożytkiem i przyjemnością. Książka wydana jest estetycznie, korekta przeprowadzona starannie, co powiększa jej atrakcyjność. Od „Logiki”, wydanej w 1949 roku, jest to pierwsza książka Czeżowskiego.

Odczyty zebrane w tym zbiorze podzielone są na dwie części noszące odpowiednio tytuł „Teoria i rzeczywistość” oraz „Sens życia”. Część pierwsza składa się z artykułów pisanych dla filozofów i głównie wśród nich zapewne znajdzie czytelników. Nie będzie to jednak reguła pozbawiona wyjątków. Wykład „O naukach humanistycznych”, a również wstęp „W dziesięciolecie śmierci Kazimierza Twardowskiego”, wykraczają poza ramy zainteresowań i wiedzy wyspecjalizowanej. „O naukach humanistycznych” jest przystępną próbą, dokonaną przez teoretyka nauki, określenia genezy, przedmiotu, metod i miejsca nauk humanistycznych w całokształcie ludzkich umiejętności. O naukach humanistycznych piszą najczęściej humaniści w języku efektownym, bo mieniącym się od wieloznaczności i metafor, a w związku z tym niewiele jest z ich wysiłku pożytku. Wykształcony metodolog stroni natomiast od nauk humanistycznych, zajmuje się nimi marginesowo i nie wychodzi poza pewien zwyczajowo określony krąg zagadnień. Czeżowski podejmuje próbę przełamania tradycyjnych ograniczeń, a osiągnięte wyniki warte są podkreślenia. Wykład o Kazimierzu Twardowskim przyciąga uwagę szerszych kół czytelników z innych przyczyn. Twardowski był jedną z

(1) T. Czeżowski, *Odczyty Filozoficzne*, Toruń, Towarzystwo Naukowe w Toruniu, Prace Wydziału Filozoficzno-Filozoficznego, Tom VII, Zeszyt I, 1958, str. 323.

dominujących i najznakomitszych postaci w polskiej filozofii i kulturze pierwszej połowy naszego wieku. Każdy szczegół o nim wart jest zanotowania, tym bardziej zaś gdy sylwetkę kreśli jego uczeń, znający z osobistego doświadczenia sokratyczne walory umysłu i osobowości Twardowskiego.

Zasadniczy zrąb pierwszej części „Odczytów Filozoficznych” stanowią jednak rozważania z dziedziny metodologii i teorii nauk, w szczególności nauk przyrodniczych. Skupiają się one wokół pojęć prawdy, pewności, hipotezy, prawa, uzasadniania w ogólności, uzasadnienia prawdopodobieństwowego w szczególności, problemów indukcji. W analizach tych zagadnień zastosowana jest aparatura nowoczesnej logiki formalnej, której poświęconych jest kilka specjalnych odczytów. Wszystkie poruszone sprawy umieszczone są w obszernie rozbudowanym kontekście historycznym ukazującym ewolucję pojęć, zagadnień i metod. Czeżowski jest znakomitym znawcą historii problemów nauk przyrodniczych w ich aspekcie metodologicznym, a wiedza którą w tym zakresie posiada oświeśla drogę, jaką jego własna myśl dąży. Będąc filozofem jest on jednocześnie świadom, gdzie problemy metodologii stykają się z zagadnieniami teorii poznania i metafizyki. Świetnymi tego przykładami są np. odczyty „Zagadnienie istnienia świata w świetle przemian metodologicznych” i „Twierdzenia ogólne w teorii naukowej”, lub wreszcie „Poznanie zmysłowe i rzeczywistość”, niezwykle jasne przedstawienie kontrowersji między tzw. przyczynową teorią poznania a intuicjonistyczną teorią spostrzegania. Jak wydaje się piszącemu, ta ostatnia nazwa, nie jest szczęśliwie dobrana. Chodzi przecież w tej teorii o kierunek, który znany jest pod nazwą neo-realizmu (w jego różnorodnych odmianach), w literaturze angielskiej okreśłany czasem mianem *sensational realism*. Trudno jest również do ich wybitnych przedstawicieli w okresie ostatnich kilkudziesięciu lat zaliczyć obok Brentany i Kotarbińskiego również Macha. Wolno wątpić, czy Mach w ogóle do tego prądu należał. Jego miejsce przysługuje raczej G.E. Moore, który wśród filozofów XX wieku przyczynił się chyba najbardziej do ugruntowania realizmu teoriopoznawczego.

Szerszych jeszcze ram niż ramy teoriopoznawcze dostarcza dyskusji zagadnień teorii nauki odczyt „O dwóch poglądach na świat”, charakterystyka losów historycznych i obecnej pozycji dwóch przeciwstawnych postaw światopoglądowych — materialistycznej i antymaterialistycznej. Zdaniem Czeżowskiego obie te postawy straciły obecnie charakter teoretyczny i stały się praktycznymi, z czego bierze się ich wojowniczy ton i nastawienie dogmatyczne. Oba światopoglądy powołują się wojowniczy ton i czynić to mogą jedynie za cenę uproszczeń. Albowiem „nauka poszła dalej i wymaga innych metod stawiania i rozwiązywania zagadnień”. Brak na razie znaków, by wylaniała się nowa wielka synteza filozoficzna oparta o dzisiejszy stan wiedzy. Jest to, jak się zdaje, jedna z przyczyn skierowujących myśl Czeżowskiego ku badaniom teorii i metod nauki. Trudno jest powoływać się na naukową ścisłość lub brak jej zarzucić przeciwnikom, interpretować naukę, jaką była wczoraj, nie biorąc pod uwagę, iż w nauce zmieniają się sposoby uzasadniania twierdzeń, kryteria ich uznawania i odrzucania. Z ewolucją metodologiczną łączy się większy umiar w ocenie tego, co może być za pewne uznane i zastrzega się świadomość granic wiedzy. Jest to naturalne następstwo udoskonalenia logicznych i metodologicznych narzędzi w nauce i filozofii.

Odmienny charakter ma druga część „Odczytów Filozoficznych”, o czym mówią już tytuły poszczególnych rozdziałów: „Jak rozumieć sens życia”, „O szczęściu”, „O kulturze logicznej”, „Czy łatwiej teraz kłamać niż dawniej” itp. Są to przeważnie, lecz nie wyłącznie artykuły drukowane w czasopiśmie „Wiedza i Życie”. Sprawy w nich poruszone wyrastają z doświadczeń wojny, okupacji i lat powojennych. Są one próbą odpowiedzi filozofa na pytania, jakie stawiają sobie ludzie dalecy od filozofii jako dyscypliny akademickiej. Wyrastają one z „troski życia”, jaka jest od czasu do czasu przeżyciem każdego człowieka, a w czasach trudnych i wypełnionych gwałtownymi konfliktami narzuca się za szczególną intensywnością. Wydać się to może paradoksem, lecz filozof nie ma szczególnej kompetencji w rozwiązywaniu tego typu problemów. Mylną jest bowiem rzeczą utożsamiać filozofię z egzystencjalnymi problemami człowieka, gdyż te ostatnie przynależą do sfery praktycznej decyzji, a nie do świata myśli teoretycznej. Filozof przyczynić się może do ich rozwiązania o tyle tylko, iż wnosi do ich formułowania i wyjaśniania pewną aparaturę pojęciową oraz umiejętność jasnego i systematycznego myślenia. To jest także droga obrona przez Czeżowskiego, gdy ukazuje różne znaczenia „sensu życia”, rozróżnia odwagę i męstwo, lęk i strach, lub wskazuje pod jakim względem łatwiej, a pod jakim trudniej jest obecnie kłamać.

Wszystkie te rozważania przenika przeświadczenie logika, iż prawda i fałsz są potężnymi siłami, które jednostkom i narodom nieść mogą wolność i niewolę. Prawda i fałsz jest natomiast nie tylko sprawą wiedzy, lecz również poprawnego rozumowania i poprawnego języka. Język jest bowiem niezbędnym instrumentem. Jeśli wierzymy słowom i nie kontrolujemy nadanych im znaczeń, łatwo schodzimy na umysłowe manowce. Logika, która jest również nauką o języku, spełnia przeto doniosłą funkcję społeczną. Chroni ona przed przedwczesnymi i nieuzasadnionymi uogólnieniami, pomaga rozsądnie organizować pracę, przyzwyczajają do jasności wysławiania się i należytego uzasadniania wygłaszanych poglądów. Tym samym jednak tracą posłuch demagogi, rozsądek ma szansę zdobycia przewagi nad emocjami, łatwiejsze staje się porozumienie w sprawach spornych. „Społeczeństwo o wysokiej kulturze logicznej”, pisze Czeżowski w jednym z najlepszych rozdziałów tej części, „staje się bardziej jednomyślne i zwarte, nie drogą zewnętrznego przymusu, lecz dzięki temu, iż w logice znajduje drogowskazy chroniące przed zejściem na błędne drogi namiętności i rozbićcia”.

Przez „Odczyty Filozoficzne” przewijają się główne wątki polskiej tradycji filozoficznej, która kształtowała się na przestrzeni ostatnich pięćdziesięciu lat — trzeźwość i niechęć do spekulacji, realizm, racjonalizm, ścisłe powiązanie filozofii z logiką, metodologią i naukami ścisłymi. Tradycji tej obca była ekshluzywność, jaka cechowała pokrewne prądy w filozofii europejskiej, tzn. skupienie się na zagadnieniach dających się analizować przy użyciu aparatu technicznego logiki formalnej oraz wyrzucenie za burtę wszystkich pozostałych, jako pseudo-problemów, nie przynależnych ani do nauki, ani do filozofii. W filozofii polskiej nie odrzucano żadnego problemu pod warunkiem, iż jasną było rzeczą o co w nim chodzi, był precyzyjnie sformułowany, a w jego rozwiązywaniu stosowane były metody spełniające wymagania empirycznej sprawdzalności, naukowej ścisłości i formalnej poprawności. Wykluczało to fantazje i spekulacje oderwane od

twardego gruntu zdrowego rozsądku, niezgodne z nauką i jej praktyką, łamiące zasady logiki. Pozostawiało natomiast dla filozofii szerokie pole działania, wolne od jednostronności i arbitralnych ograniczeń szkolnego i doktrynalnego myślenia. Wysokie wymagania formalne szły w parze z szerokimi zainteresowaniami, jednolitość stylu filozofowania z różnorodnością kierunków i rozwiązań.

Tadeusz Czeżowski był jednym z współtwórców tej tradycji. Nic więc przeto dziwnego, iż jej głos przekonywujący i krzepiący, jej wigor intelektualny i rzeczowość, przemawiają donośnie z kart „Odczytów Filozoficznych”.

Zbigniew JORDAN

## Wznowienie „Ruchu Filozoficznego”

Przed kilku tygodniami ukazał się pierwszy po siedmiu latach numer „Ruchu Filozoficznego”. Jest to trzecie z kolei wznowienie tego czasopisma. „Ruch Filozoficzny” powstał w 1911 roku we Lwowie z inicjatywy Kazimierza Twardowskiego i wychodził przez trzy lata do wybuchu Pierwszej Wojny Światowej. Ukazał się ponownie w 1918 roku pod redakcją Twardowskiego. Po jego zgonie (1938) redakcję objęły I. Dąbska i D. Gromska. Wybuch Drugiej Wojny Światowej przerwał ponownie życie wydawnictwa na niedokończonym piętnastym tomie. W zawierusze wojennej przypadły archiwa redakcyjne, wszystkie zbiory oraz cały zapas wydanych roczników.

Po Drugiej Wojnie Światowej „Ruch Filozoficzny” odrodził się dopiero w 1948 roku. Redaktorem został Tadeusz Czeżowski, który przeniósł się do Torunia i na Uniwersytecie im. M. Kopernika objął katedrę logiki. Zdołał on wydać dwa tomy za lata 1948-50, po czym „Ruch Filozoficzny” podzielił los „Przeglądu Filozoficznego” i „Kwartalnika Filozoficznego”. Pojawia się więc obecnie po trzeciej, siedmioletniej przerwie.

Straty spowodowane przerwami w ukazywaniu się „Ruchu Filozoficznego” były dotkliwsze niż miałyby to miejsce z innym czasopismem. „Ruch Filozoficzny” był bowiem i pozostał głównie czasopismem bibliograficznym. Ukazywały się w nim wprawdzie krótkie artykuły — wystarczy wspomnieć, iż właśnie „Ruch Filozoficzny” opublikował w 1920 i 1921 roku dwie prace J. Łukasiewicza „O logice trójwartościowej” i „Logika dwuwartościowa”, które zapoczątkowały nową epokę badań logicznych — lecz głównym zadaniem czasopisma było utrzymywanie wszechstronnego kontaktu z postęпами nauk filozoficznych w całym świecie oraz informowanie najdokładniejsze o wydarzeniach w życiu filozoficznym w kraju. To zadanie

postawił czasopismu jego założyciel, a następcy Twardowskiego dzieło jego kontynuowali.

Tak ma być i obecnie. Jak czytamy w słowie wstępnym od Redakcji, „Ruch Filozoficzny” ma podwójne zadanie:

„łączyć filozofów polskich między sobą i łączyć ich ze światową społecznością filozoficzną. Zadanie to ważne i odpowiedzialne i będzie mogło być należycie wypełnione jedynie przy poparciu ze strony wszystkich polskich pracowników filozoficznych, o które Redakcja prosi”.

Przerwaną ciągłość informacyjną będzie bardzo trudno uzupełnić. Zeszyt właśnie wydany podejmuje służbę bibliograficzną od początku 1956 roku. Przerwę siedmioletnią wypełnić może jedynie specjalne wydawnictwo.

Dział bibliograficzny „Ruchu Filozoficznego” rozpada się na dwie części: przegląd czasopism oraz przegląd wydawnictw książkowych i artykułów według podziału rzeczowego. Każda z tych części uwzględnia publikacje polskie i publikacje w językach obcych. Odrębną całość stanowią obszerniejsze recenzje i wiadomości wydawnicze, które podają zawartość niektórych dzieł, publikacji ciągłych i periodycznych, polskich i obcych. Dział informacyjny zawiera autoreferaty z wykładów i odczytów, kronikę działalności Polskiego Towarzystwa Filozoficznego oraz innych organizacji naukowych, polskich i zagranicznych, nekrologi uczonych zmarłych w kraju i za granicą, wreszcie sporo różnorodnych materiałów obrazujących życie naukowe w Polsce i w świecie. Wspomnieć trzeba również o trzech obszernych wspomnieniach pośmiertnych poświęconych wybitnym polskim filozofom zmarłym w ubiegłym okresie — Władysławowi Heinrichowi (1869-1957), Wincentemu Lutosławskiemu (1863-1954) i Janowi Łukasiewiczowi (1878-1956).

W pierwszym numerze „Ruchu Filozoficznego” wydanym przed Pierwszą Wojną Światową ukazał się artykuł Henryka Struwego, wówczas seniora polskiej filozofii. Struwe pisał o konieczności stworzenia warunków ciągłości, w których dopiero zrodzić się może samoistna myśl filozoficzna, oraz wyrażał obawę, iż ciągłości zagrażają wpływy obce. Odpowiadał mu w następnych numerach Kazimierz Twardowski pisząc słusznie, iż nie wpływ obcy, lecz wpływ jednostronny jest zagrożeniem oryginalnej twórczości. Przed jednostronnym zaś wpływem nie chroni odcięcie się od świata, lecz najbardziej szeroka i wszechstronna informacja. Temu celowi ma służyć „Ruch Filozoficzny”, pomost łączący Polskę z całym światem.

Od tych lat sporo minęło czasu i słowa Twardowskiego całkowicie się spełniły. Z jego szkoły wyrosła polska filozofia, krzepka i prężna, o której obecnie czyta się coraz częściej w literaturze światowej. Podkreślmy zaś, iż chodzi o filozofię, a nie tylko o logikę, gdyż logika, a podobnie matematyka, świeci blaskiem, który przyćmiewa wszystkie inne polskie osiągnięcia w dziedzinie myśli. W logice światowej liczą się obecnie tylko dwie szkoły — amerykańska i polska. Jeżeli chodzi o logikę, jej obecne stanowisko w świecie opiera się na osiągnięciach przedwojennych i powojennych. Inaczej jest z filozofią. Wysoka opinia o niej i wpływ jaki wywiera oparte są na dorobku dwudziestolecia między dwoma wojnami.

Pisałem już o tym przy innej sposobności, iż według mego przekonania filozofia w Polsce znajduje się obecnie w okresie poszukiwań nowych

dróg samoistnego rozwoju. W takim okresie rola czasopisma tego typu co „Ruch Filozoficzny” jest szczególnie ważna. Jego redaktorem jest uczeń Twardowskiego, współtwórca polskiej szkoły filozoficznej międzywojennego dwudziestolecia, wybitny myśliciel i pedagog. W jego doświadczeniach rękach „Ruch Filozoficzny” ma wszelkie szanse po temu, by spełnić wyznaczone mu zadania i przyczynić się, jak to miało miejsce w przeszłości, do rozkwitu filozofii w Polsce.

Zbigniew JORDAN

## Kronika warszawskiego ghetta

Przed ośmiu laty, mistrzowska powieść Johna Hersey'a „The Wall” („Mur”) mimo, że tylko luźno była oparta na prawdziwych zdarzeniach, niewątpliwie wstrząsnęła sumieniem czytającej Ameryki. Hersey wiedział, że istnieje archiwum dokumentów i dziennik pisany przez żydowskiego historyka, zamkniętego w murach warszawskiego ghetta. I intuicją pisarską wiedziony napisał powieść, która, mimo faktycznych usterek, mimo, że za wątek miała przeżycia zmyślonych bohaterów, oddawała w całej grozie atmosferę tragedii, która rozegrała się w Warszawie, w latach 1939-1943.

Daleko silniejsze jednak wrażenie wywiera prawdziwy dziennik\*), prawdziwa kronika tych samych zdarzeń, spisywana ze spokojem historyka, z zadziwiającym obiektywizmem, dziennik naocznego świadka i bohatera wydarzeń, który jednak nigdy niemal nie pisał o sobie.

Emanuel Ringelblum, organizator archiwum ghetta i autor kroniki, urodził się w Nowym Sączu w 1900 roku. Życie miał niełatwe, korpetycjami zarabiał na skromne utrzymanie i naukę, ale mimo to, już jako uczeń przygotowywał się do pracy społecznej, przystępując do ruchu robotniczo-syjonistycznego. W 1919 roku wstąpił na wydział Humanistyczny Uniwersytetu Warszawskiego i specjalizował się w historii. Doktorat otrzymał za pracę „Historia Żydów w Warszawie do wygnania w 1527 roku”, która opublikowana przez Polskie Towarzystwo Historyczne spotkała się z uznaniem specjalistów. Później napisał jeszcze cztery inne książki i wielką ilość monografii historycznych. Los chciał jednak, że Ringelblum rozpoczął swą karierę naukową od pracy o pierwszych Żydach w Polsce, aby ją skończyć opisem katastrofy, która całkowicie niemal zniszczyła współczesne żydostwo polskie.

(\*) Emanuel Ringelblum. *Notes from The Warsaw Ghetto*, edited and translated by Jacob Sloan. McGraw — Hill Book Company, Inc. New-York — Toronto — London 1958.

W ostatnim tygodniu sierpnia 1939-go roku Ringelblum był w Genewie, jako delegat na Światowy Kongres Syjonistyczny. Kiedy nadeszły wiadomości o nieuniknionym konflikcie zbrojnym, zdecydował się natychmiast na powrót do Polski. Odbył długą i niebezpieczną drogę. Jechał przez Włochy, przez Jugosławię, przez Węgry — pod eskortą policji, przez Polskę — pod niemieckimi bombami. Ale do Warszawy dojechał.

W październiku, wkrótce po kapitulacji Warszawy, powziął myśl niesłychaną — postanowił stworzyć sztab historyków i socjologów, którzy by zapoczątkowali archiwa okupacji niemieckiej w Polsce i sam objął kierownictwo. Nie bez wysiłku zdołał złożyć podziemny instytut historyczny, w którym starał się zebrać każdy skrawek dokumentacji i każdą informację dotyczącą życia pod okupacją. Sztab złożony nie tylko z kilkudziesięciu historyków, pisarzy i dziennikarzy, ale „także z nauczycieli, urzędników, młodzieży — nawet dzieci”, przygotowywał raporty, przeprowadzał wywiady i przechowywał prasę legalną i podziemną. Początkowo, kiedy jeszcze nieznanne mu były plany niemieckie, myślał, że kiedyś po wojnie, sam te materiały opracuje; potem marzył choćby o krótkim okresie spokoju umożliwiającym pracę; wreszcie, kiedy stracił już nadzieję — zbierał materiały i pisał notatki — już dla potomności, dla przyszłych pokoleń historyków.

W 1943 roku Ringelblum został zaarrestowany przez Gestapo. Żydowskie podziemie odbiło go Niemcom jeszcze w porę. Kiedy powrócił do Warszawy, przyjaciele skłonili go do wyjścia z ghetta, gdzie mu groziło powtórne aresztowanie i niechybna śmierć. Przedtem jednak archiwa zostały zakopane (było to już na krótko przed powstaniem). Przyjął go ogrodnik nazwiskiem Wolski, wybudował specjalny schron pod cieplarnią dla Ringelbluma, jego żony i jedenastoletniego syna. W końcu jednak — agent Gestapo wykrył kryjówkę historyka i jego rodziny. Niemcy rozstrzelali ich 7 marca 1944 roku na gruzach ghetta. Zginął z nimi razem ich dobroczyńca, ogrodnik Wolski.

Nielatwo było znaleźć głęboko zakopane archiwum. Kilku zaledwie z dawnych współpracowników Ringelbluma pozostało przy życiu, a jeden z nich tylko wiedział, że dokumenty ukryte były w dwóch miejscach. Wreszcie w 1946-tym roku, znaleziono część pierwszą i w 1950-tym — drugą. Wiele dokumentów zniszczyła wilgoć. Kronika Ringelbluma, chociaż przechowana w bańce od mleka, uległa również częściowemu uszkodzeniu.

Ilość tematów poruszanych w kronice jest przeogromna. Podkreślić trzeba jednak raz jeszcze, że w obiektywizmie swoim Ringelblum nie szczędzi nikogo — ani swoich ani obcych; potępia — kiedy uważa, że potępić należy (choćby czytelnik niezawsze z nim się zgadza), chwali — kiedy uważa, że czyn na pochwałę zasługuje. Powiedzieć nawet można, że jest jak gdyby względniejszy dla obcych, niż dla swoich. Często notuje choćby najmniejszy objaw budzenia się uczuć ludzkich u Niemca, ale nie szczędzi słów potępienia, czasem nie widząc wszystkich tragicznych ludzkich elementów w Radzie czy w policji żydowskiej.

Interesuje nas jednak tutaj specjalnie jak odbija się zagadnienie stosunków polsko-żydowskich w pryzmacie notatek Ringelbluma. I chociaż nie z każdym jego wnioskiem czy konkluzją zgodzić się można, to jednak ze względu na źródłową wartość kroniki, spiswanej dzień po dniu, w miarę jak rozwijała się wspólna tragedia — uwagi Ringelbluma na ten temat

zasługują na dokładniejszą analizę. W ocenie stosunków pomiędzy ludnością polską i żydowską, autor zawsze podkreśla, wyraźnie stara się podkreślać, obie strony medalu — antysemityzm jednych, przyjaźń i sympatię — drugich; wrogosc z jednej strony i bezinteresowną pomoc — z drugiej. Często kiedy opisuje rabunki czy napady na Żydów nie używa terminu „Polacy” albo „Chrześcijanie”, jak zwykle w notatkach, ale raczej posługuje się określeniem „chuligan” albo „nieletni przestępca”. Opowiada o demonstracjach pod hasłem „Warszawa bez Żydów”, o założeniu w Warszawie nowego stowarzyszenia „Krzyż i Młot”, którego celem było „uwolnić życie polskie spod żydowskich wpływów”, o tym, jak w czasie antyżydowskich ekscesów, Arcybiskup Gall miał odmówić delegacji żydowskiej interwencji u ludności polskiej, ale równocześnie rozwodzi się (w porównaniu z lakonicznością stylu całej kroniki) nad informacjami, że we wszystkich kościołach księża wygłaszają kazania nawołujące chrześcijan do przekreślenia wszelkich nieporozumień z Żydami. Przeciwnie, Ringelblum streszcza: „Z Żydami należy współczuć, gdyż są zamknięci za murami. Chrześcijanie — nie powinni stać się przedmiotem propagandy wroga, który stara się siać nienawiść pomiędzy ludźmi”. Niemal co kilkanaście stron znaleźć można uwagę podobną do tej, którą cytujemy: „Słyszałem opinię, że wojna ujawnia to co jest najlepsze i najgorsze w człowieku... Z jednej strony pewni Chrześcijanie ofiarują pomoc Żydom; z drugiej — bestialski antysemityzm; z jednej strony kamienne serca (pomiędzy Żydami); z drugiej — samopokświęcenie w pomocy tym, którzy cierpią z głodu”.

Bezpośrednio po całkowitym zamknięciu getta, Ringelblum skrętnie notuje drobne na pozór, ale wzruszające w swej ludzkości zdarzenia. Pierwszego dnia po zamknięciu, wielu Chrześcijan przyniosło chleb swym żydowskim znajomym i przyjaciółom. „Było to zjawisko masowe” — pisze autor. Później worki z chlebem przerzucane były przez mury lub ofiarowane Żydom, kiedy wracali do getta po pracy „na aryjskiej stronie”. Wzruszające sceny odbywały się przy odprowadzaniu żydowskich przyjaciół do getta, a potem ci, którzy zostali zewnątrz murów, posyłali do getta kwiaty. „Nigdy przedtem nie sprzedano tylu kwiatów” — notuje kronikarz.

Ringelblum lubi porównywać czasy przedwojenne z tymi, które opisuje i podkreśla często zmianę na lepsze w stosunkach pomiędzy Polakami i Żydami. „Postawa inteligencji polskiej wobec Żydów uległa wyraźnej poprawie”... Adwokatów, ożenionych z Żydówkami albo zatrudniających żydowskich pracowników, Niemcy pozbawili prawa praktyki. Jeden z nich — pisze Ringelblum — „antysemitki endeck”, jest teraz dumny, że został wykreślony z listy adwokackiej, gdyż nie zwolnił swego aplikanta Żyda. I dalej. Zdarza się często, że Chrześcijanie stają po stronie Żydów, napadniętych przez chuliganów znowu charakterystyczna uwaga: „Nie było tak przed wojną”. Ringelblum opowiada nawet dowcip na ten temat. Żyd we śmieje się i krzyczy na przemian. Żona go budzi. Mąż jest rozżalony, że go przebudzono. „Śniło mi się, że widzę na ścianie napis: „Bij Żydów. Precz z ubojem rytualnym”. Czego więc tak się cieszysz? — pyta żona. Czy nie rozumiesz? Oznaczało to, że dawne dobre dni wróciły. Polacy znowu są u władzy”. — Humor, choć smutny, przeziiera gdzieniegdzie przez stronie kroniki. Pytano nabożnego Żyda — (uśmiecha się Ringelblum) — dlaczego tak niezarliwie modli się w Nowy Rok. „Jaki rok taka i mo-

dlitwa” — było odpowiedzią modlącego się mędrca. I wreszcie — jeszcze jeden epizod, tym razem wraz z komentarzem. Można kwestionować psychologiczne i socjologiczne przesłanki komentarza; można, a niektórzy powiedzą, że nie można zgodzić się z ostatecznym wnioskiem. Fakty są jednak ciekawe i zasługują na uwagę. Oto co pisze Ringelblum: „Jonas Turkow (znany aktor, reżyser i autor, obecnie zamieszkały w Stanach Zjednoczonych — JLL) grał w tym sezonie w polskim repertuarze. Powód: Nie ma dobrych sztuk w języku żydowskim. Oprócz tego, jest to dowodem wyrażonej asymilacji, co widać było w ghetcie. Żydzi lubią mówić po polsku. Bardzo mało Yiddish słychać na ulicach. Mieliśmy gorące dyskusje na ten temat. Starano się wyjaśnić, że używanie języka polskiego stanowi stanowi psychologiczny protest przeciw ghettu — *wy* wtrąciliście nas do żydowskiego getta, a *my* wam pokażemy, że w istocie jest to polska ulica... Na złość wam, zachowamy właśnie to, od czego chcecie nas oderwać — język polski i kulturę, którą on reprezentuje. Ale moją osobistą opinią jest to, że to co obserwujemy dzisiaj w ghetcie jest tylko kontynuacją potężnej asymilacji językowej, którą można było zauważyć nawet przed wojną; stała się ona tylko bardziej widoczna w ghetcie. Tak długo jak ludność w Warszawie była mieszana, jak długo Żydzi i Polacy mieszkali koło siebie, nie występowała z taką ostrością, ale teraz, kiedy ulice są kompletnie żydowskie, rozmiar tej klęski zwraca uwagę dużo silniej”. Komentarz — co najmniej kontrowersyjny. Fakty — nad wyraz interesujące.

Kronika Ringelbluma niewątpliwie stanowi jedną z najważniejszych, jeżeli nie najważniejszą, pozycję w historiografii martyrologii żydowskiej pod okupacją niemiecką w Polsce. Jest jednak równocześnie ważnym dokumentem dla oceny stosunków polsko-żydowskich w tym okresie. I z tego punktu widzenia jest ciągle jeszcze aktualna.

Józef L. LICHTEN

(1) Chociaż istnieją wydane w Polsce teksty żydowski i polski kroniki Ringelbluma, to jednak nie korzystałem z nich i tłumaczyłem bezpośrednio z tekstu angielskiego, ze względu na istniejący spór pomiędzy historykami w Polsce i Izraelu. Tematem sporu jest zarzut, że teksty polski i żydowski zostały „ocenzurowane” w Polsce i szereg uwag krytycznych wobec Polski i Polaków został rozmyślnie usunięty. Jacob Sloan, redaktor doskonałego tekstu angielskiego, z wyjątkiem pełnej omyłek pisowni słów polskich, również nie widział oryginału żydowskiego, znajdującego się w Polsce ani jedynej kopii znajdującej się w Izraelu. Korzystał z materiałów opublikowanych w Polsce w języku żydowskim w 1948-1952 roku. Nie wiadomo, kiedy kopia znajdująca się w Izraelu ukaże się drukiem. Tekst angielski, przygotowany z wielką starannością i pieczołowitością zyskał pełny poklask historyków żydowskich i nie-żydowskich w Ameryce.

## Nadesłane nowości wydawnicze

- Ten Contemporary Polish Stories.* Translated by various hands and edited by Edmund Ordon with an introduction by Olga Scherer-Virski. Str. 282. (Wayne State University Press, Detroit, 1958, cena egz. w opr. dol. 5.—).
- GIERTYCH (Jędrzej). *Poland and Germany.* The Reply to Congressman B. Carrol Reece of Tennessee. Str. 158. (Nakładem autora, Londyn, 1958).
- KUCHARZEWSKI (Jan). *Od Biatego do Czerwonego Caratu.* Wydanie II skrócone przez autora. Str. 485. (Nakł. Kat. Ośrodka Wydawn. Veritas, Londyn 1958). Cena 15/.
- CZUCHNOWSKI (Marian). *Srebrna Ostroga.* Zbiór opowiadań. Stron 175. Tom XXXVIII Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej”. Obwolūtę projektowała Janina Chranawska. (Wyd. Kat. Ośr. Wyd. Veritas, Londyn, 1958. Cena 15/.)
- LERSKI (Jerzy J.). *History of Western Political Thought (Ancient and Medieval).* (w języku japońskim) wydana przez dr Satoshi Saito w Ritosha Publishing Company. Tokyo 1958. Cena 550 yen).
- SASKI (Witold dr). *The Development of Pharmacy in Poland.* Str. 214-226. Odbitka z tomu 22, Nr 2, 1958 American Journal of Pharmaceutical Education.
- JANTA (Aleksander). *Pierwszy szkic „Lorda Jima” i polskie listy Conrada w zbiorach amerykańskich.* Str. 36. (Odbitka z książki zbiorowej „Conrad Żywy”, wydanej staraniem Zw. Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Wyd. B. Świdorski, Londyn, 1957).
- LANGROD (Georges). *Zur Frage der deutsch-polnischen Beziehun-*
- gen.* Str. 280-302. Odbitka z zeszytu 4, 1958, „Neue Politische Literatur”, Ring-Verlag, Stuttgart und Düsseldorf).
- TERLECKI (Tymon). *Egzystencjalizm chrześcijański.* Str. 40. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1958).
- PETERKIEWICZ (Jerzy). *Future to Let.* Str. 230. (Ed. William Heinemann, Londyn 1958, cena 15/.)
- LAWIŃSKI (Ludwik). *Kupiłem.* Wspomnienia zza kulis. Str. 128. (Nakł. autora, Londyn, 1958).
- Czas niepokoju.* Antologia współczesnej poezji brytyjskiej i amerykańskiej. Wybrał i opracował Paweł Mayewski. Wstęp: Karl Shapiro. Str. 382. (Wyd. staraniem The East Europe Institute, przez Criterion Books, New York, 1958).
- The Broken Mirror.* A Collection of Writings from Contemporary Poland. Str. 209 (edited by Paweł Mayewski under the auspices of The East Europe Institute. Wstęp: Lionel Trilling, Random House, Inc., New York, 1958. Cena dol. 3.50).
- PIETRKIEWICZ (Jerzy). *Antologia liryki angielskiej (1300-1956).* Str. 237. Tom XXXVII Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej”. (Wyd. Kat. Ośrodek Wydawn. „Veritas”, Londyn, 1958. Cena 15/.)
- ZAREMBA (Zygmunt). *Narodziny klasy rządzącej w ZSRR.* Str. 312. Tom II. Biblioteki Społecznej (Wyd. „Światło”, Paryż, 1958).
- SZANOWŁADZKI (Ksawery Paweł). *Era atomowa a problem rodziny.* Str. 386 i 8 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1958. Cena £1.—).

## Listy do Redakcji

Warszawa, wrzesień 1958.

Szanowny Panie Redaktorze,

We wrześniowym zeszycie „Kultury” Nr 9/131 przeczytałem artykuł p. Londyńczyka, który zestawia mnie z bergowcami, ponieważ jego zdaniem pobierając honoraria z PAXU pobieram pieniądze agenturalnego pochodzenia.

Zarzut ten jest specjalnie dla mnie bolesny i krzywdzący, ponieważ p. Londyńczyk wie, jaką rolę odegrałem w walce z Bergiem, która skończyła się niewątpliwym moim zwycięstwem, w tym sensie, że emigracyjna opinia publiczna w latach 1954 i 1955 Berg potępiła, a ludzie za tę imprezę odpowiedzialni musieli się jej wypierać lub z niej wykręcać.

Natomiast p. Londyńczyk powtarzając wersję o pieniądzach agenturalnych branych przez PAX, powtarza brechtę w rodzaju tych, które kiedyś kursowały, że Piłsudski żonaty jest z Perlówną, lub, że komunikuje się ze sztabem armii czerwonej przez druty telefoniczne założone w podziemiach soboru saskiego, lub że cesarzowa Aleksandra Teodorówna sprzedawała plany operacyjne Niemcom. Brechty takie niestety mają duży popyt w społeczeństwie polskim, a brak liberalnego ustroju prasowego stanowi dla nich znakomitą pożywkę. W podobnych nikczemnościach nie szczędzi się nawet uczu przed którymi się zatrzymuje zwykła delikatność ludzka. Tak na przykład puszczano tu w kraju wiadomość, że tragicznie zaginionego syna p. Bolesława Piaseckiego porwała jego matka przebywająca na emigracji, chociaż matka zaginionego chłopca poległa w powstaniu warszawskim i nigdy na emigracji nie była.

Nie należę do organizacji PAX'u, lecz po dwóch latach pobytu w kraju na pewno się w tutejszych warunkach lepiej orientuję aniżeli p. Londyńczyk. Otóż stwierdzam, że nikt poważny z najbardziej zawziętych przeciwników PAX'u i p. Piaseckiego nigdy wobec mnie argumentu o agenturalnych pieniądzach dla PAX'u nie wysuwał. Przeciwnie, był czas, kiedy wszyscy katolicy pisarze drukowali swe utwory właśnie w wydawnictwie PAX'u. Każdy w kraju wie, że organizacja PAX'u opiera swój byt na energicznie prowadzonych przedsiębiorstwach przemysłowo-handlowych i że pieniądze te zużywa na pracę organizacyjną w duchu ideologii, która jest katolicka, ale także społecznie-postępowa, a jak na mój punkt widzenia „zbyttnio” postępowa, jeśli mamy mówić skrótami.

Wiem jedno: zupełnie kto inny w Polsce inspiruje nagonkę na PAX, a zupełnie kto inny naiwnie ją firmuje.

Dlaczego pisuję w PAX'ie o tym musiałbym napisać dłuższy artykuł, na którego pisanie i drukowanie mi nie zależy. W ogóle muszę przyznać, że nie zależy mi na opinii i rodaków o mojej osobie. Doszedłem do smutnego przekonania, że naród nasz kocha się w patetycznych dumniach, a znęca się nad prawdziwymi patriotami. Wielkość wzgardy i niechęci, która otacza u nas człowieka jest nie tylko odwrotnie proporcjonalnym sprawdzianem jego pożytku, ale także odwrotnie proporcjonalnym sprawdzianem czystości jego intencji. Najbardziej altruistyczny patriota, którego znałem, śp. Władysław Studnicki, był dosłownie zaplanywany przez swoich rodaków.

Piszę ten list ze szpitala co usposabia do myślenia retrospektywnego. Otóż przed wojną broniłem swego narodu przed tym, aby stał się on pierwszym terenem agresji niemieckiej, starałem się za pomocą, jakże niedołę-

nych, środków publicystycznych, aby Hitler napadł w pierw na Anglię, co zresztą leżało w jego zamierzeniach. Taki sam program miał premier węgierski hr. Paweł Teleky. Był on konsekwentniejszy ode mnie, w odpowiedniej chwili, gdy program jego zbankrutował odebrał sobie życie. Żałuję, że mnie nie było na to stać.

Polska poszła po drodze najgłupszej, do której nigdy by nie dopuścił marsz. Piłsudski, poszła na lep prowokacji angielskiej i dała się wepchnąć do wojny w pierwszym rzucie, tracąc w ciągu dwóch tygodni jakąkolwiek swoją samodzielność polityczną.

W czasie wojny, na emigracji nie śpiewałem triumfów, że Polacy za jednego zabitego Niemca w swoim kraju tracą 300 rozstrzelanych, aby zyskać sobie na pochwalne wzmianki w prasie angielskiej, lecz broniłem jeszcze wciąż rzeczy, już straconych, jak umiałem i jak mogłem.

Po wojnie emigracja uległa iluzji interwencji obcej. Czasy mego premiershipu przekonały mnie najlepiej jaka to jest fikcja, bлага, iluzja, kłamstwo. Świat zachodni nie zamierza interweniować do naszych stosunków, a tylko podszyzuwanie różnych „Free Europe” powoduje od czasu do czasu takie tragedie, jak tragedia węgierska.

Wyjechałem z Anglii, nie „chylkiem”, jak to potrafił napisać jeden z kabotynów pobierający pieniądze z „Free Europe”, lecz po ogłoszeniu swej publicznej deklaracji. Cieszę się, że od mego wyjazdu mnożą się przykłady dobrych Polaków, którzy przestali uważać hasło: „rzucim ziemię skąd nasz ród” za rozsądny program polityczny i wracają do kraju.

Momenty pieniężne nigdy nie były przeciwko mnie wykorzystywane. Przed wojną redagowałem pismo broniące ziemian kręgowych. Jednak nikt, nawet na skrajnej lewicy polskiej, nie napisał, że jestem przez ziemian „przekupiony”. Pierwsze insynuacje, że się sprzedałem, wyszły niewątpliwie z inicjatywy wywiadu angielskiego. Zastrzegam się, że bynajmniej nie twierdzę, że p. Londyńczyk jest narzędziem tego, czy innego obcego wywiadu. Unikam kłamstw w swej publicystyce. Ale inspiracjom ulega się czasami bezwiednie. Anglicy także odmówili mi wizy do swego kraju, która mi była bardzo potrzebna ze względów czysto osobistych. W walce jednak z angielskim wpływem na kształtowanie umysłów w Polsce, wbrew temu co się pisze, nie przegrywam, lecz wygrywam.

Przepraszam za list przydługi, ale zarzutów p. Londyńczyka nie potrafię zbyć pogardliwym milczeniem, jak zarzuty „Free Europe”, o jakże pod względem dziennikarskim nieudolne.

Stanisław MACKIEWICZ

Szanowny Panie Redaktorze,

Do reportażu naszego we wrześniowym numerze „Kultury” pt. „Polacy w Szkocji” zakradło się parę nieścisłości które pragniemy sprostować.

Pierwsza z nich dotyczy Feliksa Janiewicza. Na stronie 105 podaliśmy, że zapoczątkował on festiwale muzyczne w Edynburgu w roku 1805. Otóż po sprawdzeniu daty w encyklopediach muzycznych, okazało się, że Janiewicz przybył do Edynburga dopiero w 10 lat później, w roku 1815. Wtedy odbył się pierwszy festiwal muzyczny w Edynburgu, i Janiewicz rzeczywiście odegrał w nim pewną rolę, będąc jednym z inicjatorów, jak i grając „pierwsze skrzypce” w orkiestrze. Również w dwóch następnych festiwalach muzycznych brał on udział jako pierwszy skrzypek (w r. 1819 i 1824).

Nawiasem mówiąc, Janiewicz był w ogóle ciekawą postacią i dosyć popularnym skrzypkiem, dyrygentem i muzykiem nie tylko w W. Brytanii ale i na Kontynencie. Urodzony w Wilnie w r. 1762, jako młody skrzypek poznał w Wiedniu Haydna i Mozarta, był następnie we Włoszech aby słuchać sławnych wtedy skrzypków Nardiniego i Pugnaniego, i przez Paryż przybył w r. 1799 do Londynu. W W. Brytanii prowadził szeroką aktywność, grając lub dyrygując w Londynie, Bath, Irlandii, a także w Manchesterze i Liverpoolu, gdzie się ożenił i otworzył sklep i wydawnictwo muzyczne. Wydał też kilka swoich kompozycji. Poza tym, był jednym z 30 członków-zaloźcicieli tzw. London Philharmonic Society. Zmarł w Edynburgu w r. 1842, pozostawiając dwie uzdolnione muzycznie córki.

Druga nieścisłość dotyczy czytelnictwa prasy polskiej w Edynburgu. Opierając się na informacjach uzyskanych na miejscu podaliśmy tylko dwie cyfry: ok. 20 egz. „Myśli Polskiej” i 5 do 6 egz. „Orla Białego”. O innych czasopismach pisaliśmy ogólnie. Po powrocie do Londynu zwróciliśmy się do administracji różnych pism, celem sprawdzenia uzyskanych informacji. Okazało się, że cyfra jaką podaliśmy dla „Orla Białego” jest mocno za niska: w rzeczywistości wynosi na 24 egz. Z innych czasopism możemy obecnie podać następujące dokładne cyfry: „Kultury” — 15 egz., „Wiadomości” — 17 egz., „Życia” — 3-4 egz., „Gazety Niedzielnej” — około 35-40 egz., i aż 75 egz. „Pokrzyw”.

I jedna niejasność: na str. 108 zdanie: „Odzwierciadła to podział administracyjny Kościoła katolickiego w W. Brytanii, na niezależne jednostki Szkocji, Anglii i Walii” — powinno brzmieć: „Odzwierciadła to podział administracyjny... na niezależne jednostki Szkocji i Anglii i Walii”. Anglia i Walia są bowiem jedną jednostką administracyjną.

Na marginesie można podać, że w samej Szkocji Glasgow jest całkowicie niezależny od Edynburga. Znajduje to odbicie w tym, że parafia polska w Glasgow nie podlega Ks. Bombasowi, rektorowi Polskiej Misji Katolickiej na Szkocję, z siedzibą w Edynburgu.

Łączymy wyrazy prawdziwego szacunku.

B. CZAYKOWSKI i B. SULIK

Montreal, 18 sierpnia 1958

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z listem p. Bregmana w Nr. 7/8 Kultury pozwalam sobie prosić o zamieszczenie uwag poniższych:

1) — Mimo wielokrotnych wyjaśnień ciągle mamy do czynienia z pomieszaniem dwóch różnych rozmów, jakie odbył polski Nacz. Wódz z brytyjskim Dowódcą frontu śródziemnomorskiego latem 1944 r. Rozmowa pierwsza miała miejsce 14-go lipca, była połączona z dekoracją i przyjęciem z udziałem większej ilości osób. Druga rozmowa odbyła się 3-go sierpnia i miała charakter poufny. W tej właśnie rozmowie padła propozycja przetrzucenia 2-go Korpusu do Polski. Rozmowa ta miała miejsce nazajutrz po znanej mowie Churchilla w Izbie Gmin, zawierającej apel do połączenia naszych wojsk z armią Berlinga „w chwili gdy stolicę Polski wyzwala męstwo oręża rosyjskiego”. Propozycja więc marsz. Wilsona szła całkowicie po linii wypowiedzi brytyjskiego Premiera.

P. Bregman, który w toku polemiki odwołał się do brytyjskich (broń Boże nie polskich) uczestników rozmowy, zdaje się zapominać, że marsz.

Wilson przyznał: „Przesunięcie Korpusu Polskiego do północnej Europy było, sądząc, poruszone”. To jednak marsz. Wilson pamiętał, choć nie przypominał sobie, że miał w tym okresie nie jedną ale dwie rozmowy z gen. Sosnkowskim.

2) — Zaprośzenie na drugą rozmowę z marsz. Wilsonem spowodowało parodniową zwłokę w odlocie Naczelnego Wodza z Włoch. Bardzo namawiał p. Bregmana, aby przejrzał meldunki ówczesnego naszego attaché lotniczego, składane na podstawie informacji brytyjskiego Ministerstwa Lotnictwa: z meldunków tych wynika jasno na kiedy odlot był zamierzony i jak plan ten został opóźniony na skutek lotu do Caserty.

3) — Poinformowanie o propozycji marsz. Wilsona Prezydenta Raczkiewicza a nie kogo innego było, jak sądząc, dostatecznie wyjaśnione w trakcie polemiki. O tym, że Gen. Sosnkowski podał przebieg rozmowy z marsz. Wilsonem Panu Prezydentowi w dniu swego powrotu do Londynu wiedziałem tegoż dnia wieczorem. Ponadto byłem obecny w czasie rozmowy telefonicznej, jaką Nacz. Wódz prowadził z Prezydentem zaraz po przybyciu do Londynu: zapowiadał wówczas, że ma do zreferowania ważną propozycję, uczynioną mu świeżo w Casercie. Informowanie Rządu o rozmowie w Casercie było chyba zbędne wobec analogicznej oferty ze strony Premiera Churchilla, skierowanej przecież nie w przestrzeń, lecz pod adresem władz polskich.

4) — Jeśli marsz. Wilson twierdził, że ma dość samolotów, to dlaczego Naczelną Wódz nie wykorzystał tego twierdzenia jako argumentu, gdy niebawem zabiegał o pomoc dla walczącej Warszawy. Tak jak gdyby starając się o pomoc, należało zaczynać od drażnienia marsz. Wilsona, który zresztą miał rozmowę w Casercie w świeżej pamięci. Nie w tym leży jednak istota sprawy: z przedmowy do książki gen. Sosabowskiego wynika chyba jasno, że władze angielskie zastraszania się brakiem samolotów wówczas, gdy chodziło o uzbrojenie Armii Krajowej przed powstaniem. Podczas powstania natomiast zastraszania się nieopłacalnymi stratami. Tak np. gdy w sierpniu 1944 R.A.F. miało dosyć samolotów, aby bombardować Królewiec z baz angielskich i gdy powołano się na to, proponując masową operację lotniczą na Warszawę, sprawa była dyskutowana na najwyższym szczeblu brytyjskim, upadła jednak gdyż władze lotnicze nie chciały ryzykować strat w operacji, odbywającej się z konieczności na niskim pułapie przy zrzutach. Straty, nie zaś brak samolotów były zawsze wysuwane jako argument w czasie powstania. Czy p. Bregman obliczył ilość samolotów alianckich, które były użyte do operacji pod Arnhem w toku której przerzucono drogą powietrzną całą armię w składzie: 4 dywizji, brygady polskiej oraz jednostek pomocniczych.

A lotnictwo amerykańskie, które w operacji powyższej odegrało tak wybitną rolę. Czy brak mu było samolotów? Czy generał Eisenhower nie miał gotowej „armady powietrznej” do lotu nad Warszawą? Świadczą o tym parokrotne depeche gen. Eisenhowera do gen. Sosnkowskiego oraz rozmowy Szeffa Sztabu, gen. Kopańskiego w głównej kwaterze gen. Spaata. To nie z powodu braku samolotów Warszawa czekała z górą miesiąc na ekspedycję amerykańską. Czekala dlatego, że Sowiety nie dawały amerykańskiemu samolotom prawa lądowania na bazach w Rosji. Ba — ambasador Harriman został ostrzeżony przez rząd sowiecki, że nawet samoloty uszkodzone nie będą mogły lądować. Prezydent Roosevelt, jak wiadomo, nie chciał ryzykować operacji na Warszawę bez zgody Sowietów.

Zasoby więc w samolotach po stronie alianckiej były olbrzymie, a dostarczenie ich marsz. Wilsonowi w odpowiedniej ilości możliwe i wykonalne,

zwłaszcza w ramach planu przerzucenia 2-go Korpusu do „północnej Europy” (Polski) ? na terytoria zajęte przez Armię Czerwoną — praktycznie bez broni, na łaskę i niełaskę nowych okupantów. Projektodawcy najwidoczniej byli przeświadczeni, że na plan podobny Moskwa wyrazi zgodę i lądowania nie odmówi.

Zwiększenie lotów na Warszawę z baz włoskich, o które tak gorliwie starał się Naczelną Wódz, — zyskiwało zawsze poparcie najwyższych władz brytyjskich, politycznych i wojskowych. Rozbijało się natomiast o opór tych, którzy byli odpowiedzialni za taktyczne wykonanie operacji lotniczych. Argument zawsze taki sam: nadmierne straty.

5) — P. Bregman oświadcza, że nigdy nie kwestionował, że Gen. Sosnkowski był zdecydowanie przeciwny powstaniu. Słowa te należy przyjąć z zadowoleniem, gdyż z licznych artykułów p. Bregmana można było wysnuć wnioski odmienne co do jego opinii. Byłoby oczywiście jeszcze lepiej gdyby p. Bregman uzupełnił swoje oświadczenie stwierdzeniem, że stanowisko Naczelnego Wodza, oparte o słuszną ocenę sytuacji wojennej i politycznej było znane na długo przed powstaniem: Premierowi, Rządowi i Władzom Krajowym.

W zakończeniu swego listu p. Bregman — w dość nieoczekiwanej roli — zarzuca Naczelnemu Wodzowi wadliwe formy rozkazodawstwa, a w szczególności brak rozkazów zabraniających powstania. Rzecz wyjaśniłem, jak sądząc wystarczająco w moim artykule. P. Bregman powraca jednak uparcie do tego tematu w wywodzie obliczonym chyba na laików, polemizuje z twierdzeniem mego artykułu o politycznym charakterze decyzji, dotyczącej powstania. Piszcie więc: „chodziło o operację wojskową i nikt jeszcze nie zakwestionował prawa Nacz. Wodza do wydawania rozkazów w takiej sprawie”. Zmuszony jestem wobec tego zapytać p. Bregmana, dla jakich motywów pomija w swych osądach fakty następujące:

a) Instrukcja wspólna Rządu i Naczelnego Wodza z dnia 27. 10. 1943 wydana w obliczu wkroczenia armii czerwonej na terytoria Rzeczypospolitej zabraniała powstania bez uprzedniego dopełnienia ściśle sprecyzowanych warunków w zakresie sytuacji politycznej i wojennej. Instrukcja ta nie była odwołana i obowiązywała w lipcu 1944.

b) Wbrew Instrukcji powyższej, w sytuacji sprzecznej z jej postanowieniami, zwierzchnie władze krajowe *cywilne i wojskowe łącznie* dnia 25 lipca powzięły decyzję uruchomienia powstania. Jednocześnie Premier depeszą do Warszawy z dnia 26 lipca, aktem jednostronnym i samowolnym, przekreślił wspólną instrukcję Rządu i Naczelnego Wodza.

c) Ścisłe i wyraźne rozkazy wojskowe zawiera operacyjna dyrektywa Nacz. Wodza z dnia 7 lipca. W końcu lipca w grę wchodziło nie pokierowanie operacją wojskową, lecz reagowanie na nagłą decyzję polityczną, która odwracała o 180% rozstrzygnięcie sprawy powstania — sprawy zdawałoby się od dawna uzgodnionej i ustalonej. W sytuacji powstałej w lipcu Nacz. Wódz nie mógł przecież „zabraniać” i „rozkazywać” ani Premierowi Rządu, ani zwierzchnim władzom politycznym w kraju. Mógł jedynie ponownie rzucić na szalę swój głos ostrzegawczy, przypominając i ponawiając swe instrukcje zasadnicze w depezach do Dowódcy AK kierowanych via Londyn a więc za wiedzą Prezydenta i Rządu.

Postąpił więc Nacz. Wódz zgodnie z zasadami ładu państwowego zdając sobie przy tym sprawę, iż wspólne i jednolite wystąpienie Rządu i Naczelnego Wodza stanowi jedyną szansę powstrzymania Kraju od tragicznego kroku. Jakże odmienne było postępowanie Premiera, który swe depeche zachęcające do powstania tał przed Nacz. Wodzem (vide depecha Mikołajczyka do Warszawy z dnia 4 lipca). Zaś depeche Naczelnego Wodza do D-cy A.K. wysyłane z frontu włoskiego zostały w Londynie albo ocen-



zurowane i okrojone, albo przetrzymane lub zgola zatrzymane. Co więcej P. Premier wzywał władze krajowe, by nie zwracały uwagi na „sugestie” Naczelnego Wodza.

6) — Podtrzymuję moje twierdzenie, że po 26 lipca 1944 dzień powrotu Nacz. Wodza do Londynu nie miał już dla sprawy powstania znaczenia: Premier przesądził sprawę swą depeszą z dnia 26 lipca, po wysłaniu której udał się natychmiast do Moskwy. Rada Ministrów w dn. 28 lipca decyzję Premiera przyjęła bez szemrania, a Kraj jeszcze na kilka dni wcześniej — poszedł po linii sugestii Premiera. Sprawa była nieodwracalna. Pozostał jedynie wysiłek o uzyskanie maksimum pomocy dla powstania.

Wreszcie przypomnieć wypada, że depeszą Prezydenta (z 25 lipca) otrzymał Naczelnny Wódz na froncie 27 lipca, gdy jeszcze nie wiedział ani o decyzji kraju z 25 lipca, ani o depeszy Premiera z 26 lipca.

Co się zaś tyczy kontynuowania programu pobytu we Włoszech, to p. Bregman dowolnie wybiera z tego programu dekorację w Korpusie, pomijając audiencję u Papieża oraz wizytę Króla Angielskiego w Korpusie, chyba dla nadania polemice lepszego smaku i koloru. Nade wszystko jednak pominął to, co w moim artykule nazwałem „najistotniejszą okolicznością” pobytu Naczelnego Wodza wśród wojsk we Włoszech (str. 105 Nr 5/127 Kultury).

Łączę wyrazy szczerego poważania

Dr Witold BABIŃSKI

Londyn, 16 września, 1958 r.

Łaskawy Panie Redaktorze,

Mecenas Honigwill oczywiście ma rację. Czy jednak w justyniańskich Pandektach nie znajdziemy maksymy: „Qui tacet, consentire videtur”?

Do rangi zasady prawnej podniósł tę maksymę Papież Bonifacy VIII. Powołują się na nią Terencjusz, Cycero, a zwłaszcza Seneka, który ją wzmacnia: „...sed silentium videtur confessio”.

Cytując maksymę, miałem na myśli podkreślenie, że w pewnych okolicznościach nie można zasłaniać się twierdzeniem — jak to uczynił w październiku 1944 ambasador amerykański w Moskwie, Harriman — że „milczenie jest uprzejmą formą przeczenia”.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Józef M. ZARAŃSKI

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI.  
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.  
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,  
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4<sup>e</sup>)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 4<sup>e</sup> trimestre 1958.

## Zapowiedzi wydawnicze

### BIBLIOTEKA “KULTURY”

JAMES BURNHAM

### REWOLUCJA MANADŻERSKA

w tłumaczeniu Jerzego Horzelskiego i ze wstępem autora  
do czytelnika polskiego

ALBERT CAMUS

### CZŁOWIEK ZBUNTOWANY

JAN KOWALIK

### KULTURA

Bibliograficzna analiza 10 lat, 1947-1957

TADEUSZ KATELBACH

### ROK ZŁYCH WROŻB

(1943)

PAWEŁ ZAREMBA

### HISTORIA POLSKI

(DO ROKU 1957)

# Nowości

## BIBLIOTEKA "KULTURY"

Tom XXIX

CZESŁAW MIŁOŚZ

KONTYNENTY

(ZBIÓR ARTYKUŁÓW  
O PISARZACH RÓŻNYCH KRAJÓW,  
NOTY, WIERSZE, PRZEKŁADY POETYCKIE)

Cena egzemplarza : 1.000 frs (18 sh., 2,50 dol.)

Tom XXX

JAN KOWALIK

POLSKA W BIBLIOGRAFII NIEMIECKIEJ

1954-1956

ORAZ UZUPEŁNIENIA DO OKRESU 1945-1953

Cena egzemplarza : 400 frs. (7 sh., 1,00 dol.)

Tom XXXI

STANISŁAW REMBEK

W POLU

Opowieść

Cena egzemplarza : 800 frs (15 sh., 2,00 dol.)

Tom XXXII

HOWARD FAST

KRÓL JEST NAGI

Cena egzemplarza : 600 frs (11 sh., 1,50 dol.)

# KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC  
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)  
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
<b>AFRYKA POLUDNIOWA</b> : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
<b>ARGENTYNA</b> : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	22,50 peso	135 peso	270 peso
<b>AUSTRALIA</b> : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
<b>BELGIA I KONGO BELG.</b> : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
<b>BRAZYLIA</b> : Prenumeraty przyjmują : Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlinska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; Hanna Lekszyczo, Av. Dr. Arnaldo 1513, Sao Paulo		4 dol. am.	6 dol. am.
<b>BRYT. AFRYKA WSCHOD.</b> (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolkowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d. 220 fr.	21 sh. 1.100 fr.	42 sh. 2.200 fr.
<b>FRANCJA</b> : « Libella », 12, r. St-Louis-en-l'Île, Paris-4			
<b>HOLANDIA</b> : T. Szpilczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
<b>KANADA</b> : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W., Toronto Ont.; K. Krakowska, 3445 Marlowe Av., N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; H.R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél. : HY-0829; Vatra Trade, 277 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; « Związkowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
<b>MEKSYK</b> : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
<b>NIEMCY</b> : « Ostatnie Wiadomosci », Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301; St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM 3 sh. 9 d.	13,50 DM 21 sh.	25 DM 42 sh.
<b>NORWEGIA</b> : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2			
<b>SZWAJCARIA</b> : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25 fr. s.
<b>SZWECJA</b> : Red. Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
<b>U.S.A.</b> : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetyński, 127-97th Str., Brooklyn, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, California; M.K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; K. Trojanowski 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
<b>W. BRYTANIA</b> : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
<b>WŁOCHY</b> : Aleksander J. Mikucki, Viale Parioli 124, int 12, Roma. Tél. : 87-10-27	300 lires	1.750 lires	3.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)  
C.C.P. PARIS 7585-94

Nowość

TOM XXXIII BIBLIOTEKI "KULTURY"

SIMONE WEIL

# WYBÓR PISM

W TŁUMACZENIU I ZE WSTĘPEM

CZESŁAWA MIŁOSZA

*Sława Simone Weil jest zbyt dobrze ugruntowana, żeby trzeba było wyjaśniać czytelnikom wyjątkowe znaczenie tej pisarki w dziejach myśli XX-go wieku. Niestety dzieło jej, znane najczęściej w fragmentach, jest trudno zrozumiałe — brak jest obrazu całości.*

*Przekład polski grupuje utwory Simone Weil w ten sposób, żeby jej poglądy RELIGIJNE I SPOŁECZNE ukazały się możliwie najpełniej.*

Cena egzemplarza 1.000 fr. (18 sh., 2,50 dol.)

**Cena 220 frs.**